





# KRÓL
# TRĘDOWATY

ZOFIA KOSSAK



KRZYŻOWCY

POWIEŚĆ Z XI WIEKU

TOM I

BÓG TAK CHCE!

TOM II

FIDES GRAECA

TOM III

WIEŻA TRZECH SIÓSTR

TOM IV

JEROZOLIMA WYZWOLONA



KRÓL TRĘDOWATY

POWIEŚĆ Z XII WIEKU



W PRZYGOTOWANIU:

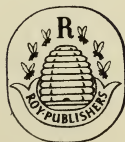
BEZ ORĘŻA

POWIEŚĆ Z XIII WIEKU

ZOFIA KOSSAK

# KRÓL TRĘDOWATY

POWIEŚĆ HISTORYCZNA




ROY - PUBLISHERS - NEW YORK

PRINTED AND BOUND IN THE U. S. A.

# ROZDZIAŁ I.

## W STARYM KRAJU.

Pani Benigna zdjęła z nóg aksamitne ciżmy wsuwając stopy w przygotowane na progu drewniane chodaki. Szeroką spódnicę podwinęła energicznym ruchem pod pasek, skróciwszy w ten sposób znacznie jej długość, i podpierając się laską ruszyła w codzienny przedwieczorny obchód gospodarstwa. Łagodne imię Benigny nie licowało z jej wyglądem, a co prawda i z charakterem. Małżonka Hugona, zwanego Brunatnym, dwudziestego z kolei dziedzica rodowego kasztelu de Lusignan, brnąca w drewnianych chodakach przez gęste jesienne błoto, miała szeroką, kościstą twarz, wąskie, zaciśnięte wargi i twarda zmarszczkę na czole. Przed jej bystrym wzrokiem nie ukryło się żadne uchybienie, wobec potoku wymowy nie doszedł nikt do słowa. Była czujna, skąpa i wymagająca.

Z wielkich lip i kasztanów okalających dziedziniec sypały się zżółkłe liście. Niebo w zapadającym zmierzchu było ołowiane. Dookoła ostrych wieżyczek kasztelu krążyły z krzykiem kawki.

Pani Benigna stanęła i patrzyła uważnie w górę, nie na kawki jednak, lecz na dach, na którym widoczne były z dala uszkodzenia. Trzeba je koniecznie naprawić, nim przyjdą zimowe wichry

i szarugi, inaczej na wiosnę wypadnie dawać cały dach nowy... Strona południowa jeszcze ujdzie, ale do wschodniej pora, pora się zabierać... A na wieży Meluzyny najgorzej...

Wzdrygnęła się mimo woli i przyśpieszyła kroku, z ukosa spoglądając na wspomnianą wieżę. Meluzyna-wróżka była na poły legendarną prababką rodu Luzynianów, córką Elenasa, króla albańskiego. Poślubiła Rajmunda de Forez, pierwszego pana na tych włościach, i stąd zwano ją matką Luzynianów, mère des Lusignans, przez skrócenie mère Lusignan, a na koniec Merluzyną, Meluzyną. Rzeczywistego imienia potomność nie zachowała. Była wróżką, jak się rzekło. Ciężył nad nią czar, zmuszający, by co sobota zmieniała się na noc w węża. Ale o tym nikt nie wiedział. Słuchały jej gnomy, karły. Gadała z elfami. Wybudowała ten oto kasztel, jeden z najpiękniejszych w kraju, i szereg innych. Zamki Parthenay, Marvaux, Marmande, Issoudun były wszystkie jej dziełem, a raczej posłusznych jej duchów Budowle rosły tajemniczo nocą Mularze odchodzili z wieczora zostawiając trzy łokcie muru; wracają rano, a jużci jest dziesięć łokci! Nie gadali o tym wiele, radzi, że licho darmo pracuje, a oni wezmą pieniądze bez trudu. Tak i było. Majstrów chwalono, nagradzano, a Meluzyna nocami budowała. Jedne zamki piękniejsze od drugich. Karły rzeźbiły kamień palcami jak glinę. Tylko krzyża nie dawały nigdy nigdzie. Ani krzyża, ani żadnej świętej postaci. To już mularze dorabiali dniem.

Tak wszystko szło, aż raz pan małżonek ujrzał żonę, gdy się przedzierzgała w węża (czego dotychczas nie wiedział, bo bardzo się z tym taiła). Taki go lęk i strach wziął, że zamurował ją w wieży. Tej właśnie, zwanej odtąd wieżą Meluzyny. Jedni mówili, że tam zmarła, inni, że się czarnoksięskim sposobem wymknęła i dotąd żyje w dziedzinie.

W całej prowincji Poitou nie trzeba było nikomu o tej historii opowiadać, tak była powszechnie znana. Byle dziecko umiało ją na pamięć, lepiej, dokładniej, niż dzieje św. Mamerta, patrona ziemi poitevińskiej. Nie dziw też, że szlachetna Benigna de Lusignan przechodząc podle wieży oglądała się na nią z szacunkiem.

Jak się już rzekło, w przeciwieństwie do tamtej matki Luzynianów, pani Benigna nie miała w sobie nic z wróżki. Szeroka, silna, podobna była z dala nie do giętkiego węża, lecz do krzepkiego, sękatego pnia. Choć karły nie budowały na jej rozkaz cudownie rzeźbionych murów, czyniła ona także swoje czary, czary zabiegliwej, rządnej gospodyni. „Pańskie oko konia tuczy" — toteż żadna niepogoda nie byłaby jej wstrzymała od codziennego obchodu dziedzińca i zabudowań. Szczególnie wieczorem i w złą, jak ta, porę, gdy ziębnięci ludzie robią, aby zbyć. Któż lepiej niż ona sprawdzi, czy trzoda spędzona z lasu, czy żołędzie nazbierane, pójło przygotowane, czy niedbałe dziewki nie zapomniały zawrzeć starannie kurników, by kuna nie dobrała się do nich, jak łoni?

Z ciemnej czeluści obory wyszedł ku niej pastuch Błażej. Niski, barczysty, koloru ziemi. Czuć go było z daleka wiatrem i gnojem. Bose nogi pokrywały strupy błota i brudu, podobne tym, które oblepiają zady źle utrzymanych krów. Skłonił się nisko, do kolan przed panią.

— Gad znów przychodzi — oznajmił półgłosem, jakby poufnie.

Pani Benigna usiłowała nie pokazać po sobie trwogi, ale przeżegnała się.

— Widziałeś? — zapytała równie cicho.

Skinął głową twierdząco. Widział owszem swoimi oczami. Od paru dni coś podejrzewał, bo Graniata ucięła z mlekiem. Wiadomo. Albo czarownica, albo wąż... No i dziś w nocy zobaczył: jest gad! Wydoił Graniatą ze wszystkim. Na rano ani kropelki mleka nie dała...

— Nowa zgryzota! Nowa zgryzota! — jęknęła pani Benigna.

— ...U mojego kuma Piotra też kiedyś wąż znęcił się do krowy i co wieczór doił... Bydlę grzeszne tak do niego przywykło, że mleka nie popuszczało, dla gada trzymając... Już ludzie krzyczeli, że taką krowę trza spalić, bo z szatanem w zmowie, ale Piotr nie bardzo stał o te gadania. Węża zabił, a krowę doi do dziś... Jeżeli wasza wielmożność zezwoli?...

— Nie! Nie! — zaprzeczyła żywo. — Lepiej nie... Przecież wiesz... Św. Mamercie, miej nas w swej opiece!

Pastuch splunął daleko z pełnym zrozumieniem. Coby miał nie wiedzieć? Wie. Wiadomo. Wąż. Może być zwykła gadzina, nawet nie żmija, tylko zaskroniec znad rzeki, a może?... Człowiek niechcący nieszczęście na cały kasztel sprowadzi.

...Ale znów spokojnie patrzeć, jak się dobra krowa marnuje?

— Zapytam ojca Gaudentego — postanowiła pani Benigna. — Tymczasem zatkaj dobrze dziurę kamieniem czy kołkiem... Może się nie przedostanie...

— Mało to dziur w oborze — odparł wątpiąco i poszedł.

Zaradziwszy złu półśrodkiem, co było sprzeczne z jej czynną naturą, pani zamku zawróciła również, kierując się przez dziedziniec ku domowi.

— Nowa zgryzota — wzdychała rozbryzgując twardo błoto — najlepsza krowa! Jakby mało było zmartwień!

Zmartwień miała dość istotnie. Ród Luzynianów, choć liczący się słusznie między najlepsze rody rycerskie, bardzo w ostatnich dziesięciu latach podupadł. Dwie nieudane wyprawy wojenne, rozrzutność niepohamowana Hugona Brunatnego, parę złych urodzai ogołociły kasztel ze wszystkich zasobów. Wielka zamczysta skrzynia, skarbiec domowy, stała wprawdzie zawsze w komorze na poczesnym miejscu, klucz od niej nie opuszczał nigdy pana domu, a we drzwiach komory czuwał dniem i nocą któryś z pacholików. Wiadomo było

jednak powszechnie, że to tylko czcza forma, próżny splendor, gdyż w zamczystej skrzyni nie uchował się na dnie ani jeden dukat, ani jeden klejnot, zapona czy spięcie.

Brak ten nie wpływał widomie na zwykły tryb życia. Wszakże pieniądze potrzebne są tylko w razie wyjazdu, turnieju czy wielkich rodzinnych uroczystości, gdy trzeba złotem hojnie sypnąć, całą okolicę podjąć. Na codzień na co pieniądze? Wszystko, cokolwiek potrzebują państwo lub służba, wyrabiane jest na miejscu z własnych surowców. Wino i świece, wełniaki, płótna, sprzęty, garnki i każda rzecz do życia potrzebna. Jedynie sól, oręż i paradne szaty trzeba przywieźć z dalszych stron, ale zamek posiada ich stare zapasy, które na długo wystarczą.

Więc dzień powszedni snuje się jak niegdyś, tylko to poczucie, że nie odmieni on się nigdy na świąteczny! Jeśli któremu z synów przyjdzie ochota się żenić? Co wtedy?... Synowie! Największa to bolączka pani Benigny, podobnie jak Meluzyny, matki Luzynianów. Jest ich czterech. Czterech do zaopatrzenia, do wysłania w świat, by odnowili przygasłą świetność dziedzictwa.

Wędrowny rybałt, wagabund, może nie mieć grosza w kieszeni. Luzynian idący między ludzi musi mieć pieniądze.

Pieniądze!

Od szeregu lat pani Benigna ciuła je skrzętnie, zaciekle. Służba sarka na jej skąpstwo, sąsiedzi żartują, lecz ona nie zważa. Wiele ją ludzie ob-

chodzą! Pracuje jak pszczoła, oszczędza jak mrówka, gromadzi zapasy mąki, skór, wosku, płótna, słoniny i miodu, które to pożytki zamienia w czasie corocznego biskupiego targu w Poitiers na placu św. Radegondy na dobrą monetę.

Dzięki tej niespożytej zabiegliwości, dwóch starszych chłopców już wyprawiła, przyodziała, zaopatrzyła w sługę, konia, jaki taki mieszek. Najstarszy Hugo pojechał na dwór króla angielskiego Henryka Andegaweńskiego, obecnego męża księżniczki Eleonory, rozwiedzionej z królem francuskim, dziedziczki całego Poitou i Akwitanii. Drugi z kolei, Amalryk, popłynął do Ziemi Świętej w orszaku pana de Courtenay.

Pomyślne pomieszczenie obu tych synów było wyłączną i niezaprzeczoną zasługą pani Benigny, jej radością i tryumfem. Ci Luzynianie już się znajdują na właściwym miejscu. Ale to jeszcze nie koniec.

Wprawdzie trzeci, Bertrand, jest chromy, z lekka ułomny, bo w dzieciństwie spadł ze schodów, przeznaczony na księdza. Nie potrzebuje tyle co tamci, rycerze. Ale czwarty! Ale Wit! Ukochanie, oczko w głowie, ulubieniec najmilejszy. Piękny jak obraz, smukły jak panna, królewicz z postawy. Na dwór francuski wysłać by go jak najprędzej, ale za co? za co?! Wieleż czasu zbierała pieniądze potrzebne dla tamtych dwóch! Wieleż teraz zbierać będzie? A tymczasem lata idą. A jak na złość w gospodarstwie same utraty. Wilk zarznął

cztery owce tamtej niedzieli. Teraz ten wąż... Co z nim zrobić? Czy, Boże broń, nie sprowadzi jakiego nieszczęścia?

Wzdychając ciężko, weszła na kamienne schody. Oblepione błotem chodaki zrzuciła ze złością. Potoczyły się na dół. Patrzyła za nimi gniewnie, jakby uosobiały jej gorzką dolę ubogiej kasztelanowej, nie mogącej zapewnić synom należnego stanowiska w świecie. Bo i Bertrand, najmniej miły, ale także syn. Że na księdza idzie, cóż z tego? Gdyby miał pieniądze, zostałby rychło kanonikiem, może biskupem... Luzynian! Luzynian nie może być czymś mniejszym od biskupa... To nazwisko ma wagę złota... Jednakże samo nazwisko nie zastąpi złota...

Nie zostaje chłopcu nic innego, jak iść do zakonu... Na mnicha... Ukryć swą biedę pokrywką niby to dobrowolnego ubóstwa. Dlatego mu nie śpieszno. Siedzi w domu i pomaga matce w gospodarstwie. Wiecznie kwaśny, zazdrosny o brata, o pięknego brata, ulubieńca matczynego...

O tak, ulubieńca. Uśmiech, rzadki gość, przewinął się po twarzy pani Benigny, gdy tego najmłodszego wspomniała. Nieboraczek! Miasto na turniejach, rycerskich rozrywkach, młodość schodzi mu w pustce starego, posępnego domu...

Kasztel był posępny istotnie. Któż się miał w nim radować życiem i światem? Stary, przygłuchy rycerz Hugo, przydomku Brunatny, niewiele był weselszy od sędziwego puchacza. Nudził się

śmiertelnie i z nudów dziwaczał w domu, który jego nieopatrzna hojność zubożyła. Za stary, by ruszyć jeszcze na jaką ryzykowną wyprawę wojenną, za dumny, by się uczepić gdzie bogatszego dworu, siedział i pleśniał. Jego małżonka, wiecznie zatroskana, nie była wesołą również. Nie czuł radości życia kulawy Bertrand, na księdza albo mnicha przeznaczony. Gości Luzynianowie nie przyjmowali nigdy, bo to pociąga koszta. Nie jeździli również do nikogo, bo jakże korzystać z gościny, gdy się jej samemu nie użycza? Zagrzebywali się żywcem w swej dumie i biedzie. Nawet rybałtów snujących się wiecznie gościńcem od grodu do grodu, z targu na targ, pani Benigna niechętnie puszczała.

— Bez gadek można żyć — mawiała. — Darmo nie śpiewają.

I jeżeli kto się roześmiał swobodnie w luzyniańskim kasztelu, to tylko ów Wit najmłodszy, o którego matka tyle się troskała. On tych utrapień wcale nie podzielał. Wraz z ujmującą powierzchownością otrzymał od natury najcenniejszy dar: stałe zadowolenie z życia, cokolwiek mu niosło. Dostatecznym powodem do radości było dlań, że jest, że żywie, że słońce grzeje, wiatr wieje, ptaki śpiewają, a woda pod młynem huczy. Mało rozwinięta wyobraźnia nie nasuwała ponęt niedosięgłych możliwości, nie ciągnęły królewskie czy książęce dwory, gdzie trzeba ustawicznie błyszczeć umysłem jak mieczem, trzymać się wciąż na baczności, gdzie poitevińskiego prostaka wyszydzą,

wykpią, ośmieszą. Czując się łatwym do wyszydzenia, objechania, rad siedział w domu. Na wojaczkę byłby chętnie podążył, ale jak raz wojny w te lata nie było. Natomiast w ojcowych borach łowy były piękne, a poitevińskie dziewczęta miały usta słodkie. Żadna się nie oparła ślicznemu kasztelanicowi. Pani matka, bogobojna i surowa, ani się domyślała, że jej najmłodszy z każdodziennej wędrówki po lasach i łęgach przynosi wspomnień miłosnych tyleż przynajmniej co zwierzyny.

Owe przeżycia miłosne nie były jużcić głębokie, ani godne, by je ujął w rymy pieśni wędrowny trubadur. Raczej instynktowne odruchy, zlewające się w jedno z tłem, z zapachem trawy w porze sianokosów, z czerwienią liści bukowych w czasie winobrania. Były jak gdyby oddech ziemi samej, bogatej, rodzajnej ziemi poitevińskiej.

Przy wieczerzy, gdy ojciec Gaudenty, kapelan zamkowy, odmówił krótką modlitwę, którą obecni chórem za nim powtarzali, pani Benigna zabrała głos, by opowiedzieć o wężu. Mówiąc robiła znaczące przerwy i zaciskała mocno wargi po każdym słowie. Ojciec Gaudenty wie, jak rzeczy stoją... — zakończyła. Co jej doradza uczynić?

Ojciec Gaudenty, zakłopotany, tarł zarośnięte policzki spoglądając na nią z ukosa. Oboje państwo siedzieli naprzeciw siebie na poręczowych krzesłach z wysokim rzeźbionym oparciem. Poniżej obaj synowie i kapelan, na stołkach bez oparcia, ale z poręczami. Potem następowała długa

przerwa, bo stół był olbrzymi. Na końcu, na prostych ławach siedziała gromada służby i czeladzi. Zarówno przed państwem jak przed służbą stały misy pełne pieczonych jarząbków, placki jęczmienne i wino. Tylko że przy górnym stole było ono kilkoletnie, dostałe, gdy służba piła kwaśnego zieleniaka, bodaj że z latosich zbiorów.

— Więc jak sądzicie, ojcze wielebny — nacierała pani Benigna. — Gad to zwyczajny... czy?...

Umilkła obzierając się niespokojnie wokoło.

— Pójdę jutro poświęcić oborę — obiecał ojciec Gaudenty omijając właściwą odpowiedź. — Jeżeli to zwykły szkodny gad, to go święcona woda nie przepłoszy, a jeżeli złe...

— Sądzicie, że nie wróci?

— Na pewno nie. Na kości św. Radegondy! Znam właściwe egzorcyzmy, najsilniejsze egzorcyzmy... Nie ostoi się przed nimi...

— Daj Boże! — westchnęła żarliwie.

— Co się tak, pani matko, strachacie tego węża? — zauważył Wit rzucając kostki psu. — Nad rzeką zaskrońców jak posiał... Nie dziwota, że który do obory zalazł... Węże na mleko łase... A tamte bajki?... Nieraz chodziłem nocą koło wieży myśląc, żeby się babka Meluzyna pokazała, i nic...

— Przeżegnaj się i nie gadaj grzesznie — zgromiła surowo matka.

— Nie lza, nie lza złych duchów wywoływać, szczególniej przed nocą — potwierdził kapelan.

— Nie była złym duchem — bronił prawnuk — nie uczyniła nikomu nic złego...

— Przyjmowała na się postać węża, który jest szatanem... To jawny dowód, że z diabelstwem była w zmowie...

— Ja się nie boję i radbym ją widział...

— Milczże już, milcz! — matka tym razem rozgniewała się na dobre. — Nieszczęście na się sprowadzisz...

— Nie bójcie się, pani matko, nie skrzywdziłaby Meluzyna ładnego chłopca...

Roześmiał się sam ze swego niewybrednego żartu. Bertrand podniósł na niego złe oczy.

— Dureń! — syknął z przekonaniem. — Sam się chwali, że jest ładny! Ślicznotek!

— Pochwal się i ty... Nic nie powiem... — odciął się Wit.

Milczący dotychczas ojciec otoczył dłonią ucho.

— O czym mówicie? — zapytał.

Obaj synowie zamilkli. Kapelan podniósł głos:

— Nic wielkiego, wasza wielmożność, młodzież gwarzy, jak to młodzież...

— O czym? — nalegał stary.

— O... o łowach...

— Łowy powiodły się? hm?...

Coś mu tam poczęli prawić o grubym i drobnym zwierzu. Benigna złożywszy ręce patrzała na synów. Tak, Bertrand biedaczysko nie mógł się chwalić urodą. Wszystko przez ten nieszczęsny wypadek, co go uczynił kaleką. Choć nie był cał-

kiem ułomny, posiadał długą twarz garbusa i wysoko podniesione ramiona. Wzrostem nie sięgał braciom nawet do ramienia. Biedaczysko!

Przeniosła wzrok na młodszego z uczuciem, z jakim przechodzi się z mroku w słońce. Istotnie, czyż jakakolwiek kobieta, ziemianka lub wróżka, zdolna byłaby pokrzywdzić tego cudnego chłopaka? Benignę, ilekroć patrzyła na syna, przenikało uczucie dumy i rozkoszy. Z jej żywota zrodził się ten wspaniały mężczyzna; jej łono, dziś już zwisłe i niekształtne, nosiło w sobie te wyniosłe barki, smukłe lędźwie, proste plecy... Bezwiednie twarz jej zmiękła, usta złagodniały, gdy rozpatrywała każdy szczegół najmilszej sercu postaci. Prześliczne usta, nie osłonięte zarostem, cienki, pański nos, wysokie łuki brwi, dziecinne, błękitne oczy... Zęby niepokalanie białe, równe, lśniące...

Wit przerywając zabawę z psem, który pchał mu się na kolana, podniósł głowę i odwzajemnił matce spojrzenie uśmiechem. W uśmiechu był jeszcze piękniejszy. Po prostu archanioł — pomyślała Benigna — archanioł Gabriel.... Na królewskim dworze jego miejsce, nie tu...

Psy warknęły. Drzwi wchodowe uchyliły się: wszedł strażnik bramny.

— Wasza wielmożność, jakiś obcy kołacze do wrót...

— Czego? Głośniej! Co on mówi? — dopytywał Hugo Brunatny.

— Obcy kołacze!

— No, to puścić.

— Nigdy w życiu! — zaprzeczyła małżonka. — Każdego włóczęgę wpuszczać? Skąd jest?

— Powiada, że z Ziemi Świętej.

Podnieśli głowy ciekawie. Lecz Bertrand roześmiał się drwiąco.

— Każdy tak mówi, byle mu wrota otworzyć, jeść dać, a potem okazuje się, że dalej niż w Poitiers nie był... Mało już takich było?

— Słusznie mówisz — potwierdziła matka. — Nie wpuszczamy obcych. Niech idzie.

Strażnik wyszedł. Zimny prąd powietrza powiał od drzwi, owinął się chłodem wkoło nóg.

— ...Włóczy się tych łazęgów, a każdy powiada, że powrócił z Ziemi Świętej... Można by myśleć, że nie ma już nikogo, co by tam nie był...

— Bo też, wasza wielmożność, temu kilka roków nazad wędrowali tam wszyscy, jakby tu zbrakło miejsca na pochowek...

— Podatki na walkę z Saladynem biskup srogo ściąga... Nie wiedzieć, na co te pieniądze idą... Czy nie na tę szarańczę, co się snuje tam i nazad bez pożytku dla nikogo?...

Drzwi skrzypnęły, strażnik wracał.

— Wasza wielmożność, on powiada, że ma list od panicza...

— Od Amalryka?! List!? Dawajcie go skoro! — krzyknęła pani Benigna zapominając o niechęci ku wędrowcom z Ziemi Świętej.

— Lisy są? — kiwnął głową stary pan.

Cienkim jak włos ostrzem puginału dłubał w zębach wyciągając resztki mięsa. Przezorna małżonka wyjęła mu wpierw mizerykordię z ręki, by się nie skaleczył pod wpływem wrażenia, po czym obwieściła w ucho:

— List podobno! Od Amalryka!

— O! — ucieszył się szczerze stary rycerz. Wprawdzie ulubieńcem jego był Hugo, cenił jednak Amalryka dziwiąc się w duchu jego uczoności. Mądra jucha! Cokolwiek kiedy przepowiedział, zawsze się sprawdziło!

Strażnik już pobiegł dudniąc nogami po schodach. Wit poleciał także. Bertrand krzyczał za nimi, by sprawdzili pieczęć, wprzód nim wpuszczą obcego, bo to może zwykłe łgarstwo.

Posłaniec narzekał niezadowolony:

— Myślałem, że do poganów trafiłem... Na taki ziąb trzymać chrześcijanina godzinę pod drzwiami!... List ten pisał szlachetny rycerz temu dziesięć niedziel... Z Paryża do Poitiers nieraz pismo dłużej idzie...

Nie zwracając na niego uwagi skupili się wszyscy przy starym panu. Oglądał długo pieczęcie.

— Dobre są — orzekł na koniec. — Czytajcie, ojcze wielebny, a głośno.

Kapelan przysunął się śpiesznie. Wszyscy usiedli na dawnych miejscach, wstrzymując oddech z ciekawości. Lecz czytanie jeszcze się nie rozpoczęło, gdyż matka nagłym ruchem wyjęła papier z ręki zakonnika, rozłożyła go, pogładziła jak żywą istotę. Przysunęła nabożnie do oczu. Dawno

zapomniała trudnej nauki czytania, lecz tym większym podziwem przejmował ją kunszt kreślenia długich rzędów równych liter. Niewątpliwie nie każdy opat potrafi tak pięknie pisać jak Amalryk!

Ale Hugo Brunatny już się niecierpliwił.

— Oddajże, jejmość, nareszcie!

Donośnie, pomału ojciec Gaudenty jął czytać:

*„...Niech Bóg wspomaga Grób święty!*

*...Najmiłościwszy panie ojcze dobrodzieju, najmiłościwsza pani matko dobrodziejko i wy, drodzy bracia! W pierwszych słowach tego listu pozdrawiam was Imieniem Bożym i donoszę, żem zdrów a w opiece Opatrzności pozostaję. Do Jerozolimy przybyłem szczęśliwie pięć miesięcy temu nazad. Opiece św. Mamerta i św. Radegondy, patronów naszych, przypisuję, iż wnet pozyskałem przychylność Najdostojniejszej Królowej Wdowy Agnieszki, do której orszaku obecnie należę jako jeden z rycerzy przybocznych. Niejeden długo musi czekać, nim się do Dworu dostanie, co mnie w trzech niedzielach spotkało. Da Bóg, tej łaski nie utracę, a na nową jeszcze zarobię, bom dotąd w bitwie żadnej nie był, i że mi oręż nie dziwny, nie miałem sposobności okazać. Kraj tu jest inny, odmienny ze wszystkim. Każdy, co od nas wyjeżdża, myśli, że jedzie do swoich, a trafia na zgoła nowych ludzi. Nawet ubiorem niepodobni, bo na hełmach zawoje noszą, od których biała chusta*

*spływa na kark. Powiadają, że tak trzeba, by potylicę uchronić od słońca. Ale gdybyż tylko to! Wczorajszy Italczyk czy Francuz już się stał Galilejczykiem, Palestyńczykiem... Już nie zwą się od patrimonium w ojczyźnie, ale od nowych włości w obcej ziemi. Już są grabiowie Samary, książęta Tyberiady, panowie Betlejem, Ramli, Napluzy... Większość się pożeniła nie z Latynkami, lecz z Syryjkami, Ormiankami... Ba! Są tacy, co pojęli za małżonki Saracenki ledwo przed ślubem ochrzczone. Lica im każą zasłaniać i w zamknięciu trzymają, powiadając, że do tego przywykły. Wstyd powtarzać nie sprawdziwszy, ale prawią niektórzy, że są, co mają po kilka takich muzułmańskich żon... Jak pogany! Patriarcha powinien wyklinać rozpustę, ale tu już całkiem inaczej na te rzeczy patrzą. Poganów nikt się nie brzydzi. Gdy wojny nie ma, jako z sąsiadami żywią. Sam widziałem, jak do rycerza, co muzułmankę poślubił, przyjechała w odwiedziny cała jej rodzina. Strojnie, szumno zjechali, a on ich przyjmował... O powrocie do ojczyzny nikt nie myśli. Palestynę za ojczyznę uważają. Prawda, że bogactwa tu są wielkie, i niejeden, co w kraju na dwudziestu duszach siedział, posiada teraz księstwo albo cały gród. Więc im powracać nie śpieszno. Jeno że to bogactwo tylko z oręża, nie z kraju, który jest biedny nad podziw. Wyjąwszy dziedziny nadmorskie, owszem piękne i rodzajne, sama Palestyna to prawa pustynia, jakiej nikt u nas nie baczył.*

*Kamienie, kamienie i nic innego nie ujrzysz, jeno kamień. Kamienie rosną na polu miasto zboża. Kamieni tyle, że chyba je szatan na złość Zbawicielowi zniósł z całego świata. Dusznota latem straszna, że ani odetchnąć, wody brak, w Jerozolimie o wodę wiele trudniej niż o wino. Muchy i wszelka gadzina kąsa do żywego, ani się przed nią gdzie schronić. Nocą znów ziąb bardzo dokuczliwy. Ludzie tutejsi pracy nie zwykli, bo tylko pasterstwem się trudnią. Leżą całymi dniami na ulicy nic nie robiąc, aż mierzi człowieka. Czasem pachołkowie biskupi batami ich zapędzają do pomocy przy budowie którego z kościołów. Kościołów nastawianych jest wiele i bardzo cudnych, że piękniejszych i w Rzymie nie znaleźć. Szczególnie Bazylika Grobu św. wielka jest i ozdobna. Złota na świątynie nie żałuje nikt. Powiedziałem już, że złota można się nabrać od poganów, do których znowu przychodzi ono z Egiptu, gdzie go jest widno niemiara. Z każdej wyprawy, jeśli zwycięska, rycerze wracają z bogatym łupem. Toteż bez wojny żyć nikt nie chce. Każdy z tutejszych baronów choć raz na rok musi odprawić najazd na pogany, co tu nazywają „razzia". Najlepiej, jeśli się uda zagarnąć karawanę zdążającą do miasta Mekki, pogańskiego Rzymu, bo tam zawsze wiele bogactwa na ofiarę noszą. Król nieboszczyk bardzo się o to gniewał i nie dopuszczał, obecny toż samo, z Saladynem pokój jest zawarty i można by żyć w spokojności, a tak ciągle wielka wojna*

*grozi przez naruszanie granicy. I nie pięknie dla chrześcijan, że mimo zaprzysiężonego pokoju najazdy się czynią. Ale król swoje, a panowie baroni swoje. Każdy ma własne widzi mi się. Z najpierwszych rycerzy znaczni tu są Rajmund III, wnuk onego Rajmunda tuluzańskiego, co z Godfrydem pierwszy Jerozolimy dobywał, pan na Tripoli. Ten wypada wujem królowi, któren go wielce poważa. Mądry to rycerz i rozważny. Na radzie ma pierwszy głos. Chętnie bym ku niemu przymknął, jeno że on niemiły królowej matce, która mnie łaską od początku darzy, przeto niewdzięczność bym jej musiał okazać i może się gorzej naraził, bo tu kobiety wiele ważą, i siła rzeczy czyni się za ich sprawą. Dalej z rycerzy bardzo możny jest pan de Montferrat, Wilhelm, zwany Długomieczym, ma się żenić z siostrą królewską Sybillą na wiosnę, a potem po śmierci króla panowanie objąć. Już się k'niemu ludzie garną a przychlebiają, za następcę tronu uważając. Dalej Baldwin z Ibelinów, pan Ramli. Mówili niektórzy, że to on będzie się z królewną Sybillą żenił, ale potem wyszło, że de Montferrat. Dalej Renald, pan na Sydonie. Ten całkiem na Araba patrzy, nie na chrześcijanina. Brodę zapuścił, po arabsku nie gorzej niż po łacinie gada. Ale prawy rycerz i bardzo go cenią. Wielu ich jest, że wszystkich trudno by wyliczyć. Na tych, co przybywają świeżo z kraju, patrzą z góry, niby na obcych. Rody u nas ze wszystkim pośledniej, tu wielkiej zaży-*

*wają sławy, bo dziadowie, choć chudopachołcy, ale przyszli pierwsi z grabią Tuluzy albo Godfrydem Lotaryńskim. Od tej pory zaś zaczyna się dla nich historia i klejnot rodowy. Więc taki de Broyes pierwszy tu jest przede mną. Przed Luzynianem! Wyznam, że zrazu mieli mnie tu za małego panka, co mi bardzo ciężkie było, z dziecka przywykłszy liczyć się rodem do pierwszych. Ninie już się to zmieniło, dzięki łaskawości królowej wdowy Agnieszki...“*

Stary pan Hugo Brunatny rąbnął laską w stół, aż dźwięknęły dzbany.

— Niech wraca! Niech wraca natychmiast! Piszcie mu zaraz, niech wraca!

— Dlaczego? — pytał kapelan oszołomiony.

— De Broyes pierwszy przed nim! Przecież słyszałem! Nie ścierpię!

— Szlachetny rycerz Amalryk pisze, że już się zmieniło...

— Za babską przyczyną, tfu! Powiedziałem: niech powraca!

Pani Benigna wmieszała się do rozmowy.

— Jeśli powróci, jak żądacie, panie mężu, nie odmieni ich mniemania. Pozwólcie, niech ostanie i w pierwszym boju wykaże, który ród lepszy...

— Oto słowa mądrością nacechowane! — zawołał gorąco ojciec Gaudenty.

Stary pan spojrzał na nich spode łba wydymając wargi. Ano, niby mieli słuszność. Sapał jednak gniewnie dłuższą chwilę, nie mogąc zapomnieć upokorzenia.

Kapelan wrócił do czytania listu:

*„...Niewiasty bowiem, jak już rzekłem, mają w tym kraju wielkie zachowanie. Także nie są podobne do naszych szlachetnych pań. Uchodzą im lekce rzeczy, za które u nas napędziliby precz z grodu lub pod pręgierz wzięli, tu zaś nikt się nie upomni. Urodziwe są wielce, strojne, o niczym tyle co o gładkości swojej i uciesze nie myślące. Dziwne tu są obyczaje, których opisać nie chcę, by przystojnej skromności pani matki, najmiłościwszej dobrodziejki, nie uchybić. Nowemu trudno przywyknąć i żony bym tu rad nie brał.*

*...O królu Baldwinie nie składno pisać, nawet i nie wolno. Bardzo tego przestrzegają, choć rzecz powszechnie wiadoma. Wielkiej pono duszy młodzianek, ale cóż poradzić? O sułtanie Saladynie...“*

— Hola! — przerwał stary pan — przeczytajcie, ojcze, jeszcze raz o królu, bo nie zrozumiałem.

— Ja też — stwierdziła Benigna.

Uważnie, dobitnie kapelan powtórzył cały ustęp, nic to jednak nie pomogło. Nie mogli do-

ciec, co Amalryk chciał powiedzieć. Pewnie jakieś słowo przeoczył.

— Nic dziwnego, tyle napisać! Co za głowa! Co za głowa! — unosiła się matka.

*„...O sułtanie Saladynie powiadają, że ma potęgę, jakiej żaden sułtan nie posiadał od czasów Harun-al-Raszyda, któren z Karolem Wielkim przyjacielstwo trzymał. Saladyn, gdyby zechciał, mógłby państwo jerozolimskie zgnieść, jeno że to ludzki człek, i choć poganin, chrześcijanom przychylny. Rad utrzymuje pokój, tylko że go panowie baroni ustawicznie drażnią.*

*Żem tu przyjechał, bardzo jestem rad, bo lepszej sposobności męstwem się wykazać i do fortuny wrócić, nigdzie się na świecie nie znajdzie. Za jaki rok, dwa, gdy Bóg da, że coś uzbieram, przysłałbym Witowi na drogę i zaopatrzenie. Jeśli taka wola najmiłościwszych rodziców dobrodziejów, niechby tu chłopak przyjechał, a świata szmat zobaczył. Od rozpusty go ustrzegę, przeto niech się najmiłościwsza pani matka dobrodziejka nie niepokoi na próżno...“*

— Ale ja wcale nie chcę jechać! — roześmiał się Wit. — Obce światy, to nie dla mnie...

Bertrand spojrzał na brata ze wzgardą. Pomyślał, że sam duszę by dał, byle się stąd wyrwać, jeno nikt mu tego nie zaofiaruje.

List kończył się pozdrowienieniami dla całego domu i wezwaniem błogosławieństwa Bożego. Kapelan położył papier przed sobą, pogładził go z wyrazem zakłopotania i napił się wina, bo zachrypł.

Pozostali siedzieli w milczeniu, przeżuwając zasłyszane wiadomości i własne wrażenia. Były sprzeczne i trudne do nazwania.

Pierwsza przerwała ciszę pani Benigna.

— Boże odpuść! — westchnęła. — Czemuż nie napisał nic o Grobie świętym?

Ojciec Gaudenty spojrzał na nią z wdzięcznością. Nie śmiał bowiem wyrazić pierwszy tej samej uwagi. Gdzie Grób święty? Prócz krótkiej wzmianki o pięknej bazylice, nie było nic o tym, co im wydawało się najważniejsze, najciekawsze. List taki długi, taki uczony, że się go czytało z podziwem jak księgę, słuchało jak opowieści rybałta, pomijał to, co jest celem każdego jadącego do Jerozolimy!? Dlaczego?

— Może wcześniej pisał o Świętych Miejscach, tylko list nie doszedł — pocieszała się matka.

— Może — przytwierdził kapelan myśląc w duchu, że z treści listu znać wyraźnie, iż jest pierwszym...

...Grób święty! Choć tylko w podaniach przetrwało wspomnienie wielkich rzesz, co niegdyś za namową papieża Urbana II ruszyły do Ziemi Św.,

choć tylko starcy pamiętali następne pospolite ruszenie narodów, za wołaniem Bernarda, opata z Clairvaux, choć w ostatnich latach przyjął się zwyczaj składania ofiar pieniężnych na cele walki z niewiernymi, które to datki zwalniały od osobistego wędrowania za morze, pobożność, mniej może porywcza, nie była mniej szczerą. Dla każdego mieszkańca Europy zachodniej jedyną racją i przyczyną istnienia królestwa jerozolimskiego był Grób Chrystusowy.

Licznie udający się do Ziemi Świętej pątnicy wracali pełni świątobliwych wrażeń. Ukazując palmy ścięte nad Jordanem, liście z drzew oliwnych rosnących w Ogrójcu, z uniesieniem mówili o cudownym blasku, jakim królowie jerozolimscy otoczyli Miejsca Święte. Szereg świątyń, tłumy księży. Słuchający słusznie sądzili, że — tak jak być winno — cześć dla Grobu św. stanowi najważniejsze zagadnienie władz jerozolimskich.

A list Amalryka przemilczał tę sprawę. Pisał o wszystkim, tylko o tym nie, jakby to była rzecz przebrzmiała i zamknięta!

Lecz prócz listu był posłaniec, który dopowie, czego w pisaniu brak. Wezwano go do pańskiego stołu i wzięto w obroty. Był to sprytny wędrownik, wyga, wyjadacz. Ku zmartwieniu pani Benigny okazało się, że jak zrazu Bertrand przypuszczał, wcale w Ziemi Św. nie był. List Amalryka przywieźli Genueńczycy zajmujący się przewożeniem poczty i zostawili u biskupa w Poitiers, skąd

biskup odesłał go przez pierwszego waganta zdążającego w tę stronę.

— Ale wiem więcej, niźli ci, co w Ziemi Św. byli — zapewniał tenże. — Niech wasze dostojnoście zechcą się łaskawie pytać, o co chcą.

— Skąd możecie wiedzieć? — nie dowierzał ojciec Gaudenty.

— Wasza wielebność! Brata rodzonego mam, który ustawicznie peregrynuje tam i nazad. Księgi też czytam chętliwie.

Choć prawdę rzekłszy, na miłośnika ksiąg nie wyglądał, okazało się istotnie, że posiadał wielki zapas wiadomości. Może nie wszystkie były ścisłe, ale barwne i zajmujące. A zwłaszcza takie, jakich oczekiwali! Odpowiadały ich pojęciu, ich poglądom. To była prawdziwa Ziemia Św., niedoskonale opisana przez Amalryka!

— ...Sto lamp płonie dniem i nocą u Grobu św. — prawił — stu rycerzy dniem i nocą czuwa leżąc krzyżem. Gdy baronowie jerozolimscy zasiądą na radę, Duch Święty ulatuje nad nimi widomie. Kiedyś, polatując uronił jedno pióro i bratu memu udało się je uzyskać. Jest wiotkie jak mgła, z najczystszego srebra. Sam widziałem. W Wielki Czwartek nowy ogień spływa cudownie z góry i zapala świecę patriarchy. Od niej dopieroż zapalają inni, a tak każdy wraca do domu ze świętym ogniem, którego cały rok strzeże. Ogień zstępujący z nieba oglądają wszyscy przytomni. Dziewice jerozolimskie są piękne jak lilie Saronu. By otrzymać ich wzajemność, trzeba położyć stu pogan...

— To samo, nawet tymi samymi słowami, prawił przed rokiem rybałt, któren tu zaszedł — zauważył Wit.

— Najlepszy dowód, wasza wielmożność, że powiadam szczerą prawdę.

Jednakże zmienił rozmowę zapytując dostojnych słuchaczy, czy słyszeli o dwóch braciach złotnikach z Poitiers, którzy łońskiego roku poszli do Jerozolimy. Na krótko przed odejściem młodszy zwierzył się starszemu, że ma zebrane pieniądze, które chce złożyć w ofierze u Grobu św. Suma była znaczna. Starszego zły duch podkusił. Gdy wyszli z grodu, na pierwszym noclegu zabił brata i zabrał dukaty. Wziął trupa na ramiona, by rzucić do rzeki, aliści gdy przyszedł nad wodę, ciało nie chciało zesunąć się z bark. Darmo szamotał się, rzucał. Przyrosło! Przyrosło całkiem do ramion! Oszalały z trwogi skrył się w lesie. Tam go na drugi dzień znaleźli ludzie. Powiedli z powrotem do grodu przed biskupa. Poznali wszyscy złotnika. Chcieli go ubić od razu jako Kaina, ale biskup nie pozwolił. Kazał zabójcy iść z ciałem brata do Jerozolimy. Więc poszedł. Wlókł się z trupem wyschłym, sczerniałym na plecach, sam bardziej do widma niż człeka żywego podobny, a ludzie odsuwali się ze zgrozą. Przez rok szedł, nareszcie doszedł. A gdy ukląkł przy Grobie Przeświętym, zesunęło się ciało brata z pleców zabójcy i poznał, że mu Bóg winę darował. Wraz też sam szczęśliwie skonał. To mi opowiadali, którzy tam byli, swymi oczyma widzieli. Przy Gro-

bie św. nie ma dnia, by się parę cudów nie zdarzyło...

— Nie ma dnia... — powtórzyła Benigna z westchnieniem.

...Nie ma dnia... Czemuż Amalryk nic o tym nie pisze? Na miejscu będąc, ileż podobnych zdarzeń musiał widzieć, słyszeć!...

— Późno już — dodała głośno — pora na spoczynek.

Późno było istotnie. Dawno już w luzyniańskim kasztelu nie czuwano o tej porze. Wstali, z hałasem odsuwając stołki. Kapelan zabrał ze sobą waganta, rad dowiedzieć się odeń jeszcze jakich nowin, stary pan odszedł z pachołkiem na swoje pokoje. Matka ociągała się z odejściem.

— Ustawicznie myślę o tym, co pisze Amalryk, że zabrałby cię do siebie — rzekła do Wita — zdałoby ci się także pojechać we świat...

— Kiedy ja wolę ostać — powiedział najzupełniej szczerze. — Chcecie się mnie z domu pozbyć, pani matko?

— Ja... ciebie?... Dla Boga! Toć wyschnę z tęsknicy...

Urwała, niezadowolona z siebie. Do czego podobne mówić takie rzeczy? Ale syn nie zwrócił na jej słowa uwagi. Choć nie posiadał wyobraźni, na myśl o dalekim wyjeździe stanęły mu przed oczyma ukochane lasy, zielone łęgi, topole nad strugą, dąbrowy... Psy i dziewczęta i śpiewania żeńców... Błysnął zębami w prześlicznym uśmiechu:

— Choćby mnie tam królem chcieli zrobić, nie pojadę!

— Za wcześnie się tym jeszcze kłopotać — odparła rozsądnie. — Obaczym, co rzekniesz za rok. Gaście światło, bo bardzo późno. Gdzie idziesz?

— Do Błażeja, zaczaić się na węża.

— Ani mi się waż! Słyszałeś, że ojciec Gaudenty będzie jutro święcił? Nie chodź tam przedtem, nie ruszaj!

— Ja go też nie będę ruszał, ino zobaczę, bo może się tylko staremu przyśniło... Nie bójcie się, pani matko, nie skrzywdzi mnie Meluzyna, ani ja jej!

Roześmiał się głośno, zaraźliwie i wyszedł. Kulejąc i mrucząc, niepotrzebny nikomu, na mnicha przeznaczony, Bertrand zawarł za nim drzwi.

Pani Benigna źle spała tej nocy. Sprawił to zapewne natłok wrażeń. Nie była przyzwyczajona do tylu wrażeń od razu. W tym poitevińskim zakątku życie cedziło je skąpo. Pomyśleć tylko: wąż dojący krowę... list od Amalryka... list długi, dziwny, uczony... Tyle nowin... Brat z trupem brata przyrośniętym do ramion... A przede wszystkim możliwość wyjazdu Wita... Powinien wyjechać... Amalryk dobry chłopiec, że o tym pamięta...

Gdy nareszcie zasnęła, trapiły ją dziwne sny. Błażejowy wąż porzucił oborę. Nie ma go już, nie ma! — krzyczał stary pastuch. — Jest na zamku! Pani Benigna biegła prędko, wrastała nogami z przerażenia w ziemię. Wąż był w sali rycerskiej, sięgał głową podniebienia. Przemieniał

się w kobietę. Kobieta-wąż oplatała ramionami kogoś... Amalryka?... Nie, Wita! Jej ukochanego Wita! On się śmiał... Nie skrzywdzi mnie Meluzyna! Kobieta-wąż oplatała go, oplatała, znów przemieniała się w gada... Matka patrzała i ruszyć nie mogła na pomoc...

Pani Benigna obudziła się z krzykiem, cała zlana zimnym potem.

— Święty Mamercie! święta Radegondo, miejcie nas w swojej opiece!

---

## ROZDZIAŁ II.

### W NOWYM KRAJU.

W Bazylice Grobu, ukończonej i poświęconej przed dwudziestu ośmiu laty, w pięćdziesiątą rocznicę zdobycia Jerozolimy, gaszono światła, gdyż nabożeństwo było ukończone. Błękitne smużki dymu pomykały ze świec pod wysokie sklepienie kopuły. W przeciwieństwie do jarzącego się na dworze słonecznego dnia — rozległe wnętrze zalegał blady, chłodny mrok. W mroku połyskiwały bogate ołtarze, nagrobki sześciu dotychczasowych królów jerozolimskich, obrazy i wota. Podwójne miedziane wierzeje otwarte były na oścież, orszak królewski wylewał się na zewnątrz falą, ustawiał w należytym porządku na wyłożonym marmurowymi płytami dziedzińcu.

Piękny ten dziedziniec przecięty był w połowie na wpół rozebranym murem, z cegły i kamieni niedbale skleconym. Miejscowi, przyzwyczajeni, nie zwracali nań uwagi, widok jego jednak był szpetny, a historia jeszcze szpetniejsza. Przed paru laty zwykłe utarczki między duchowieństwem świeckim a zakonami rycerskimi wzmogły się i zaostrzyły, przechodząc w stan otwartej wojny. Rycerze Zakonu św. Jana, czyli szpitalnicy wznieśli ten mur, zamykając wejście do świątyni, i skryci

za nim razili strzałami księży i mnichów usiłujących przedostać się do bazyliki. Sam patriarcha przybył wzywać ich do opamiętania. Obrzucili go również strzałami. Starzec zebrał strzały w snopek, który zawiesił u Grobu jako straszliwą pamiątkę, i posłał skargę do Rzymu. Rzym daleko, Zakon blisko. Nie doczekawszy się żadnego zadośćuczynienia, świątobliwy patriarcha umarł ze zgryzoty. Wprawdzie król stanął twardo po jego stronie i kazał joannitom mur rozebrać, zmarł jednak również, nim rozkaz został wykonany. Przy czternastoletnim jego następcy rycerze zakonni nie kwapili się tym bardziej. I mur stał, niewiele co ruszony, z wywalonym tylko pośrodku wąskim stosunkowo przejściem.

Przez to przejście, poprzedzając cały orszak królewski, jechali dumnie samiż oni joannici, szpitalnicy, w czarnych płaszczach przekreślonych wielkim białym krzyżem. Choć mniej potężni niż templariusze, trzymali krok przed nimi, gdyż rodowód mieli starszy. Zakon ich był założony, gdy Jerozolima pozostawała jeszcze w ręku pogan. Tego pierwszeństwa nie dało się niczym zatrzeć i pyszni rycerze Templum musieli zadowalniać się drugim miejscem w pochodzie. W przeciwieństwie do joannitów płaszcze nosili białe, a krzyż na nich czarny. Czarne zbroje i szyszaki. Przed wielkim Mistrzem niesiono chorągiew biało-czarną z napisem: *Domine, non nobis, sed Nomini Tuo da gloriam.* Sztandar ten zwał się Beaucéant i wyprzedzał chorągiew królewską. Cechą rycerzy zakon-

nych winny były być ubóstwo, wstrzemięźliwość, czystość, pokora, posłuszeństwo i męstwo. Z tych wszystkich cnót dwie jeno zostały: posłuszeństwo przełożonemu zakonu i bezprzykładna odwaga. Templariuszowi nie wolno było się poddać. Ani dawać za siebie okupu. Ani dla ocalenia życia ustąpić piędzi muru, cala gruntu. Wolno im było tylko zwyciężyć lub zginąć.

Był okres, że te żelazne, biało-czarne kohorty oddawały młodemu królestwu nieocenione usługi. W miarę jednak jak władza królewska słabła, one zaś rosły, nie wiedzieć kto bywał dla państwa gorszy i niebezpieczniejszy: Saraceni, czy joannici i templariusze?

Za templariuszami chorąży dźwigał wielką chorągiew królewską, po czym w otoczeniu najprzedniejszego rycerstwa niesiono złocistą królewską lektykę o szczelnie zaciągniętych zasłonach. Tuż za lektyką, na przepysznych bachmatach okrytych cennymi kapami wlokącymi się po bruku, jechali: siostra króla Sybilla i młody jej małżonek przed miesiącem poślubiony, Wilhelm de Montferrat, zwany Długomieczym. Był szeroki w ramionach, wysokiego wzrostu, suchej, władczej twarzy. Ogier pienił się, dreptał, przysiadał na zadzie. Rycerz wiódł go jedną ręką jakby od niechcenia, spoglądając z wysoka na tłum. Czuł się już panem grodu jako niechybny królewski następca. Młoda jego żona o ślicznej twarzy i silnie barwionych ustach rozglądała się wkoło nie szczędząc uśmiechów. Do dnia ślubu przebywała w klasztorze Be-

tanii na Górze Oliwnej pod opieką babki swej, opatki Iwetty, oraz świątobliwej ciotki tegoż co ona imienia. Wpływy obu pobożnych, oddanych Bogu kobiet nie pohamowały jej łaknienia życia. Zdawała się garnąć je teraz ku sobie oburącz. Za młodymi małżonkami i ich dworem zdążał sędziwy arcybiskup Tyru, Wilhelm, uczony historyk i preceptor króla; za arcybiskupem dwory obu królowych wdów po nieboszczyku Amalryku. Zażywna, hałaśliwa Agnieszka de Courtenay, z którą Amalrykowi kazano się rozwieść, gdyż krewniakami byli czwartego stopnia. Przeto choć dzieci ich, Baldwin i Sybilla, uznane były za prawe, musiał żonę porzucić i pojąć Porfirogenetkę Marię-Teodorę, córkę basileusa Emanuela. Pani ta, piękna jeszcze i młoda, wychowywała córkę Izabelę, nie mieszając się zgoła do rządów ani intryg dworskich. Orszak jej wyróżniał się wykwintem i nie rażącym bogactwem. Za obiema królowymi zdążało licznie rycerstwo, na koniec piesza straż grodzka.

Z zalanego słońcem placu pochód zagłębił się w mrok ciasnych uliczek. Były wąskie, strome, brukowane marmurem, o który kopyta końskie dźwięczały niby o stal. Miasto nie zmieniło się wiele od czasu, gdy Latyńcy dobywali je przed siedemdziesięciu ośmiu laty. Te same ciemne zaułki splątane w sieć labiryntu, śliskie, zaciemnione od góry kamiennymi rozporami, chroniącymi domy na wypadek trzęsienia ziemi. Domy kamienne, szare, bezozdobne, z płaskim lub beczkowato zasklepionym dachem, domy, po których nie poznać,

czy stoją tysiąc lat, czy zbudowano je wczoraj. W uliczkach mrowiła się ludność zbiegająca zewsząd pędem, by zobaczyć pański pochód powracający z kościoła. Wprawdzie ilość mieszkańców Jerozolimy spadła od dawnych czasów więcej niźli o połowę, ruchliwość ich jednak i gadatliwość sprawiały, że miasto nie robiło wrażenia wyludnionego. Zresztą w ostatnich latach przybyło sporo nowych osiedleńców. Według ukazu Baldwina III, kto zajął opuszczone: dom, winnicę lub ziemię i utrzymywał się na nich przez rok, stawał się ich właścicielem dziedzicznym i prawnym. Tak samo kto opuścił majętność na rok, tracił do niej wszelkie prawo. Zniesiono również zakazy tyczące handlu z muzułmanami, i na ulicach nie brakło już przekupniów w turbanach. Ludność była różnorodna. Latyńcy (najmniej liczni), Ormianie, Syryjczycy, Grecy, Genueńczycy, Żydzi... Różne ubiory i twarze. Zbiegali się przyciskając plecami do muru, by przepuścić orszak. Żebracy dopominali się wrzaskliwie o jałmużnę ukazując kalectwa i rany, stukając kulami i bijąc się pomiędzy sobą. Królowa matka Agnieszka rzucała im grosze ze śmiechem, królowa wdowa Maria-Teodora powściągliwie i jakby z zawstydzeniem. Sybilla nie spostrzegała ich wcale, wpatrzona w pięknego małżonka. Liczni trędowaci parli się szczególnie natrętnie ku lektyce królewskiej wołając, wyjąc i skamląc. Gdy usiłowali dotknąć jedwabnych zasłon, towarzyszący lektyce czterej bracia lazaryści odganiali ich laskami.

Odmienną cerą, charakterystycznym pątniczym ubiorem wyróżniali się w tłumie pielgrzymi przybyli świeżo ze starego kraju. Niektórzy, nie zadowalniając się wielkim kapeluszem, laską pielgrzymią i tykwą, odziani byli w dziwaczne płaszcze pokryte muszlami i karteluszkami. Byli to pielgrzymi zawodowcy, pielgrzymi zastępczy, odbywający podróż za kogoś innego. Niektórzy z nich byli tu po raz piąty i szósty. Ale to były wyjątki. Większość przygnała prawdziwa pobożność, tęsknota, jedyna w życiu. Od samych bram grodu aż do bazyliki wlekli się długim sznurem na klęczkach, kalecząc kolana o twardy bruk, nie zważając na nic, nie spostrzegając nawet przejeżdżającego orszaku. Do Chrystusa przyszli, Chrystusa czekali, Chrystusa chcieli oglądać. Jedynie widok turbanów przekupniów arabskich wprawiał ich w zdumienie i oszołomienie. Jakże to? Więc poganie jeszcze są w Jerozolimie?

Z cuchnącego cieniu zaułków wąż pochodu wyszedł wreszcie na oślepiającą otwartą przestrzeń góry Moriah. Cztery bramy wiodły na szerokie płaskowzgórze wyłożone wielkimi płytami. Pośrodku, w miejscu gdzie niegdyś stały świątynia Salomonowa i świątynia Herodowa, której zniszczenie przepowiedział Pan, wznosił się meczet kalifa Omara, zwany Meczetem Skały, Kouba-el-Sakra, a obecnie przemieniony na kościół, Templum Domini lub Kościół Skały. Znajdował się w nim bowiem wielki szary głaz, z którego według podania miał się wznieść w powietrze Eliasz, —

na którym Abraham chciał ofiarować Izaaka. Głaz służył niegdyś do ofiar krwawych, całopalnych, a obecnie za ołtarz Ofiary bezkrwawej. Świątynia zbyt mała w stosunku do potężnych rozmiarów placu, ośmiokątna, skrząca klejnotami, barwną emalią i szkłem, zdawała się barwistym motylem, co przysiadł na brzegu stołu, by wnet w dal ulecieć. Wewnątrz, w kolorowym migocącym tajemniczo mroku, widniała olbrzymia postać Trójcy Świętej. Bóg Ojciec sięgający sklepienia trzymał na kolanach Chrystusa z krzyżem na ramieniu. Duch Św. unosił się nad Oboma. Ani te postacie, ani umieszczone w bocznych wnękach złociste wizerunki Matki Bożej i Świętych nie zdołały zatrzeć wschodniego charakteru świątyni. Choć poświęcone, Templum Domini nie przestawało być sanktuarium innej, obcej wiary, nie budziło pobożności, nie wzniecało uniesienia.

Po przeciwnej stronie wielkiego placu-majdanu wznosił się pałac królewski. Był on również poprzednio meczetem. Zwano go El-Aksa. Ponieważ budowali go budownicy bizantyjscy, posiadał wygląd więcej chrześcijański. Olbrzymi gmach mieścił w sobie z łatwością cały dwór królewski. Pod pałacem, w wysokich, niezmiernie starożytnych podziemiach, wspartych na rzędach granitowych kolumn (według podania podziemia te drążyły duchy ziemi, dżiny, na rozkaz Salomona), pomieszczono kuchnie i stajnie królewskie. Zrazu konie płoszyły się i lękały, gdy je sprowadzano w dół ciemną pochylnią, wprędce jednak oswoiły się zupeł-

nie. Były to dobre stajnie, bo chłodne, i muchy mniej w nich dokuczały niż na dworze.

Przestrzeń między pałacem El-Aksa a Templum Domini zamykał klasztor i kaplica rycerzy zakonnych, którzy od tego sąsiedztwa wzięli swą nazwę templariuszów. W przeciwieństwie do wschodniego przepychu Templum, kaplica była uboga i miała wygląd surowy. Reguła rycerzy zabraniała w kościele innych ozdób jak broń zdobyta na nieprzyjacielu, przeto wokół krzyża wisiały buńczuki, tarcze i połamane oszczepy. Klasztor rycerzy na zewnątrz równie ubogo wyglądał; opowiadano sobie jednak na ucho, że wewnątrz panuje niebywały zbytek. Zresztą ten ostatni rozkładał się wszędzie. Dawno minęły czasy, gdy pierwszy król jerozolimski Godfryd, przyjmował posłów sułtana siedząc na ziemi w namiocie, a na ich zdziwienie odparł, że pył, z którego człowiek powstał, proch, w któren się po śmierci obróci, najstosowniejszym jest dlań i za życia siedziskiem. Prostota pierwszych rycerzy dawno przeminęła. Już Baldwin I z Edessy otoczył się wschodniobizantyjskim przepychem, a następcy jego szli tą samą drogą.

Z płaszczyzny otaczającej Templum Domini i pałac królewski widać było całe miasto. Mury grodu, zniszczone przed laty czasu oblężenia, zostały odbudowane, podwyższone i umocnione. Zębatym pierścieniem obiegały wkoło wzgórza. Z grodu i poza murami strzelały wieże przelicznych kościołów.

Dworski orszak zatrzymał się przed pałacem El-Aksa, gdzie król wydawał ucztę dla swych gości Jaskrawe słońce grało w barwach płaszczy. Wbrew obyczajom Zachodu zalecającym rycerzom kolory syte, lecz ciemne, były one świetne, lśniące. I w tym, jak w tylu innych rzeczach, Wschód narzucił nowe pojęcia, nowe upodobania.

Dzisiejsza uczta stanowiła pożegnanie młodych małżonków wyjeżdżających nazajutrz w dwumiesięczny objazd nadmorskich grodów. Nikomu nie było tajno, że po ich powrocie król przekaże dziewierzowi władzę. Niejeden zatem kłonił się przed de Montferratem śpieszniej niż przed królem samym.

Ten ostatni wysiadał właśnie z lektyki przy pomocy lazarystów. Był szczupły, smukły, siedemnastoletni, o nienaturalnie białej cerze. Uderzającą sprzeczność z twarzą nieomal dziecinną stanowiły oczy dojrzałe, mądre, bolesne, o niezwykłej powadze i surowości spojrzenia. Na głowie nosił aksamitną czapkę ze złotą zębatą obręczą, oznaką władzy królewskiej. Spod czapki zwieszała się jedwabna chusta osłaniająca kark, szyję i uszy, spięta pod brodą niby kwef zakonny. Ciemna szata czyniła go jeszcze szczuplejszym. Rękawy były znacznie dłuższe niźli ręce. Miał zwyczaj, że gdy się zamyślił, lub zdało mu się, że nikt nań nie patrzy, odsuwał rękaw i przyglądał się własnym dłoniom badając każdy palec po kolei. Był to jego ruch charakterystyczny. Mówił bardzo mało, odzywał się rzadko. Teraz opierając się na ramie-

niu jednego z braci lazarystów, szedł zwolna ku sali biesiadnej. Za nim reszta gości w tym samym porządku, w jakim jechali z kościoła.

Sala była olbrzymia, dawny meczet stanowiąca, o pięciu równoległych nawach. Cztery rzędy kolumn z jednolitego żółtego marmuru podpierało płaski pułap. Pięć długich stołów dymiło już jadłem. Zmęczeni długim nabożeństwem goście siadali z pośpiechem. Bizantyjski ceremoniał łączył się na dworze jerozolimskim z latyńską niewymuszonością i poczuciem własnej wartości u każdego z obecnych. W gruncie rzeczy wszyscy tu zebrani prócz jednej, jedynej Porfirogenetki, byli równymi sobie i pamiętali o tym. Nie przejmowali się zbytnio obecnością króla, co z białą twarzą chorego dziecka siedział nieruchomo i milcząco na podwyższeniu pod królewskim baldachimem. Mógł tam spokojnie oglądać swe ręce. Nikt nań nie zwracał uwagi.

Gdy pierwszy głód został zaspokojony, ożywiony, huczny gwar wypełnił salę. Współudział w uczcie dostojnych pań, co było rzeczą dotąd na Zachodzie nieznaną, dodawał ponęty rozmowom, zagrzewał umysły niegorzej od wina. Zwłaszcza, że prócz niemłodej i przysadzistej królowej matki, Agnieszki de Courtenay, nie było tu ani jednej białogłowy brzydkiej a bodaj nieurodziwej. Jak gdyby dla niewiast szpetnych nie było miejsca w królestwie jerozolimskim. Obie siostry królewskie, starsza Sybilla i młodziutka Izabela, królowa

wdowa Porfirogenetka, ich dwórki, ich ochmistrzynie, wszystkie były młode, wszystkie tęczyły się perłową różanością skóry, powabem oczu, malowanym karminem warg. Wnuczki krzepkich białek w zgrzebnych giezłach, nie znających sztuki podobania się, ni trefienia włosów, ni barwienia lic, przeobraziły się z zadziwiającą szybkością w świadome swych kunsztów i wdzięków zalotnice. Bogata domieszka krwi syryjskiej, a niejednokrotnie arabskiej, przydała im zmysłowości; stara, dobra krew rycerska dała odwagę i szczerość. Przykład Greczynek pobudził chęć do nauki. Wszyscy kronikarze zgadzają się jednogłośnie, że równie uroczych a niebezpiecznych białek jak szlachetne panie jerozolimskie nie było nigdy na świecie.

Czuły tę władzę, czuły swą urodę, toteż rozprawiały żywo, śmiały się głośno, przechylając szyję jak ptak pijący wodę. Brały radosny odwet za przymusową bierność i milczenie matek, babek i prababek. Chwilami wysokie ich głosy górowały nad męskimi. Wtedy wielki mistrz templariuszów, Odo de St. Amand, uważany powszechnie za wroga niewiast, marszczył gniewnie czoło z nieukrywanym zgorszeniem. Spoglądał na króla, jakby wzywając jego surowego sądu. Lecz król patrzył na swe ręce, pogrążony we własnych myślach. Przenosił tedy wzrok na arcybiskupa z Tyru, który znów z ojcowską troską przyglądał się królowi. Patriarcha Herakliusz, przystojny światowiec, prawił coś żywo królowej matce Agnieszce. Zażywna podwika śmiała się jak młódka, aż trzęsły się jej

obfite piersi. Surowe, tępe spojrzenie wielkiego mistrza nie znajdowało nigdzie życzliwego zrozumienia.

Służba barwnie, na poły po turecku odziana, paziowie w pstrych, szkarłatnych strojach, rozlewali wino, roznosili wciąż nowe potrawy. Biły z nich ulubione korzenne wonie, pieprz, cynamon, kardemon i szafran. Od tych zapachów i wina w olbrzymiej sali zdało się być duszno. Ucztujący huczeli jak rój. Miejscami wytryskiwały głośne śmiechy, gdzie indziej wszczynały się zwady. Owdzie poczynano śpiewać. Królowa wdowa Porfirogenetka spuszczała oczy, jak gdyby tego nie zauważając.

Orężne śpieszne kroki dźwięknęły u drzwi. Bojowy miecz zastukał po marmurowej posadzce. Ucztujący przycichli i podnieśli głowy. Ktoś nowy nadchodził. Du Gray, jeden z rycerzy stróżujących w stanicy przy „Brodzie Jakubowym" na Jordanie.

Przybyły szedł prosto do króla, pokłonił się przed nim nisko.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty!

— Oby go wspomagał! — odparł Baldwin. — Witaj, du Gray! Czy zaszło co nowego?

— Tak jest, miłościwy panie. Emir Al Maleh wpadł w dwieście koni, ledwośmy go zadzierżyli...

— Naruszył granicę?! — zakrzyknął król ze zdumieniem.

— Nnnie... De la Haye poszedł niepotrzebnie w głąb...

— Znowu to samo! Wiecznie to samo! Odpowie mi de la Haye! Straty duże?

— Dziesięciu pieszych poległo. Rannych kupa. Z rycerzy ranion de Broyes, a Ibelin z Ramli wzięty do niewoli...

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! Ibelin w niewoli!?

— Tak jest, miłościwy panie. Koń go przygniótł ogłuszonego.

— Ibelin z Ramli w niewoli!... — Szmer zdziwiony obiegł salę. Taki rycerz jak Ibelin pozwolił się wziąć do niewoli?!

— On już z Jerozolimy wyjechał ogłuszony, więc nie dziw! — zawołał Renald z Sydonu. — Woli u poganów gnić, niż cudze szczęście oglądać!

Buchnął śmiech gromki, ogólny, bo uczucie rycerza z Ramli dla siostry królewskiej było powszechnie znane. A jużci! A jużci! Pewnie co tak! Nieborak wolał niewolę... Spojrzenia wszystkich pobiegły ku Sybilli, która z zalotnym zakłopotaniem pochylała głowę pozornie zmieszana, w gruncie zadowolona. Mąż jej uderzył się dłonią po udzie:

— Na mój długi miecz! Będę pierwszym, który ruszy na pomoc tego dobrego rycerza!

— Ostawcie go lepiej. Niech przecierpi w odległości — zapewniał Renald.

Baldwin IV podniósł głowę.

— Nie ma ceny, której bym skąpił, by wykupić Ibelina — rzekł. — Zrzuć pancerz, du Gray, i siadaj z nami za stołem.

— Mam jeszcze jedną wiadomość, miłościwy panie.

— Powiadaj!

— Na rozkaz sułtana Aleppo Imad al Dina, szeik Gumusztekin zwrócił wolność rycerzowi Renaldowi de Chatillon...

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — zakrzyknął król po raz trzeci. — Coś rzekł?

— Dobry rycerz Renald de Chatillon, były książę Antiochii, wypuszczon z niewoli. Za dwie niedziele najdalej pokłoni się miłościwemu panu...

— Dobrze. Możesz usiąść.

Baldwin IV spuścił oczy na swe ręce i zamyślił się. Nienaturalnie białe czoło przecięła głęboka zmarszczka. Przy stole pod wpływem nieoczekiwanej wiadomości zapadła cisza. Wielki mistrz spojrzał tryumfująco w stronę króla.

— Renald de Chatillon na wolności — skończone z polityką układów! — rzekł głośno.

De Montferrat pochylił się ku niemu przez stół, wlepiając weń swe bladoniebieskie oczy.

— Zali sądzicie, panie, że obecność jednego barona może oddziaływać tak lub owak na politykę królewską?

Głos jego świszczał jak bat. Wielki mistrz wydął pogardliwie usta, lecz ku ogólnemu zdziwieniu nie odparł nic. Król spojrzał na swego szwagra z wdzięcznością.

— Renald de Chatillon na wolności! — dziwił się Renald z Sydonu. — Nareszcie go obaczym... Wieleż to lat siedział u muzułmanów?

— Szesnaście, szesnaście z okładem!

— Postarzał się pewno chłop!

— Uspokoił może?

— Pijmy, bracia, zdrowie zmartwychwstałego rycerza! Szesnaście lat!

— Ciekawość, co będzie czynił? Gdzie się sierota podzieje?

— Żona nie żyje. Antiocheńczycy ani go w bramę nie puszczą.

— Oj, nie puszczą! Dotąd go jeszcze dobrze wspominają!

— Może go przytuli dla dawnych wspomnień Stefania de Milly?

— Cichajcie, syn siedzi blisko...

— A cóż ja złego powiadam?... Obaczycie, jeszcze się pobiorą, i Renald zasiądzie na Kraku.

— Nie dałby on wtedy żyć Saladynowi...

— Imad al Din tylko dlatego go puścił, by dokuczyć razem królowi i Saladynowi...

— Na Święte Drzewo! To może być! Może być!

— Kto zacz ów rycerz wypuszczony, o którym tyle mówią? — zapytał Amalryk de Lusignan siedzącego obok Onufrego de Thoron o twarzy gładkiej jak panna.

— Nie wiem — odparł obojętnie młodzieniaszek nie odrywając oczu od siedzącej naprzeciw królewny Izabeli.

Rycerz de Grandpré, jeden ze starszych przy stole, wychylił się zza jego pleców ku Amalrykowi i rzekł:

— Nie pytajcie żółtodzioba, któren koszulę w zębach nosił, gdy de Chatillon do niewoli szedł. Przesiądźcie się, to opowiem.

— Czy zwolicie, panie, byśmy zamienili miejsca? — zapytał Amalryk sąsiada. Choć daleko mu było do urody młodszego brata Wita, miał jednak ujmującą powierzchowność, zręczne, opanowane ruchy. Każde jego słowo było wynikiem namysłu.

Zakochany młodzieniec przystał najchętniej. Nie słyszał zarówno nazwy żółtodzioba, jak przyczyny zmiany miejsca. Ale ustąpił uprzejmie.

— Zatem? — dopytywał ciekawie Amalryk.

— Zatem, ów Renald z Chatillonu przyjechał z kraju, będzie temu ze dwadzieścia parę lat. Jakoś koło roku Pańskiego 1155. Za rządów króla Baldwina III, stryja tego nieboraka. Przyjechał. Piękny jak malowanie, głupi jak but. Ród całkiem chudopacholski. Ognisty, bo ognisty i wojownik przedni, to jedno. Przyjechał do Antiochii, żeby z Saraceny czynić i łupu się nabrać, bo chciwa bestia jak kruk. No i tak. Jakoś na rok wcześniej owdowiała księżna Konstancja, wnuczka Boemunda Wielkiego z Tarentu, pierwszego latyńskiego pana Antiochii... W bitwie męża jej ubili... Księstwo Antiochii, wiecie! Ważniejsze, znaczniejsze, niż całe królestwo. Bez Antiochii Jerozolima nie ostałaby się długo. Więc król dalejże w rady, kogo jej wybrać na męża, żeby był sposobny do rządów. Bez mała pół roku w Antiochii siedział namawiając, rail co najprzedniejszych, to tego, to owego. Wszystko na nic. Baba, jak to baba. Uparła się, że żaden jej się nie podoba i żadnego nie weźmie. Sama będzie rządzić księstwem...

— Uszom trudno wierzyć — zauważył Amalryk — żeby niewiasty taką miały swawolę. Nie mógłże jej król rozkazać?!

— Chyba u was w starym kraju można co jeszcze białkom rozkazywać. U nas czynią, co chcą wedle swojej woli... Więc król daremnie przedstawiał, jako sama nie da rady rządzić, bo Nur-al-ed-Din następuje, i księstwu trzeba orężnego pana. Nie i nie. Król wrócił nic nie wskórawszy, a tymczasem trzebaż trafu, że nawinął się jej pod oczy ów Renald świeżo przybyły. I patrzcie, panie! Najprzedniejszych rycerzy odrzuciła, a w tym w godzinę się rozmiłowała, ślub bez zezwolenia królewskiego wzięła, dopieroż słała po słów do Jerozolimy, że tak i tak postąpiła... Co si działo! Co się działo! Wszyscy od zmysłów o( chodzili, że taka wielka, sławna i urodzona pa poślubiła przybłędę!. Na Święte Drzewo! Król mało się nie wściekł! Ale już nic nie poradził. Przybłęda został księciem. Wnet też pokazał, co umie. Patriarchę, świętego człowieka, że mu przestrogi udzielił, kazał osmagać, miodem posmarować i nago wystawić na wieży, na słońce, muchom na uciechę. Czego poganin nie byłby uczynił, on się ważył, chrześcijanin! Potem już roku nie było bez kłopotu z nim. Króla nie słuchał, Boga się nie bał, wojnę ze wszystkimi wiódł, przysięgi nigdy żadnej nie uszanował. Bez grabieży żyć nie potrafił. Można by do nocy opowiadać, co nabroił. Żonę zdrowo bił, kochanice trzymał i to jedno dobre, że Konstancja miała za swoje, oj miała! Ale

cóż? Zła to nie odrobiło... Więc u was białogłowy jeszcze cichcem siedzą? Wielkie to szczęście. Z białkami ustawiczne zmartwienia. A słyszeliście, jako się sprawiała ciotka tejże Konstancji, królowa Melizanda, Fulki Andegaweńskiego żona, co z rycerzem Hugonem du Puiset pokładała się tajemnie, aż pasierb zdradził, i całe królestwo stanęło w wojnie, bo du Puiset do poganów zbiegł i z nimi się przeciw królowi pokumał?... Albo Alix, co ją nazywali Złotą Nogą, bo w złotych butach chodziła... Z Saladynem nie było tyle kłopotu, co z nią!

— Można by sądzić — zauważył uszczypliwie Amalryk — że tutejszym królestwem rządziły kobiety.

— A można by, można! Mają one zawdy głos wielki i niepocieszny...

— Jak było dalej z Renaldem? — dopytywał Luzynian.

— No nic. Bogu dziękować, wziął go kiedyś Gumusztekin do niewoli. Co za radość była w państwie, to trudno powiedzieć. Innego rycerza dawno by król wykupił, ale z tym się nie kwapił. Jeszcze by chętnie dopłacił, aby go dobrze strzeżono. Szesnaście lat siedział. Już i zapomnieliśmy o nim wszyscy. Aż tu patrzcie: wypuszczony! Nie dziw, że nasz mały się zasumował, choć tylko z opowiadania go zna...

— Po tylu latach może się zmienił?

— To diabeł, nie człowiek. Nie zmieni się do śmierci. A jeżeli do tego...

Urwał, bo już wstawano od stołów. Całe popołudnie minęło niepostrzeżenie i na dworze słońce już się miało ku zachodowi. Służba podtrzymywała chwiejących się na nogach panów. Odsuwane stołki przewracały się z hałasem. Twarze kobiet i mężczyzn były czerwone, obrzmiałe od wina, lśniące od potu. Król przed odejściem obejrzał się na arcybiskupa z Tyru.

— Miłościwy panie? — zapytał tenże podchodząc śpiesznie.

— Chciałbym, aby moja siostra z mężem przyszli do mnie i nikt więcej prócz was... Samotrzeć...

Odszedł opierając się ze znużeniem na swych lazarystach. Powiedli go do komnat, rozebrali, wykąpali w zaprawionej wonnościami i ziołami wodzie. Poddawał się bezwładnie ich wprawnym, silnym dłoniom, nie czyniąc sam przez się żadnego ruchu. Oczy miał zamknięte. Bał się widoku własnego ciała. Lazarystów było czterech. Mieli imiona Jan, Marek, Mateusz i Łukasz, wskutek czego zwano ich powszechnie ewangelistami. Nie odstępowali nigdy króla, sprawując przy nim wszelkie posługi.

Zakon lazarystów był starszy niż wszystkie inne zakony jerozolimskie. Założył go cesarz rzymski Herakliusz, ten sam, który odebrał stracone Drzewo Krzyża Świętego. Celem zakonu było pielęgnowanie chorych, szczególnie tych, których nikt dotknąć się nie śmie. Od wieków sprawiali to zadanie ochoczo, z wielką gotowością i cierpli-

wością, wypełniając — jak pisali kronikarze — niebo skarbem swoich zasług. Nie posiadali znaczenia politycznego i nie ubiegali się o nie. Nie gromadzili bogactw. Lecz byli o tyle miłowani, o ile templariusze i joannici nienawidzeni.

Króla wykąpanego, przeodzianego w lnianą bieliznę, ułożyli na łożu, okryli. Leżał jak martwy, biało siny, bielszy niż jego posłanie.

— Nic wam nie trzeba, miłościwy panie? — zapytał brat Jan nachylając się.

— Nie, możecie iść.

Otworzył oczy, spojrzał mimo woli na silną, brunatną dłoń lazarysty wygładzającą zmarszczki na pościeli i zapytał, jakby tknięty nagłą myślą:

— Czy wszyscy jesteście zdrowi?

— Tak jest, miłościwy panie — odparł brat Jan ze zdziwieniem.

— Jak się to dzieje, skoro tyle czasu już przy mnie jesteście?

Lazarysta rozłożył ręce.

— W naszym zakonie mało kto się zaraża...

— Dlaczego!?

— Bo ja wiem... Może dlatego, że się nie boim... Przy was, miłościwy panie, służba lekka... Powietrze czyste... zważamy na siebie... Ale bracia, co po przytuliskach i hospicjach z największą biedotą siedzą!... Od smrodu tchu złapać nie można... Jedzenie w gardło nie wejdzie... I także rzadko chorują...

— Może znacie jaki sposób, żeby się uchronić?

Brat Jan roześmiał się szczerze.

— Gdybyśmy znali, pewnikiem nie tailibyśmy go dla siebie... Sposobu nie mamy... Jeno tak.... Przywyklim... I widno potrzebni jesteśmy, bo któż by się największą nędzą opiekował, gdyby naszego zakonu nie było... Więc nas Miłosierny Pan nasz Jezus Chrystus chroni...

— Sądzicie, bracie, że Bóg chroni tych, którzy są potrzebni...

— A jakżeby inaczej?

Pochylił się niżej nad leżącym pacholęciem i dodał w kształcie luźnej uwagi:

— Wczoraj wśród pielgrzymów, co do Grobu św. przyszli, znów jeden chory uzdrowiony został.

Wyprostował się i odsunął, bo u drzwi rozległy się kroki. Arcybiskup Tyru i oboje de Montferrat nadchodzili. Bracia lazaryści o ewangelicznych imionach odeszli.

— Chciałeś nas widzieć, miłościwy panie szwagrze? — zapytał wesoło Długomieczy. Usiadł swobodnie na ławie przy łożu. Tchnął siłą i zdrowiem. Sybilla została opodal drzwi, niezadowolona, rada jak najprędzej odejść. Brzydziła się bratem nieprzezwyciężenie.

— Chciałem zapytać, czy nie zaniechalibyście jutrzejszej podróży?

— Z jakiej przyczyny? — spytał Montferrat zaskoczony.

— Sam nie wiem... Tak mi się zda... Może to te wiadomości...

— O wypuszczeniu Chatillona? Miłościwy panie! Jakież mogą mieć znaczenie?...

— Sam nie wiem — tłumaczył się chory z zakłopotaniem — nie potrafię określić... ale...

Dziewierz spojrzał na niego z pobłażaniem, jakie siła żywi dla słabości.

— Wola wasza jest dla nas rozkazem, lecz nie pojmuję zgoła, o co chodzi? Nimby wypadło Chatillona poskramiać, dawno będziemy z powrotem. I to przecie stary człowiek... Robią z niego straszaka, pomnąc jakim był, ale nikt nie myśli, jakim teraz jest... Po szesnastu latach!... Stary, bezdomny rycerz... Komu może zagrażać? Nie licząc, że jeszcze go nie ma, że rychlej jak za parę niedziel tutaj nie przybędzie...

— Nie chodzi mi o Renalda de Chatillon — odparł król.

— Więc o co? Zresztą już rzekłem, że wola wasza jest dla nas rozkazem. Chcecie, byśmy ostali, ostaniem.

— Ja nie chcę! — pisnęła rozpaczliwie Sybilla. — Panie bracie! Ja nie chcę! Zezwoliliście przecie na wyjazd? Dlaczego odmieniać?... Toboły już spakowane... Ja się tak cieszyłam... Obrzydło mi już to miasto, te kamienie, ta pustynia... Duszę się tu... Wyjechać, bodaj na tych parę niedziel! Kilka niedziel... Cóż to znaczy?! O co chodzi? Wytłumaczyć raczcie, dlaczego mamy nie jechać?

— Sam nie wiem — powtarzał chory. Istotnie, nie wiedział. Było to coś nieokreślonego. Błysk w oku wielkiego mistrza templariuszów, gdy starł

się z de Montferratem. Błysk, który przejął grozą. Ale jakże to powiedzieć?

— Więc skoro sami nie wiecie, przyczyny żadnej nie ma... — nacierała Sybilla. — Dla zachcianki chcecie mnie znów pokrzywdzić! Zawsze mnie krzywdzicie... Trzymaliście mnie w klasztorze tyle czasu...

— Nie ja, tylko pani matka...

— Z waszym zezwoleniem... Trzeba się było za mną ująć... W klasztorze! Co ja użyłam młodości!? Jakie miałam lata!? I za co?

W zapale zapomniała o wstręcie. Przysuwała się do łoża prosząca, gniewna, rozgorączkowana.

— Lepsze chyba twe lata niż moje — zauważył Baldwin. Westchnął ciężko. Odskoczyła. Zaleciał ją przykry oddech.

Montferrat milczał nie mieszając się do sporu rodzeństwa. Sam zresztą nie wiedział, po czyjej stronie stanąć. Baldwin chce go zatrzymać niewątpliwie po to, by wcześniej władzę królewską przekazać. W takim razie lepiej zostać. Przyjemnie o dwa miesiące rychlej poczuć się królem... Ale znów Sybilla! Był w niej szczerze zakochany. Nie zdążył się nią jeszcze nasycić i równie jak ona pragnął beztroskiej wędrówki po wesołych grodach nadmorskich, wśród gajów pomarańczowych i winnic. Gdy będzie królem, skończone! Szyszak na głowę, miecz do boku i uganiaj od jednej granicy do drugiej, użeraj się z baronami, z templariuszami, z joannitami, z tymi wszystkimi diabłami, gorszymi od Saracenów...

— Ja nie chcę! Ja nie chcę! — płakała Sybilla tupiąc nogą. — Żeby był jakiś powód, jakiśkolwiek powód! Ale tak sobie, tylko żeby mnie dokuczyć!

Montferrat spoważniał nagle.

— Może czujecie się gorzej, miłościwy panie dziewierzu?

— Nie — odparł Baldwin. — Nie. Przeciwnie. Czuję się jakby silniejszy. Latem zawsze mi lepiej. Nie.

Przymknął oczy i rozważał. Sybilla ma nieznośny głos! Dlaczego właściwie ich zatrzymuje? Że de St. Amand — o którym powiadają, iż go diabeł trzymał do chrztu — koso spojrzał? Wielkie rzeczy! Powodu naprawdę nie ma. Więc może siostra słusznie prawi, że to są zwykłe zwidzenia, bezpodstawna zachcianka chorego?

— Jedźcie, skoro chcecie — rzekł głośno — i wracajcie zdrowo. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Skinął ręką. Wyszli oboje. Sybilla z nieukrywanym pośpiechem. Mąż jej zwolna, jakby się ociągając. Od progu spojrzał jeszcze wyczekująco na szwagra. Leżał nieruchomo, patrząc w pułap. Blado sine widmo. Wilhelm de Montferrat, zwany Długomieczym, zamknął ostrożnie drzwi. Sybilla uchwyciła go za ramię.

— Nareszcie! — zawołała. — Żeby nie ja, byłbyś się dał zatrzymać! Podziękuj mi! Uf, jaki on okropny! Br... br... Boję się tam wchodzić... My-

ślę, że gdy będziesz królem, zamknie się w jakim klasztorze i nie będzie go trzeba oglądać?...

— Dlaczego nas chciał zatrzymać? — odpowiedział mąż z zamyśleniem.

W królewskiej komnacie trwała cisza. Milczący dotychczas arcybiskup przysunął się cicho do łoża.

— Dwa miesiące prędko miną — stwierdził uspokajająco.

Baldwin zwrócił nań pomału spojrzenie.

— Może być, może być... Mniejsza o to... Mówił mi brat Jan, że znów jeden chory pielgrzym przy Grobie św. uzdrowiony został...

---

## ROZDZIAŁ III.

### T R Ę D O W A T Y.

— ...Mówił brat Jan, że znów jeden z pielgrzymów przy Grobie św. uzdrowiony został — powtórzył król jak gdyby z wymówką. — Dlaczego zawsze i tylko spośród pielgrzymów, nigdy spomiędzy nas?... Czy my poganie, czy co?...

Uczony Wilhelm, arcybiskup Tyru, podniósł ramiona żałosnym ruchem niewiedzy.

— Dlaczego?! — powtórzył natarczywie Baldwin. — Zza morza wloką tu swoich chorych i chorzy są uzdrowieni, a my, cośmy na miejscu, my którzy mamy Grób św., zgoła jakbyśmy o Nim nie wiedzieli! Czemu, gdy byłem małym dzieckiem, nie zanieśliście mnie do Grobu, jak pielgrzymi noszą swoich? Może byłbym uzdrowiony?! Chrystus leczył trędowatych...

— Csss... — szepnął arcybiskup oglądając się.

Baldwin roześmiał się gorzko.

— W dalszym ciągu tajemnica? I tak już cały świat o niej wie. Trędowaty, trędowaty... Czy sądzicie, ojcze, że ludzie są ślepi? Że ktokolwiek, raz mnie ujrzawszy, wątpi o naturze mej choroby?

— Dobro państwa nakazuje ukrywać to nieszczęście, dopóki się da...

Baldwin uniósł się na łożu i spojrzał na mówiącego złym wzrokiem.

— Dla dobra państwa — rzekł twardo — należało zgładzić mnie potajemnie w dzieciństwie, a na moje miejsce usynowić jakiegoś zdrowego chłopca szlachetnego rodu. To należało uczynić dla dobra państwa, miasto hodować mnie na króla. Trędowatego króla! Na zgubę i pośmiewisko!

Arcybiskup pochylił nisko głowę niby uderzony.

— Król nieboszczyk miłował was...

— Wiem, że miłował... Wy, ojcze, też...

— Czy wątpicie, że was miłuję i dzisiaj?

— Nie, ale złe było wasze miłowanie! Wróg by gorzej nie postąpił! Gdyście spostrzegli, żem chory, trzeba mnie było ubić, ubić i odrzucić, jak się odrzuca nieczystość...

— Był jeden, który to miłościwemu królowi nieboszczykowi doradzał — wyznał uczony — ale na taką mowę porwał się on, pomnę, za miecz...

— Dawno temu? — spytał król. Leżał znów na wznak z przymkniętymi oczami.

— Będzie siedem lat... Dziesiąty rok wam szedł...

— Opowiedzcie, jak to było!

— Zaśnijcie lepiej, miłościwy panie, najdroższe moje dziecko. Po co próżnej zgryzoty przyczyniać, stare dzieje rozpamiętując?

— Powiadajcie! — nalegał chory rozkazująco.

— ...Bezpotrzebnie to powiadam, ale skoro chcecie... Dziesiąty rok wam szedł... Na święte Narzędzia Męki! Nie było zmyślniejszego, piękniej-

szego, zdrowszego dziecka... Każdy patrząc powiadał z uciechą: prawy król rośnie, włodyka, któren wywyższy królestwo... Ani w nauce ściglejszegom od was nie spotkał... Zresztą, co opowiadać? Sami pamiętacie... Rozrywką była nauka... Co dnia dziękowałem Bogu, że skołatane państwo takiego otrzyma dziedzica... I wtedy...

— Wtedy co? — naglił Baldwin niecierpliwie.

— Patrzałem co dnia z ganku, jak się bawicie z innymi pacholętami na dziedzińcu, trzaskając w kije niby w miecze... Jak to w igrach chłopięcych, nieraz jeden drugiego tęgo trzcinką przez ręce czy plecy zdzielił, że tamten wrzasku narobił, a sam za trzcinkę chwytał i dalejże bić... Patrzałem tak co dnia i często dziwowałem się, że w tym zgiełku nigdy mojego królewicza nie słychać, choć też go poniektóry krzepko walnie... Nie oszczędzali królewskiego syna, nie! Myślałem: hardy taki, czy bólu nie czuje?... Raz nie strzymałem, pytam się was... Pamiętacie, jakem się pytał?

— Nie.

— Pytam się, dlaczego nigdy nie krzykniecie, a wy na to: „bo mnie nie boli". A jak uderzą prętem? Też nie boli. Ciągnę was za ręce ku światłu, oglądam skórę... Na pozór niby zwyczajna, ale jak ścisnąć, nie czerwieni się... Próbuję pazurem drapnąć, ani znaku... Niech Bóg wspomaga Grób święty! Jakby mnie kto warem oblał... Poszedłem do miłościwego króla cały dygocący. Proszę, niech medyka wezwie, ale roztropnego, pewnego, co by

nie rozgadał... Król roześmiał się zrazu, ale medyka sprowadził...

— To pamiętam — zauważył Baldwin nie otwierając oczu.

— ...I medyk poznał od razu... Powiedział miłościwemu królowi, że ratunku żadnego nie masz, i że lepiej takiego dziecka nie chować...

— Słusznie mówił. Trzeba mnie było struć... Oszczędzić męki, a królestwu wstydu... Co rzekł wtedy ojciec?

— Medykowi mieczem zagroził, że mu taką rzecz doradza, pod gardłem zabronił mówić komukolwiek o tym, co obaczył, sam zawarł się w komnacie i trzy dni nikt do niego dostępu nie miał... Płakał pono... Giermki nasłuchiwały pod drzwiami, słyszały... Płakał w głos... Trzy dni nikogo nie widział... Dwór mało nie oszalał, bo przyczyny nikt nie wiedział. I nie dowiedziano się. Nawet królowa nie wiedziała... Prawdę znali tylko król, medyk i ja...

— Trzeba mnie było struć — powtórzył Baldwin z wyrzutem. — Jeżeli ojciec nie chciał, to wy...

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! Życie moje byłbym wam dał, nie truciznę!

Odetchnął ciężko i ciągnął:

— ...Od tej pory miłościwy król zdał się jak odmieniony. Wiem ja, że ta zgryzota przyprawiła go o rychlejszy zgon. Nie leciwy był przecie, nie... Mógł jeszcze szczęśliwie panować... Ale się gryzł... Kiedy mu różni, nawet sułtan, winszowali, że ta-

kiego ma dziedzica, patrzył na was, patrzył... Od tego wzroku — ja jeden, com wiedział — myślałem, że serce się we mnie rozłamie...

— Pamiętam ten jego zatroskany wzrok — rzekł Baldwin z zamyśleniem. — Ach, czemu było taić przede mną!? Byłbym sam do klasztoru zbiegł, albo w morze skoczył, nim włożyliście na mnie królowanie... Nic, nic nie wiedziałem... Pierwszy raz tknęło mnie jakieś niedobre przeczucie po bitwie pod Ain Anżar... Ostatni dzień w życiu, kiedy się czułem szczęśliwy...

— Jak to, wtedy już?...

— Wtedy się jąłem domyślać... Ain Anżar!... Całe moje życie zmieściło się w owym pierwszym roku panowania... Z wiosną na pogany... W trzy kwartały później na pogany po raz drugi... Za każdym razem zwycięsko... Wiosną wpław przez Jordan, przez oazy Paneasu, przez zbocza Hermonu zwieńczonego śniegiem, śpiesznym pochodem pod mury Damaszku... Przykładając siekierę do pni drzew, wywabialiśmy nieprzyjaciela zamkniętego w grodzie w pole... Zdobyliśmy miasto Dareja, które jest prawie przedmieściem damasceńskim... Wracając z łupem i jeńcami zajęliśmy jeszcze twierdzę Beit-Dżin u stóp Libanu... Twierdza stała w dolinie pełnej źródeł i kwiatów, którą nazwaliśmy Domus Voluptatis... Ludzie zbiegali się ku nam zewsząd, wołając: „Król! Król!“... I Saraceny wołali: „Al Malik!“ cmokając w czasie harców, gdym dobrze pchnął mieczem... Wracałem przez swoje dziedziny myśląc, jak to państwo

przez Boga mi poruczone wzmocnię, utwierdzę, rozszerzę... Saladyna odepchnę od granic... Ja, król... Ja, co czternaście lat miałem, i życie leżało przede mną...

...W niecały rok później, ponowna wyprawa. Tym razem wybrzeżem morskim do Sydonu, stamtąd przez Liban, przez ziemię Meszgara płynącą mlekiem i miodem... Pod Ain Anżar zastąpił drogę Saladynowy brat Turanszah z wielką siłą. Bitwa, bitwa... Pierwsza wielka bitwa, nie harce, ni obleganie...

Wspomnienia ogarnęły go, aż porwał się na łożu. Oczy miał szeroko rozwarte, płonące.

— ...Moja pierwsza bitwa... Pierwsza i ostatnia... Zwycięska! O, wiem ja dobrze, że wuj Rajmund wszystko zarządził, obmyślił, przygotował, że on był rzeczywistym dowódcą, nie ja... Ale wszystko ustawiwszy cofnął się do swoich ludzi, a mnie powiada: „Prowadź!"... I powiodłem... Na świętą Włócznię!... Bodaj raz jeszcze prowadzić dobre rycerstwo do boju!... Bodaj raz we śnie poczuć, co wtedy na jawie... Ojcze, wy nawet pojąć nie możecie!... Ta radość... Że się prowadzi moc, która wali, chrzęści, dyszy, grzmi... że się ją rzuca jak oszczep, że się jest głową, a ona ramieniem... Ta radość!... Jechać przed nimi jak na czole burzy... Koń aż ryczy z uniesienia, bierze pod siebie kamienie, wyrwy, rozdoły... Pęd świszczy w uszach... I starcie!... Starcie, które dech zapiera... Aż zda się człowiekowi, że nie jest już żyjącą istotą, ale piorunem!...

Urwał, bo mu tchu zabrakło. Opadł z powrotem sztywno na wezgłowie. Arcybiskup ukrył twarz w dłoniach. Płakał.

— Ostatni mój dzień, mój piękny ostatni dzień — szeptał chory gorączkowym półszeptem. — Jak raz, nazajutrz przyszli posłowie od Turanszaha ofiarując rozejm. Przyszli pokłonić się mnie, zwycięzcy! Stałem w półpancerzu przed namiotem, bez rękawic, ale z mieczem. Wuj Rajmund stał za mną doszeptując, co im rzec, bom przecież dzieciuch był prawy. Ale pyszny i szczęśliwy... I zauważyłem wtedy, że jeden z szeików patrzy uparcie na moją rękę. Patrzył, aż się pomylił w tym, co miał powiedzieć. Jak gdyby węża zobaczył... Zmieszany był czegoś, a zarazem rad... Spojrzałem za nim i ja... Po raz pierwszy zobaczyłem na mojej ręce sine plamy... Może były wcześniej, alem nie zważał... Dopiero ten wzrok poganina... Ten wzrok! Wróciwszy do domu pokazałem wam ręce i pytałem, co to? Powiedzieliście, że to pewnie z chłodu...

— Boże, mój Boże! — jęknął arcybiskup.

— ...Byłbym uwierzył, gdyby tamten tak nie patrzył... Zeszedłem kiedyś do straży, ale straży nie było. Przy bramie stał jakiś stary. Może pielgrzym, może włóczęga czy dziad. Nie wiedział, ktom jest, nie znał mnie... Pokazałem znowu rękę, pytałem.

— Boże odpuść — powiada — chłopcze, jesteś trędowaty...

...A wy... że z chłodu!...

— Com miał rzec?! — jęknął z rozpaczą uczony. — Jak było prawdę powiedzieć? Przez usta by mi nie przeszła...

— Zawdy lepiej mówić prawdę! Lepiej było nasłać na mnie w bitwie litościwego człowieka, co by mnie dzidą pchnął, czy mieczem zarąbał... Zginąłbym w boju jak rycerz. Radowałbym się konając. To trzeba było zrobić, dobrze mi życząc! Miasto tego, rycerze ochraniali mnie! Ibelin z Ramli, stary de Thoron, du Gray i inni... Sami się nie oganiali, na mnie tylko bacząc... Po co?! Żebym teraz gnił żywy i śmierdział?!

— Cóż by się stało z królestwem? — bronił się nieśmiało Wilhelm.

— A co z nim będzie teraz? Cóż pomogło przewleczenie?

— Teraz jest wasz dziewierz, któregoście z Francji wezwali...

— To prawda — przyznał Baldwin uspokajając się nieco. — Jest de Montferrat. ...Byle wrócił... Bo nie wiem czemu, ciągle mi się zdaje, że mu coś grozi... Ot, śmieszne przywidzenie... sam wiem, że śmieszne... Z choroby troi się w głowie... Montferrat dzielny, rozważny, nieustępliwy... Królestwo nie straci, jeno zyska, ale ja... ale ja?...

Łzy męki błysły mu w oczach.

— ...Boję się spojrzeć na siebie — szeptał. — To znów godzinami patrzę, jak przekleństwo postępuje... Moje ręce! Moje ręce! Brzydzę się dotykać nimi czegokolwiek... Nie mogę przestać ich widzieć... Nie mogę ani na chwilę zapomnieć...

Dziś ciało, choć nadgniłe, jeszcze się trzyma kości, ale co będzie za miesiąc?... Co będzie za rok?... W drodze z kościoła widziałem przez zasłony lektyki jednego, co zamiast twarzy miał gnijącą jamę... Ani oczu, ani nosa, ani ust... To ja niedługo... To ja...

— Nie myślcie o tym. Bóg się zlituje... cud ześle...

Baldwin poderwał się znowu.

— Cud!? — zawołał gniewnie. — Skąd? Kto u nas mówi o cudach? Cuda są wśród pielgrzymów... Przecież brat Jan mówił... że znów jeden... Ale spośród nas nigdy, nikt...

Arcybiskup podniósł głowę.

— Zadajcie sobie samemu także to pytanie — rzekł prawie surowo. — Wyrzucacie mi, żem was jako małego dziecka nie zaniósł do bazyliki, nie położył na świętym kamiennym łożu... Czemuż wy teraz tego sami nie zrobicie? Cud, który wtedy mógł zajść, może się stać dzisiaj...

Baldwin spojrzał na mówiącego ze zdziwieniem.

— Ano, prawda — wyznał. — Mógłbym... Mógłbym... Nie wiem, czemu tego nie czynię... Chrystus Pan uzdrawiał trędowatych... Może by uzdrowił i mnie... Czasem myślę, że poszedłbym ku Niemu dawno już, gdyby Grób św. był daleko, a ja ubogim pielgrzymem... Nijako mi dać się nieść w lektyce... Gdybym zdołał wyjść niezauważony i przebrany! Żeby nikt na mnie nie zwracał uwagi... I nie słyszeć w kościele tych ciągłych sporów między Latyńcami a Syryjczykami, między

joannitami a templariuszami! Ilekroć jestem przy Grobie, zda mi się, że gromady pielgrzymów, co się tam tłoczą i cisną, czują się w bazylice bardziej u siebie, niźli my... Że Grób św. jest więcej ich, niż nasz... Jakbyśmy posiadali światłość, która bije na cały świat, lecz nas jednych nie oświeca... Nie umiem tego wyrazić i nie wiem, czemu tak jest.

Arcybiskup Tyru słuchał z natężeniem.

— Rozumiem, co chcecie powiedzieć, miłościwy panie. Istotnie pobożność nasza została w tyle. Brak jej dawnej żarliwej prostoty. Może pochodzi to stąd, że świętość nie powinna być własnością niczyją. Ze świętości nikt nie może sobie rościć tytułu do sławy. Ani się czuć jej panem, bo wnet ją utraci. Dla wszystkich będzie żywa, tylko dla niego nie. Kto czyni ze świętości źródło doczesnej potęgi, buduje mur pomiędzy sobą a nią. My staliśmy się posiadaczami Grobu św., a świętość posiadania nie znosi. Jerozolima nie powinna była należeć do nikogo. Niechby każdy przychodził tu się modlić, kto by chciał. Niechby Grobu św. strzegły ubogie mnichy, jak lazaryści, nie posiadający nic, prócz zasługi w niebie. Pielgrzymi przychodzą do Grobu św. nie pragnąc zysku, jeno przebaczenia grzechów, palmy z Jerycha i wody z Jordanu. Nie pragną zabrać Grobu św. na własność, przeto unoszą go ze sobą. Z podobnym uczuciem szli tutaj nasi dziadowie i ojcowie, krzyżowcy... My — nie. My się tu czujemy panami. A Bóg tego nie pochwala. Nie mogą pomieścić się razem Król Nieba, król ziemi... Godfryd lotaryński rozumiał to prawo. Nie

chciał korony. Zwał się strażnikiem Grobu św. W ubóstwie żył...

— Godfryd?! — zdziwił się Baldwin. — Samiście mnie uczyli, ojcze, że Godfryd był słabym królem i że dopiero Baldwin I utwierdził potęgę jerozolimską!

Uczony historyk potarł głowę z zakłopotaniem.

— Oczywiście — przyznał śpiesznie. — To, mój drogi chłopcze, miłościwy panie, zależy, z jakiego punktu rozważać sprawę. Baldwin I był niezrównanym władcą. Mądry, przewidujący, nazbyt może cielesny i rozkochany w zbytku, ale król. On stworzył państwo jerozolimskie. Lecz równocześnie utracił Grób św. Rozumiecie, co chcę rzec? Stworzył państwo, państwo orężne, z krwi i kości, jako są inne mocarstwa. A gdzie jest państwo i jego wymogi, tam już niewiele zostaje miejsca dla świętości. Przepadło królestwo ducha.

— Więc co począć? — zapytał Baldwin. — Przenieść stolicę do Askalonu lub Jaffy?

— Zali to by pomogło?... Źle się u nas dzieje. Czasem, gdy widzę szkarady toczące się wkoło, myślę ze zgrozą, czy dobrze, że istnieje w ogóle królestwo jerozolimskie?...

— Na św. Włócznię! — zakrzyknął król z osłupieniem. — Chcielibyście, żeby wróciły pogany?!...

— Niech Bóg zachowa! Nie! To się i pomyśleć nie da! Mówię o państwie. Jerozolima nie powinna należeć do nikogo... Wszystkich i niczyja... Nikt prócz Chrystusa nie powinien w niej panować...

— Nie wiem, jakby to można zrobić — westchnął król.

— Ja też nie wiem. Zda mi się nawet, że to się uczynić nie da... I dlatego my, stróże, my brytany warujące u Grobu św., odsunięci jesteśmy od łaski Chrystusowej! Za blisko stoim, by Go widzieć...

— Gdybym był zdrów! Gdybym był zdrów!... — szepnął król. — ...Możebym zdołał połączyć w jedno Baldwina z Godfrydem?...

Wilhelm z Tyru spojrzał na niego z bezbrzeżną miłością.

— Wy!... Wy potrafilibyście z pewnością!... Mój Boże!...

Głos załamał mu się w łkaniu wnet pohamowanym.

— ...Kury już pieją, słyszycie? Przegadalim bez mała pół nocy. Pora już spać, miłościwy panie.

Nakreślił znak krzyża nad leżącym i zbierał się ku wyjściu. Od drzwi odwrócił się nagle:

— Gdybyście chcieli kiedy pójść do bazyliki... nie zauważony przez nikogo... nie poznany... jabym się postarał, że...

Baldwin IV zacisnął dumnie wargi.

— Nie kłopoczcie się tym, ojcze. Jeśli to uczynię, nie będzie wiedział nikt, nawet wy... Pora już spocząć istotnie. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — powtórzył uczony zamykając ciężkie drzwi.

---

## ROZDZIAŁ IV.

### PRZECZUCIE SIĘ SPRAWDZA.

Jak większość nowych budowli wzniesionych w Jerozolimie przez krzyżowców, pałac Agnieszki de Courtenay, matki królewskiej, łączył w sobie strukturę Wschodu z cechami budowli zachodnich. Zachowując środkowy dziedziniec z fontanną, posiadał jednak okna zewnętrzne, wychodzące częściowo na ulicę, częściowo na mury. Tuż za murami leżała dolina Jozafata, głęboka i wąska, zasłana kamieniami i grobami.

— Nie wiadomo, jak się tam wszyscy pomieścimy — myślała Agnieszka de Courtenay, ilekroć spojrzała w tę stronę. — Choć nieurodzeni będą pewnikiem pomieszczeni gdzie indziej, dla samych urodzonych miejsca nie starczy... Chyba, że się dolina cudownie rozszerzy?

Potrącające o wieczność rozważania królewskiej wdowy nie zamącały spokoju, z jakim odnosiła się do życia i wszelkich spraw jego. Z natury była pogodna, nie lubiąca przysparzać sobie niepotrzebnych zmartwień i niesłychanie wrażliwa na pochlebstwa. Gdy ją chwalono, przymykała oczy stając się podobną do zadowolonej kotki. Dwór miała liczny i suto zaopatrzony, lecz w komnatach panował bezład graniczący z niechlujstwem. Piel-

grzymi, żebracy, nieznani nikomu włóczędzy wchodzili bez ograniczeń, dotykali wszystkiego, byli o każdej porze karmieni i przyjmowani. Z tego powodu Agnieszka słynęła jako wzór miłosierdzia i pokory chrześcijańskiej, choć w rzeczywistości była wcale wyrachowana i przenosząca siebie nad innych. Pobłażliwa wyrozumiałość dla wszelkich obieżyświatów płynęła więcej z zamiłowania do znoszonych przez nich plotek i z próżności, niż z rzeczywistego miłosierdzia. Któryś z tych łazęgów zanieczyszczających komnaty musiał kiedyś przywlec trąd, i młody król czuł zadawniony, głęboki żal do matki, że go nie potrafiła ustrzec od strasznej choroby. Zarażono go, nie wiadomo kiedy i gdzie.

Niezależnie od wiecznie głodnych i chciwych nędzarzy, w pałacu Agnieszki bywali często dostojniejsi goście. Patriarcha Herakliusz, wielki mistrz templariuszów, brat gospodyni a wuj króla Jocelin de Courtenay, Renald z Sydonu, Amalryk Luzynian, Onufry de Thoron i wielu innych rycerzy. Rej wśród wszystkich wodził wesoły, wygadany Renald z Sydonu. Gęsta, czarna broda nadawała jego latyńskiej urodzie charakter wschodni, ubiór nosił na poły arabski. W młodości spędził kilka lat w niewoli muzułmańskiej, gdzie wyuczył się przednio arabskiego języka i poznał gruntownie obyczaje Wschodu. Lekkomyślny i rozrzutny tonął wiecznie w długach. Ożeniony był z piękną, leniwą Syryjką, imieniem Marfa. Ojciec jej Abiram był równie bogaty jak skąpy i niechętnie udzielał zasiłków zięciowi. Renald jednak umiał sobie z nim

radzić, wynajdując coraz to nowe nieoczekiwane sposoby rozwiązania teściowego mieszka.

Teraz właśnie, stojąc pośrodku marmurowego dziedzińca, opowiadał siedzącemu w koło szlachetnemu towarzystwu o ostatnim swym wynalazku.

— ...Tak mnie już nieboraka ścisnęli — mówił — że ani tchnąć nie mogłem, zaś czcigodny Abiram zarzekł się, że grosza nie da. Wiem ja, iż łatwiej kamień byś uprosił niż onego, niemniej zaprosiłem go uczciwie na wieczerzę. Przy wieczerzy wzdycham, jadło odsuwam, brodę ustawicznie głaszczę, spoglądam na nią z ukosa, ot tak. Na koniec czcigodny Abiram pyta, co się tak pieszczę z brodą? To pożegnanie — powiadam. Jutro już muszę ją zgolić. Oczy na mnie wytrzeszczył i z przerażenia udławił się kością. Musiałem go trzasnąć w kark. Odetchnął, kość wypluł i powiada, że to nieprzystojne żarty. Zgolić brodę! Bo wiadomo wam przecie, szlachetne panie i panowie, że u naszych przyjaciół syryjskich mąż bez zarostu za eunucha uchodzi. Wielki to wstyd. Nie dziw więc, że czcigodny Abiram zadławił się na samą myśl o zięciu bez brody...

— Niestety — prawię — nie żart to, lecz prawda. Samemu mi łzy się cisną do oczu, ale nic nie poradzę. Jutro mojej brody nie będzie.

— Co ty pleciesz? — piszczy czcigodny — dlaczego ma jej nie być? Co się stało?

— Zastawiłem ją Żydom — powiadam i prędko wyjąłem mu z dłoni kawałek kuraka, boby się udławił znowu.

— Za...sta...wiłeś?!

— Zastawiłem brodę Żydom za tysiąc dukatów Nie mam czym długu zapłacić, więc mi ją jutro zabiorą...

— Ale ty z nimi wcale nie gadaj! Ty wypędź takich rozbójników! Jak oni śmią! — krzyczy czcigodny Abiram, czerwony ze złości.

A ja nic, tylko nadal wzdycham i zerkam z żalem na brodę.

— Wyrzucić — mówię — nie mogę, bo rycerskie słowo nie wiatr. Obiecałem zapłacić. Nie płacę. Broda do nich należy.

— No to zapłać! Zapłać!

Roześmiałem się gorzko: — Z czego zapłacę, czcigodny? Nie posiadam nic prócz miecza i niezgorszej głowy. Choćbym nawet tę głowę miał oddać wraz z brodą, nie wynajdę znikąd potrzebnych pieniędzy...

— Ileż to wynosi?

— Dwa tysiące dukatów...

— Mówiłeś przed chwilą, że tysiąc?

— Przez roztargnienie wymieniłem tylko połowę właściwej sumy...

— Dwa tysiące za brodę!? Dwa tysiące za brodę!?

— Mało, nieprawdaż, czcigodny? Lekkomyślnie, przyznaję, pozbyłem się mojej brody za tak znikomą cenę...

— Nie możesz zostawać bez brody! Nie możesz zostawać bez brody! Dwa tysiące! Dwa tysiące!... — Biegał po komnacie, wzywał wszyst-

kich świętych kolejno i na koniec... dał pieniądze... Dzięki temu, szlachetne panie, widzicie mnie nadal z brodą...

Słuchali wszyscy ubawieni. Piękna Marfa uśmiechała się sennie, po swojemu, obojętna na to, że opowiadanie dotyczy jej ojca. Agnieszka de Courtenay śmiała się, aż oczy łzami jej zachodziły. Obcierała je kułakami i śmiała się nadal. Hoże dziewczęta roznosiły na wielkich tacach wino, owoce smażone i małe placuszki z miodem.

Feral de Thouars, przybyły niedawno z Francji, nachylił się do Amalryka Luzyniana.

— Gładkie dziewki. Czy Syryjki?

— Zdaje się, że nie. Po tych Sycylijkach, co je za króla Fulka sprowadzono.

— Sprowadzono Sycylijki?

— Podobno. Ja sam jestem tu niecały rok, więc dokładnie nie wiem. Powiadają tutejsi, że jakoś przed ćwierćwiekiem król Fulko kazał z Sycylii dziewek przywieźć, bo niewiast było w Jerozolimie za mało i kraj się wyludniał. Zgarnięto ich koło trzystu sztuk i przywieziono... Jużci wysłańcy więcej na urodę zważali niźli na cnotę, więc...

— Więc i córki nie patrzą na mniszki?

— A nie. Niedawno zdarzyło się nawet, że dwie stąd ze dworu uciekły nie wiedzieć gdzie...

Agnieszka usłyszała, o czym rozmawiali.

— Na rozpustę dobrowolnie nie uciekły — zaprzeczyła żywo. — Nieszczęście jakieś musiało spotkać dziewuszki. Ciągle myślę, że je pogany porwali.

— Pogany? Wasza dostojność, nie ma ich w pobliżu!

— Może zbóje... Dobre były dziewczęta, skromne, uczciwe... Na pewno na złe nie poszły...

— Nie wierzcie pozorom, miłościwa pani — rzekł surowo wielki mistrz. — Sądzicie wszystkich według własnej anielskiej dobroci! Świat od niej jest odległy. Wiele ladacznic obleka się w skórę jagnięcia...

— Kiedy wracają młodzi małżonkowie? — przerwał Jocelin de Courtenay.

— Niebawem już — zapewniła Agnieszka. — Moja gołąbka pisała, że czas im szybko upływa i że zbierają się do powrotu. Moja gołąbka jest już przy nadziei...

Szmer uznania przyjął tę tak ważną dla królestwa wiadomość.

— Czy to pewne? — bąknął Jocelin.

— Zupełnie pewne — zaręczyła z dumą matka. — Nic dziwnego. We mnie poszła. Gdyby nieboszczyk Amalryk był inny, byłabym mogła urodzić dziesięciu synów...

— Spodziewajmy się tedy, że za kilkanaście lat, gdzie strzałę puścisz, na Montferrata trafisz...

— Zamków zabraknie...

— Prędzej ich zabraknie niż Długomieczowi ochoty...

— Mocny chłop, dzielny czy w bitwie, czy w łożu...

— Będzie miało z niego pożytek królestwo...

To ostatnie powiedział de St. Amand, pierwszy bodaj raz wyrażając się o Montferracie bez uszczypliwości. Za nim wszyscy obecni przesadzali się w pochwałach, wypominając zalety duchowe i cielesne zięcia dostojnej gospodyni, jego wysoki ród, pokrewieństwo z królem francuskim i cesarzem niemieckim. Agnieszka przymrużała oczy z zadowolenia.

— Tak, tak, moja gołąbka nie może narzekać...

Nagły hałas u drzwi wejściowych, tupot koni, gwar głosów przerwały rozmowę zwracając ogólną uwagę. Renald z Sydonu wyszedł, by zobaczyć, co się dzieje. Po chwili wrócił zmieniony, pobladły. Targał brodę takim ruchem, jakby rzeczywiście miał ją nazajutrz utracić. Usiadł ciężko i napił się wina.

— Co się stało? — zawołała Agnieszka poprzez fontannę.

— Nic, miłościwa pani, nic. Pachołcy się posprzeczali.

Wielki mistrz podszedł ku niemu.

— Co się stało? — rzekł z cicha. — Powiadajcie!

— Montferrat nie żyje — odparł Renald zduszonym głosem.

De St. Amand cofnął się o krok z nieopisanym zdumieniem.

— Jakaś bajka! Montferrat! Kto powiedział!? Gdzie miał zginąć?

— W wąwozie... Skała przygniotła...

Nie słuchając dalej wielki mistrz wyszedł żywo, prawdopodobnie, by wypytać się o szczegóły wprost u posłańca, lecz ten już odjechał do króla. Renald przecierał ręką czoło zroszone potem. Już inni spostrzegli, że coś zajść musiało. Otoczono go pytając. Żartowniś nie mógł tym razem zasłonić się żadnym dowcipem. Powiedział prawdę, osłupiającą, niewiarogodną prawdę: Montferrat przydomku Długomieczy — nie żyje. Ciało jego wiozą uroczyście z Askalonu. Królewna wdowa odchodzi od zmysłów z rozpaczy. Mdleje ustawicznie, zawodzi, targa włosy, szaty... Wypadek zaszedł w górzystym wąwozie. Długomieczy zapędził się weń prawdopodobnie dla łowów. Sam. Zwietrzała skała osunęła się, przygniatając rycerza wraz z koniem. Nie ma już następcy tronu, nie ma królewskiego szwagra...

— Moja gołąbeczka!... Moja nieboga! — jęczała przeraźliwie Agnieszka — moja córuchna! Gdzie ona? Wieźcie mnie do niej!... Ratunku! Ludzie! Ratunku! Gdzie ten posłaniec? Jak to się stało? A może on tylko skłamał!? Ludzie! Ja mówię, że skłamał! To niemożliwe! O Boże!...

Krzyczącą i szlochającą niewiasty powiodły do komnat. Reszta pozostała spoglądając na siebie w milczeniu.

— Czy to aby wypadek? — mruknął Renald powściągliwie. — Nie mogło kogo innego przygnieść, tylko Długomiecza?... Właśnie gdy wracał, żeby zostać królem?

— Ale któż by skałę strącał? Z Izmaelitami pokój... Na Saladyna morderstwo nie patrzy... To prawy rycerz...

— Bogać, że nie...

— Dla króla to będzie cios... Panowanie miał mu zdać...

— Na kości św. Męczenników! Powiadają, że puścić go nie chciał, jakby coś przeczuwał...

— Zacznie się nowy kłopot z następcą tronu... Ciekawym, kogo wybiorą?

— Przecie Sybilli tak zaraz nie wydadzą... W ciąży pono jest...

— Muszą wydać, bo król pożyje jeszcze rok, dwa... najwyżej.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! Kogo jej też dadzą?...

— Ibelina z Ramli, na pewno...

— Ibelin w niewoli.

— Wykupią go, wielkie rzeczy. Król na to nie pożałuje.

— Na wykupieniu nie koniec. Ej, będą z tym jeszcze kłopoty... Historia lubi powtarzać się w kółko... Jeszcze nam Sybilla wytnie taką sztukę, jak niegdyś księżna Antiochii Konstancja... Obaczycie!

— Tfu! Nie kraczcie niby kruk!

— Jać nie kraczę, jeno mówię, że historia się powtarza...

. . . . . . . . . . . . . . .

Dla Baldwina IV był to cios istotnie. Niezdolny zebrać myśli, wydał krótko rozkaz, by poczyniono przygotowania do wspaniałego pogrzebu i posłano gońców po księcia Rajmunda z Tripoli. Dopiero gdy ten przybędzie, król zwoła radę baronów. Na razie niech go zostawią w spokoju...

Jakoż pozostawiono go samego. Leżał udręczony w swej komnacie, borykając się z poczuciem poniesionej klęski. Dlaczego, dlaczego nie wierzył przeczuciu, dlaczego ustąpił siostrze? Czterej bracia lazaryści o ewangelicznych imionach stali w kącie komnaty, bezosobowi i nieobecni jak cienie. Sąd ich o wypadku nie mógł mieć dla nikogo znaczenia, toteż go nie wypowiadali, byli jednak szczerze zatroskani. Spodziewany bliski już spokój i wypoczynek, tak potrzebne choremu, odsuwały się znowu na daleki plan. Byli przywiązani do swojego króla, więc myśleli o tym z żalem. Nędzarze trędowaci zalegający bezczynnie ulice żyli zazwyczaj mimo swej choroby do późnego wieku, nieustanny zaś wysiłek woli, jakim młody król biczował swe nieszczęsne ciało, rujnował jego siły, przyśpieszał rozwój choroby.

Rozważania lazarystów obojętne były Baldwinowi. Na pewno nie uczyniłby nic, co by jego mizerny żywot mogło przedłużyć. Myślał o zmarłym. Los zabrał go, niby na urągowisko, w chwili gdy miał zwolnić nieszczęsnego pomazańca z trudu panowania, z odpowiedzialności za koleje państwa. Montferrat nie żył. Można było powtarzać to sobie bez ustanku, a jednak nie wierzyć. Zaledwie

osiem niedziel minęło, jak siedział w tej komnacie przy łożu królewskim, braterski, tchnący siłą, pogodą i zdrowiem. Odnosił się do szwagra z pobłażliwą troskliwością, jaką zazwyczaj siła czuje dla kruchej słabości. A oto słabość ta żyła, dźwigając nadal ciężar korony, ów zaś krzepki, młody rycerz zdążał w trumnie do grodu, by być uroczyście pochowanym w kościele św. Szczepana.

W gorące lato rozkład ciała następuje szybko, i straszno pomyśleć, jak wygląda dziś zewłok pięknego Wilhelma. A psujący się za życia trędowaty żyje. Zaprawdę, ponury żart losu!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Rajmund z Tripoli przybył wcześniej, niż się spodziewano. Usłyszawszy bowiem o wypadku ruszył sam śpiesznie do Jerozolimy, nie czekając na wezwanie. Wprost z konia, zapylony, przyszedł do Baldwina pogadać z nim przed zebraniem rady.

Rajmund III był wysoki, chudy, pochylony nieco naprzód, z wydatnymi rysami, dużym orlim nosem. Podobnie jak Renald z Synodu i tylu innych, przebył za młodu kilka lat w niewoli muzułmańskiej.

Z twarzy przypominał dziada, Rajmunda grabiego St. Gilles, pana Tuluzy, usposobienia jednak po nim nie odziedziczył. O ile tamten był porywczy, o tyle ten opanowany, trzeźwy, spokojny, rozważny. Pobyt wśród muzułmanów nadał mu cechy nieznane dawnym krzyżowcom. Dla ludzi z otwartą głową, a Rajmund do takich nale-

żał, przymusowe obcowanie z Arabami stanowiło dobrą szkołę umiejętności życiowej i wiedzy ogólnej. Choć jeńcy, rycerze jerozolimscy nie byli nigdy traktowani jako niewolnicy, toteż większość wspominała bez wstrętu czasy niewoli, zachowując nadal przyjacielskie stosunki z poznanymi osobiście muzułmanami.

— No cóż, mój mały — rzekł Rajmund od progu — spadł nam na łeb nowy kłopot?

— Takie nieszczęście! Takie nieszczęście! — jęknął Baldwin. — Co teraz poczniemy?!

— Och, nie należy przesadzać. Zło stało się niewątpliwe i już ja dołożę starań, by wykryć, kto się w ten sposób królestwu przysłużył...

Baldwin otworzył oczy szeroko.

— Przypuszczacie, wuju, że to ktoś... rozmyślnie?...

— Tylko dziecko może wierzyć w przypadek. Przypadku nie ma na świecie. To sobie, chłopcze, pamiętaj. Przypadek! Ale na razie nie będziemy o tym mówić. Jeszcze nic nie wiem. Myślmy, co dalej?

— Czuję się, jakby mi grunt urwał się spod nóg... Nie mogę myśli zebrać, nie mogę się oswoić...

— Nie przesadzajmy — powtórzył pozornie szorstko Rajmund. — Dla Sybilli trzeba wynaleźć innego męża, oto wszystko ..

— Ona jest w ciąży. Wolałbym, jeśli urodzi syna, tego pogrobowca ogłosić następcą, a do czasu jego pełnoletności wy, wuju, sprawowalibyście

rządy. Nie mogłoby być nic lepszego dla królestwa.

Rajmund roześmiał się niechętnie i jął chodzić po komnacie. Zapylone w podróży buty zostawiały ślady na ciemnym kobiercu.

— Nic lepszego, powiadasz? — No pewnie, żebym rządził lepiej niż inni. Nie warto jednak mówić o tym. Sam wiesz, że templariusze nigdy się nie zgodzą. De St. Amand utopiłby mnie w łyżce wody... Natychmiast podburzyłby resztę. Jakim prawem? — wołaliby. — Jakim prawem? Czemu nie ten błazen de Courtenay, a przede wszystkim, czemu nie królewskie siostry?! Najbliższe tronu?! One! I co im rzekniesz? Wiem ja, że można zawsze prawo nagiąć i uchylić, ale nam właśnie tego uczynić nie wolno. Rozumiesz? Bo jedyna rzecz, co jeszcze trzyma jako tako spoistość królestwa, to p r a w o. Jeśli go sami nie uszanujemy, natychmiast przestaną je szanować inni. Tylko na to czekają. Dziedzictwo królewskie od Godfryda idzie po linii najbliższego krewnego bez chybnięcia, i to jest siła, której nie lza obalać. Bo co się wówczas stanie? Strach pomyśleć... Niech Bóg wspomaga Grób święty! Po co mam przed tobą udawać skromnisia? Z radością zostałbym królem. Potrafiłbym nim być... Prowadziłbym dalej dzieło Baldwina III i twego ojca Amalryka. Ale nie możemy uchylać prawa, a prawnie nic mi do tronu chociażby w zastępstwie...

— Rządziliście przecież za mnie, kiedy byłem mały?...

— Dziewczyny były wówczas dziećmi, więc nie szły w rachubę...

Nie przestawał chodzić niecierpliwie po komnacie. Wzburzyły go własne słowa. Korona! Korona, która należała się niegdyś dziadowi, Rajmundowi, korona, która zdobywcę Jerozolimy najniesłuszniej ominęła, nie przestawała być marzeniem wnuka. W tym jednak leżała przepaść między obecnym panem Tripoli a jego dziadem, że Rajmund III umiał swoje zamiary zważyć, przemyśleć i w porę wycofać. Czy starczyłoby mu siły, by zgnieść templariuszów, narzucić swe nowe prawo i ująć twardo baronów? Nie starczyłoby na pewno a zatem lepiej o tym nie myśleć, zadowalając się księstwem Tripoli i żoninym wianem, Galileą z Tyberiadą.

Baldwin patrzył za chodzącym z przygnębieniem.

— Nie możemy wydać Sybilli za mąż wcześniej niż za rok — rzekł żałośnie — przecież musi dziecko urodzić, musi żałobę odprawić... A czy ja ten rok przetrzymam? Coraz mi ciężej... Radowałem się, że nareszcie zbędę panowania i zamknę się gdzieś w pustelni, gdzie nikt by mojej nędzy nie oglądał. Tambym spokojnie czekał śmierci prosząc Boga, by ją zesłał jak najrychlej... A ot, znów leży na barkach to brzemię... Dawno mi radzą, to medyki, to moi lazaryści, by się usunąć, innym kłopoty ostawiając. Niech się dzieje, co chce. Niech sobie radzą, jak mogą... Nie daj Bóg, bym za tą radą poszedł! Na króla mnie pomazali. Muszę to

królestwo w całości i pieczy zdać. Było mocne i w świecie sławne, nie może przy mnie zostać poniżone. Jak mi je ojciec zostawił, tak ja je chcę przekazać następcy...

— Gdybym nie był żonaty, pojąłbym Sybillę i w ten sposób dałoby się wszystko pogodzić — zauważył Rajmund przystając. — Cóż, kiedy ani ja nie mogę odsyłać mojej poczciwej Echiwii, ani twoja siostra nie zechciałaby starego szpaka... W tym sęk. Drugiego jak Montferrat, co był spokrewniony z trzema królami, nie znajdziemy... Darmo szukać. Jadąc tu, przejrzałem w myśli wszystkich książąt europejskich. Albo mydłki, jak Filip z Flandrii, któren tu z pielgrzymką przybył, albo bez znaczenia. Przy tym, nimby taki przyjechał, nimby się dobrze z tutejszymi stosunkami zapoznał! Na to trzeba lat. Nie warto więc oglądać się na obcych panów. Z tutejszych jednego tylko widzę, który by się nadał...

— Ibelina z Ramli? Już o nim myślałem.

— Tak, Ibelina. Trzeba co rychlej posłać do sułtana, umówić się o okup. Tanio go nie odda, ale choćby przyszło królestwo zadłużyć lub do skarbca bazyliki sięgnąć, Ibelina musimy wydostać... Rok jeszcze przeciągniesz... Co u licha! Z trądem ludzie żyją nieraz dłużej, niżli zdrowi...

— Ja nie pożyję... Na szczęście... Więc Ibelina sprowadzimy... Może istotnie jeszcze się jakoś wszystko ułoży... Chcę w to wierzyć... Chociaż, po prawdzie, nie wierzę... Wierzyć nie mogę... Zda mi się nieraz, że na nas ciąży jakieś prze-

kleństwo, niełaska... Nie dlatego to mówię, żem trędowaty. Co ja znaczę! Lecz w ogóle... Siedemdziesiąt osiem lat dopiero istnieje królestwo i ja siódmy już król! Gdzie indziej przecież monarchowie panują po dwadzieścia, trzydzieści lat! Bóg im użycza zdrowia i sił. Nam nie. A te ciągłe zgorszenia, te walki, ta niesforność panów, ten upadek pobożności! Tylko pielgrzymi u nas myślą szczerze o Grobie świętym. Gdy niebezpieczeństwo nadchodzi, wynosim przed wojsko Drzewo Krzyża św., ale w jego cieniu kłótnie trwają po dawnemu... Źle jest, źle... Mówiłem o tym kiedyś z arcybiskupem Wilhelmem... Powiada, że to wszystko pochodzi stąd, iż staliśmy się posiadaczami Grobu, a świętość posiadania nie znosi... Prawił, że w Jerozolimie nie śmie być dwu królów, ziemskiego i niebieskiego, że to miasto winno być wolne, niczyje, bez innego pana niż Chrystus, dostępne dla każdego, co by się chciał modlić...

Rajmund słuchał zrazu uważnie wywodów siostrzeńca, poczem ziewnął.

— Arcybiskupie uczone gadanie — zawyrokował. — Będąc zdrowym, sam byś się z tego śmiał. Choremu, wiadomo, czas się dłuży, nie ma co robić, więc myśli... Myśli. No i wymyśli. Że źle u nas? A gdzie lepiej? Wszędzie tak samo. Jerozolima niczyja? Jakże może być niczyja? Któż by jej strzegł, któż by bronił od zbójów, któż by pilnował, by się ludzie w niej wzajemnie nie powyrzynali? Chyba ją unieść z ziemi i osadzić na obłokach? Ale jakże ją wtedy uczynić dostępną?

— Można by otoczyć strażą i do grodu nie puszczać nikogo z bronią? — podsunął Baldwin.

Rajmund żachnął się niecierpliwie.

— Bez broni? A pazury? A zęby? A kułaki? Myślisz, że nie można bić się bez miecza, prać kamieniami?.... Nie, nie. Mój chłopcze, to są śmieszne mrzonki. Ludzie są ludźmi, muszą żyć i myśleć po ludzku. Inaczej nic nie zdziałają. Pomysł arcybiskupa jest niewykonalny. Jużci, anielskie nasze państwo nie jest, ale Bóg nas stworzył ludźmi, nie aniołami. Nic się na to nie poradzi. Że strzeżemy Grobu świętego, że przepędziliśmy pogan, że pielgrzymi mogą schodzić się i modlić bezpiecznie, to już dostateczna zasługa i honor. Starczy z nas, jeżeli to przynajmniej utrzymamy...

— To mało — upierał się król.

---

## ROZDZIAŁ V.

### RADA BARONÓW KRÓLESTWA JEROZOLIMSKIEGO.

Przybyły niedawno z niewoli rycerz Renald de Chatillon skłonił się przed królem wchodzącym na salę rady.

— W niewesołej chwili — rzekł — mam możność złożyć powinny hołd miłościwemu panu mojemu, ale los pory nie wybiera...

Kreśląc z oddalenia ruch, jakby chciał zgodnie ze zwyczajem objąć i uścisnąć rycerza, Baldwin IV ciekawie spojrzał na głośnego barona, którego nigdy dotąd nie widział. Doznał rozczarowania. De Chatillon nie odznaczał się wyjątkowym wzrostem ani siłą. Nie zachował również nic z urody, którą oczarował przed laty lekkomyślną księżnę Antiochii, Konstancję. Barczysty, ciężki, miał czerwoną cerę zarysowaną sinymi żyłkami. Gdy mówił, szpakowate szczeciniaste wąsy jeżyły się jak u kota. W przeciwieństwie do bogatych, wymyślnych strojów innych rycerzy, odziany był z wyzywającą żołnierską prostotą w wytarty kubrak skórzany.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — powitał zgromadzonych król, zajmując miejsce na swym podwyższeniu.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — odpowiedzieli chórem, powstając. Usiedli z szelestem płaszczów i stukotem mieczów. Zebranie było wyjątkowo liczne, gdyż wybór nowego następcy tronu obchodził żywo każdego. Brakowało tylko wielkiego mistrza szpitalników, którego niemoc zatrzymała w domu. Przybyli nawet Boemund III, książę Antiochii, i sędziwy konetabl Onufry de Thoron, jeden z najczcigodniejszych rycerzy królestwa, dziad owego młodzika, który na uczcie wpatrywał się z takim uwielbieniem w królewnę Izabelę. Oprócz miejscowych przybyli nowi rycerze zaproszeni na radę jako goście. Wyróżniano wśród nich Filipa, księcia Flandrii, wnuka Roberta Krzyżowca, zgoła doń zresztą niepodobnego. Rajmund z Tripoli, w rozmowie z królem nazywający Flandryjczyka mydłkiem, niewiele się mylił. Filip był próżny, podejrzliwy, zawistny i leniwy. Pragnął odegrać w świecie wielką rolę, ale pod warunkiem, że to nie pociągnie za sobą żadnego wysiłku. Przed kilku tygodniami przypłynął do Ziemi św. Towarzyszyły mu wspaniałe hufce, bitne i sprawne, z których zawsze słynęła Flandria. Widok tego wojska obudził w królu nadzieję, że piękny krewniak zechce wystąpić czynnie jako sprzymierzeniec. Właśnie gotowała się sposobność natarcia na Egipt przy udziale greckiej floty. Można było urzeczywistnić stare marzenie Baldwina III i Amalryka, atakując Saladyna od tyłu. Ale Filip uchylił się od udziału w możliwej walce, zapewniając, że przybył tylko w celu odwiedzenia Grobu

św., nic więcej. Pomimo to, choć pielgrzymkę odprawił, nie wyjeżdżał. Utrzymanie jego pułków było niemałym ciężarem dla pustego skarbu króla.

W danej chwili, aczkolwiek posadzony na poczesnym miejscu, był chmurny i nadąsany. Uważał, że rada powinna jemu, nie komu innemu zaofiarować rękę królewny Sybilli wraz z tronem. Wprawdzie byłby ją odrzucił, nie mając najmniejszej ochoty opuszczać swej Flandrii, ale jakież zadowolenie! Że na razie nic nie zapowiadało podobnego obrotu sprawy, z nieukrywaną niechęcią patrzał na obecnych. Cóż to za ludzie! Przeważnie brodacze jak Turcy lub Żydzi. Gładcy, strojni, ale odmienni, ze wszystkim odmienni!

Nie ulega wątpliwości, iż w niechętnych spostrzeżeniach Filipa było wiele prawdy. Latyńcy jerozolimscy, oderwani od ojczyzny, w trzecim już pokoleniu ulegli zadziwiającej przemianie. Podobniejsi się stali nienawidzonym niegdyś Grekom, niż pobratymcom zza morza. Krew i nazwania rodowe zostały te same, dusze nasiąkły atmosferą Wschodu. Na czym polegała różnica, trudno byłoby poznać bystrzejszym nawet niż Filip flandryjski, — niemniej istniała, uderzała w każdym ruchu, każdym słowie, nawet w postaci. Syriofrankowie, jak ich zwano, dziwnie się wyradzali. Wnukowie krzepkich, stalowych mężów, przybyłych tu przed siedemdziesięciu kilku laty, mieli drobne kości, usposobienie skłonne do chorób, żyli krótko, poddawali się łatwo nałogom. Przykro było patrzeć na takiego na przykład Jocelina de Courtenay, brata

królowej Agnieszki, obżartucha, pijanicę i kłamcę, którego ojciec był przecież rycerzem powszechnie podziwianym, bohaterom Homerowym równym. Podobnież Boemund III z Antiochii, którego nie szanował nikt, ani poddani, ani wrogowie. Jedyna jeszcze rzecz, która im pozostała nienaruszona — to męstwo.

Król, którego dłuższe mówienie męczyło, zdał przewodnictwo rady Rajmundowi III. Książę Tripoli w krótkich, treściwych słowach powiadomił obecnych o przyczynie dzisiejszego zebrania. Ta rada nie jest jako zwykłe. Jest Radą Naglącą, czyli że uchwała musi być powzięta bez odwłoki. Wprawdzie nie grozi krajowi niebezpieczeństwo, a tylko w takich wypadkach dotychczas Radę Naglącą zwoływano, niemniej wybór następcy tronu jest sprawą pilną. Zdrowie miłościwego pana nie ulega poprawie. Miłościwy pan obawia się, że niezadługo nie zdoła sam kierować rządami świętego królestwa. Należy co rychlej znaleźć męża dla Sybilli jerozolimskiej, wdowy Montferrat, wybierając rycerza, któremu można by z zaufaniem powierzyć w przyszłości tron. Nim się do właściwego wyboru przystąpi, warto rozważyć, jakie zalety są dla przyszłego króla najważniejsze...

— Zapał do walki z niewiernymi! — zawołali równocześnie Renald de Chatillon i wielki mistrz templariuszów.

Rajmund uśmiechnął się pod wąsem.

— Sądziłbym, że należy do tej cnoty dodać rozum?...

— Każdy dobry rycerz jest rozumny sam przez się. Nie uchybi czci, a w tym leży mądrość potrzebna królowi.

— Mówicie słusznie, szlachetny panie. Mądrość leży w tym, aby nie uchybić czci. Mogą jednak zachodzić różnice, jak rozumieć cześć...

Większość obecnych porwała się z ław z hałasem.

— Jedna jest tylko cześć rycerska! Jedna!

— Powinna być jedna, lecz nie jest. Moje na przykład pojęcie czci każe szanować przysięgi i układy zawarte z niewiernymi...

— A moje nie! — krzyknął de Chatillon.

— Wiemy o tym wszyscy z dawna. Widzicie zatem, szlachetni panowie, że już zachodzi różnica. Dlatego obok skorego miecza niezbędna królowi jest głowa, by rozeznał, jakie pojęcie czci dla królestwa najpożyteczniejsze.

— To są krętactwa! — wybuchnął de Chatillon... „Rozeznać, jakie pojęcie czci"!!... Krętactwa! Cześć to znaczy nie być nigdy zawstydzonym...

— A na czym polega wstyd? — wtrącił Renald z Sydonu.

Stary baron siny z gniewu zmierzył młodego śmiałka piorunującym spojrzeniem.

— To chyba jasne! — warknął — nigdy nie uchodzić!...

— A zaprzepaścić królestwo, czy to nie byłby wstyd?

— Królestwo nie upadnie, jeżeli na jego czele będą stać waleczni.

— Królestwo kilkakrotnie o mało już nie zginęło właśnie z powodu nadmiaru waleczności.... — podchwycił Rajmund. — Ale zostawmy ten spór. W ostatnim dziesiątku lat popełniono szereg błędów. Królestwo znajduje się dziś w takim położeniu, że nie wolno nam popełnić ani jednego więcej... Nieomal na naszych oczach dokonała się zasadnicza przemiana: islam, dotychczas rozbity na szereg wrogich sobie państw, stał się jednością. Dopuszczenie do tego było największym ze wspomnianych błędów. Winą nie do darowania. Przez ów nadmiar waleczności, przez politykę walki z każdym, kto nosi turban na głowie, wspomogliśmy dzielnie Saladyna. Tępiliśmy jego wrogów, którzy się do nas zwracali o pomoc. Miłościwy pan wie, że mówiąc o tym, nie mam na myśli jego pełnych chwały poprzedników. Owszem, dążeniem usilnym każdego z królów było utrzymanie szeregu niezawisłych muzułmańskich państw, podtrzymywanie słabszych przeciw silniejszemu. Wyście te zamiary udaremniali, szlachetni panowie. Gdy Saladyn oblegał w Damaszku synów Nur-ed-Dina, wy najeżdżaliście zbrojnie ich granice. Darmo Amalryk, ojciec miłościwego pana, pragnął wspomóc Egipt, gdy ten słał posłów za posłami. Wyście się temu sprzeciwili. W naszych oczach owładnął Egiptem Saladyn. Zaprawdę winien nam wdzięczność! Dzięki tej pomocy zespolił Bagdad, Kair, Damaszek. Jeżeli upadną ostatnie niepodległe grody, Mossul i Aleppo, staniemy w obliczu potęgi, której nic nie sprosta. Miłościwy pan usiłuje wspomagać ostat-

nie wysiłki Zengidów przeciw Ajubicie, i następca tronu winien tę politykę rozumieć. Winien znać dobrze Wschód i grę umiejętnie prowadzić.

Filip z Flandrii podniósł się niezadowolony. To już przechodzi granice! Widocznie nie będą go nawet brali pod uwagę!

— Uszom nie wierzym — rzekł. — Jawnie powiadacie, książę, że należy popierać niewiernych!? Poganów?! Zali podobna rzecz przystoi chrześcijaninowi? Zali jedynym obowiązkiem nie jest walka z nimi?...

— Słuszna! Słuszna! — zagrzmieli zrywając się z miejsc de Chatillon i Odo de St. Amand.

Rajmund stał nieporuszony.

— Na to, by walczyć z każdym — rzekł chłodno — trzeba mieć dostateczne siły.

— Nasi dziadowie o siły nie pytali...

— Nie mówmy o dziadach. Inni ludzie, inne czasy...

Niespodziewanie, sędziwy Onufry de Thoron zabrał głos.

— Za mało o nich mówimy — zaprzeczył — za mało! Oni byli krzyżowcami, a my?... Sam nie wiem, czym jesteśmy, ale czymś zgoła odmiennym... Oni wołali: Bóg tak chce! a my paktujemy z wrogami... Prowadzimy g r ę... Gra to szpetne słowo. Nigdym innej gry nie znał niż rycerska w polu... Nie zważajcie na moje słowa. Starym już i nie rozumiem dzisiejszych czasów...

— Słowa wasze, szlachetny panie, mają zawsze równą wagę. Raczcie jednakże posłuchać! Dzia-

dowie przybyli tu ze swoich krajów położonych daleko za morzem. Nie mieli nic do stracenia prócz życia, które ofiarowali Panu. Podobnie każdy, co z kraju przybywa, dla pielgrzymki czy dla walki, naraża jedno tylko: życie. Albo zginie osiągając zbawienie wieczne, albo wróci do domu okryty chwałą. To jest bieg myśli każdego k r z y ż o w c a. Czynicie nam zarzut, że nie rozumujemy podobnie. Ależ my chcemy tu z o s t a ć. My tu się chcemy utrzymać. My jesteśmy odpowiedzialni za straż przy Grobie św. Zginąć jest łatwiej niż żyć i my wybieramy to trudniejsze. Dźwigamy odpowiedzialność nie tylko za samych siebie, ale za całe królestwo, za pobudowane kościoły, które poszłyby na pohańbienie, za życie chrześcijańskie, co się tu tak pięknie i bogato rozwinęło, za ludność z dala niejednokrotnie przybyłą, która ufa, że jej przy nas nic nie grozi. Ta jest różnica, ogromna różnica!

— Starym jest i nie rozumiem dzisiejszych czasów — powtórzył z uporem de Thoron.

— Nie chcecie zrozumieć, szlachetny panie, nie chcecie! Dziś miecz i wiara same nie wystarczą. Orężne wyprawy króla Ludwika VII, cesarza Konrada III i innych więcej przyniosły królestwu szkody niż pożytku! Bo oni także nie chcieli rozumieć!

— Na św. Patronów Flandrii! — obruszył się Filip. — Kołaczecie do nas ustawicznie o pomoc, Ojciec św. nalega, by kto żyw ruszał do Ziemi św., a w zamian za to taka nas wdzięczność spotyka!

— Pomoc jest niezbędna i pożądana, ale wojska przybywające winny się podporządkować nam, zawierzyć naszemu doświadczeniu. Uderzać tylko na tych, których my wskażemy. Sojuszników naszych zostawić w spokoju.

— Każdy niewierny jest wrogiem — upierał się Filip.

— Tak było dawniej, nie dziś. Czemu nam nie chcecie dać wiary? Sto lat temu muzułmanie posiadali Grób św., podchodzili pod bramy Bizancjum, grozili zalewem Europie. Myśmy ich zepchnęli w głąb. Moab latyński jest garścią dławiącą szyję muzułmańskiego świata, szyję dzielącą państwo Egiptu od państwa Damaszku. Pielgrzymi muzułmańscy zdążający ku Mekce z Indii, Maroku, Turkiestanu, Andaluzji, muszą przechodzić koło naszych granicznych kaszteli w Idumei i Moabie. Jesteśmy panami dróg islamu. I byle trochę rozumnej pomocy — mówię wyraźnie: rozumnej pomocy — stalibyśmy się potęgą, równą Saladynowi!

— Ależ to wszystko, o czym mówicie, dokonali właśnie dziadowie! krzyżowcy!

— O nie, to dokonała mądra polityka króla Baldwina I. Bez niego podbój Jerozolimy byłby się skończył nazajutrz po zwycięstwie. Cóż, kiedy darmo o tym mówić, darmo to tłumaczyć. Każdemu się zdaje, że machanie mieczem wystarczy... By stawić Saladynowi czoło, trzeba dobrze umysł wytężyć. Byłem u muzułmanów osiem lat w niewoli. Poznałem ich gruntownie. Przypatrzyłem się.

Stoją za nimi wiedza, zdolność przewidywania, a co najważniejsze: jedność...

— A ja byłem u nich szesnaście lat! — wykrzyknął de Chatillon. — Głupi, chwalić Boga, nie jestem i zgoła tego nie widziałem! Durne pogany, śmierdzące kozłem i piżmem! Ani im się równać do nas! Co i nie dziwota, skąd mają mieć oświecenie, które tylko od Ducha Św. pochodzi!

Książę Tripoli patrzył na mówiącego z trudnym do oddania wyrazem.

— Istotnie — przyznał — spędziliście tam szesnaście lat... I nic nie zauważyliście ciekawego, nie nauczyliście się niczego?

— Niczego — zapewnił Renald. — Mnie nauka niepotrzebna. Wierzę w Pana naszego, Jezusa Chrystusa, i w mój dobry miecz. Kiep, kto rzeknie, że to rycerzowi nie wystarcza!

— Zazdroszczę wam tej niefrasobliwości. Nie wiem, jak się stało, że będąc krócej, widziałem więcej od was...

— Dużo widzi, komu strach oczy rozszerza.

Rajmund zbladł jak trup. Spokój jego prysł. Stał się nagle uderzająco podobny do dziada Rajmunda z Tuluzy. Żyły nabrzmiały mu na karku. Pochylił się naprzód, niby do natarcia.

— Zarzucacie mi tchórzostwo? — zapytał świszczącym głosem.

Lecz nim zapytany zdążył odpowiedzieć, milczący dotychczas król stuknął mocno o ziemię trzymaną w ręku pozłocistą laską.

— Żadnych sporów — rzekł swym bezdźwięcznym, lecz stanowczym głosem — możecie je załatwić później i gdzie indziej. Książę Tripoli niech mówi dalej. Książę Tripoli zastępuje mnie i nie mogą go dotknąć obelgi, w bezmyślności — chcę wierzyć — rzucane.

Rajmund III dyszał ciężko z pasji. De Chatillon spoglądał wyzywająco. Po chwili jednak Rajmund opanował się i ciągnął:

— Cokolwiek mi oczy rozszerzało, widziałem wiele. Przy mnie rosła nowa orężna potęga Ajubity, przedtem zwykłego dowódcy oddziału. Widziałem, jak zmurszałe państwo niedołężnych kalifów oddawało się samo w ręce zwycięzcy, który — na moją cześć, wie jak sprawować władzę i jak ją gruntować! Uczyć się, uczyć od niego! Od wieków drobne różnice wiary dzieliły kalifów bagdadzkich od kalifów egipskich. Abbasydzi i Fatymici nienawidzili się wzajem. Barwa czarna Bagdadu i barwa biała synów Alego... Dziś już te różnice nie istnieją. Zapanował jeden sztandar Proroka. Zapanowała jedność. Obecna „dżihad“, święta wojna muzułmanów, może być skierowana wyłącznie przeciw nam. Innego wroga nie znają.

— Zali godzi się tyle czasu poświęcać obmierzłym sprawom pogańskim? — westchnął przybyły z Flandryjczykiem biskup z Beauvais.

— To konieczność, wasza dostojność. Znajomość wroga stanowi o sile. Powtarzam, że powinniśmy się od muzułmanów uczyć sztuki rządów. W wielkim władztwie Saladyna jedna głowa sta-

nowi o wszystkim. Jedna wola! Nie zdarzy się tam, by poszczególni ludzie, tworzący państwo w państwie, obracali w niwecz najlepsze zamiary.

— O nas to mówicie?! — zapytał wielki mistrz Odo uderzając się po mieczu.

— Podziwiam, panie, waszą domyślność. O was, owszem. Powiadam, że jakże możemy równać się z Saladynem, gdy oba zakony stają zawsze na przekór każdemu zarządzeniu króla?

— Jedynym naszym celem jest obrona Grobu świętego — odparł wielki mistrz.

— Dziwacznie ją pojmujecie.

— Według najlepszego naszego mniemania. Miłościwy pan może zawsze oprzeć się na naszych mieczach. Jesteśmy cisi i pokorni zakonnicy...

— Nie dla żartów zebraliśmy się, wasza wielebność! Nie dla żartów!... Czyż dawno to uwięziliście posłów wracających do Saladyna z podpisanym przez miłościwego pana układem, wzbraniając się ich wypuścić, że sam z wojskiem musiałem na was ruszyć?!

— Podobnie jak szlachetny rycerz de Chatillon, jesteśmy przeciwni zawieraniu układów z niewiernymi.

— Trza to było rzec na radzie, nie przeciw wysłańcom zbrojnie się porywać!

— Nie ścierpię, by nam tu osławę zarzucano! Miłościwy panie! Protestuję!

Lecz wszyscy byli przeciw wielkiemu mistrzowi. Powszechna nienawiść ku templariuszom wywołała rzadką a zupełną jednomyślność. W sali

zahuczało. Na wyścigi baronowie wypominali wielkiemu mistrzowi przeróżne winy. Księcia ormiańskiego, Mlecha, co zostawszy templariuszem wolał zrenegacić się i do Turków uciec, niż pośród nich pozostawać. Haniebnej pamięci zdobycie Askalonu, gdy templariusze postawili straż w wyłomie murów, nie pozwalając nikomu prócz nich wejść do grodu. Na co oburzone rycerstwo odstąpiło, poganie zebrali rozbite siły, wygnali templariuszów i owoc długiego, kosztownego oblężenia przepadł. Trzeba było zaczynać od nowa...

Przyzwyczajony do podobnych napaści, wielki mistrz milczał, zimnym, pogardliwym okiem mierząc krzykaczy. Gdy się nieco uspokoili i zachrypli, rzekł wzruszając ramionami:

— Nie może Bóg błogosławić królestwu, gdzie najwierniejsze sługi narażone są na potwarze. Nie mamy zwyczaju bronić się, pozostawiając troskę o naszą cześć Chrystusowi Panu. Niech On rozsądzi.

— Nie macie zwyczaju bronić się! — krzyknął urągliwie du Gray — jeno nikt przy was żywota nie jest bezpieczny! Lepiej mieć do czynienia z Izmaelitami niż z wami! Pyszałki! Mordercy!

— Miłościwy panie! — wołał mistrz, lecz głos jego ginął w ponownym tumulcie. Nie można już było rozróżnić pojedyńczych głosów. Jakkolwiek Frankowie syryjscy dalecy byli od pierwotnej uczciwej prostoty, widok jawnej obłudy rozpalił ich do białości. „Pokorni, ubodzy zakonnicy", ci nieużyci, nielitościwi bogacze, o których mawiano, że są

z czartem w zmowie! Chrystus ma się za nich ujmować! Za nich! Gorzały oczy, szczękały miecze. W powietrzu wisiała bitwa. Filip z Flandrii oglądał się wkoło z niepokojem. Giermkowie wysuwali zza filarów głowy ciekawie. Uczony arcybiskup z Tyru podnosił ręce do góry. Patriarcha Herakliusz rozglądał się, jakby zbiec cało. Król usiłował przemówić, a gdy nikt go w tej wrzawie nie słyszał, podniósł się i grzmotnął laską o ziemię z całej siły.

— Milczeć! — krzyknął — tu rada, nie gospoda! Zeszliśmy się dla świeżej żałoby, dla ważnych stanowień. Milczeć i siadać!

Przycichli, spoglądając na niego z niepokojem. A nuż przyszłoby mu do głowy wejść między nich i dotykać i rozbrajać. Br... br... Przy tym głos jego robił wrażenie. W białej nieruchomej twarzy płonęły dziko oczy. Zmilkli więc i usiedli. On stał jeszcze, opierając się ciężko na lasce.

— Wielki mistrz odwoływał się do mnie — rzekł — tedy mu odpowiem, że jako rana na żywym ciele, tak jest królestwu zakon rycerzy Templum. Ojciec mój, gdyby Bóg użyczył mu dłuższego żywota, uzyskałby w Rzymie rozwiązanie zakonu. Usilnie o to zabiegał. Ja nie mam sił... I znoszę... Mam nadzieję, że następca mój znosić nie będzie...

— Ja też nie zniosę! — wrzasnął wielki mistrz i mamrocząc grubiańskie przekleństwa wybiegł z sali. Patriarcha Herakliusz za nim, niby to w celu załagodzenia, w rzeczywistości dla przypodobania się potężnemu dygnitarzowi.

Nie zwracając na ich wyjście uwagi, król ciągnął:

— Takiego musimy wybrać, który się mnichów zbrojnych nie ulęknie. Który się nie ulęknie nikogo. Bo, zaprawdę, oba zakony niewiele wybiegły nad pozostałe rycerstwo. Słyszałem tu wielu, którzy na mistrza krzyczeli, a sami nie lepsi. Wszędy, wszędy to samo! Wypominaliście templariuszom niecnotę, a jeśli ja wam zacznę wypominać? Do zguby doprowadzicie królestwo swoją swawolą! Przez prywatę waszą i skąpstwo przepadła już Edessa, najcenniejsza perła państwa! Przez prywatę i kłótliwość przepadnie podobnie wszystko!

Umilkł i usiadł wyczerpany, gdy oni błyskają ze złości oczami, strzelają w palce, szurają nogami złowrogo. Ten zdechlak trędowaty śmie się w ten sposób odzywać do nich, dobrych wojów, najprzedniejszych baronów królestwa! Ten dzieciuch! Chyba dlatego, iż wie, że go nikt nie dotknie. No, i bądź co bądź jest pomazańcem... No, i ostatecznie co tu gadać, mówi prawdę... Nie można zaprzeczyć... Prawdę... Edessa przepadła, bo ówczesny książę Antiochii Rajmund odmówił pomocy staremu de Courtenay... Powiedział: Wolejbym Turkom pomagał niż jemu! Bo się kiedyś o jakąś dziewkę przemówili... Szkoda istotnie Edessy...

Odrzuciwszy głowę na oparcie krzesła, król skinął na księcia Tripoli, który podjął przerwany sporem wątek narad.

— Wszystko, co było dotychczas powiedziane — zaczął — nawet owe gorszące sprzeczki wskazują dowodnie na jedno: że następcą tronu nie może być żaden rodak zza morza, choćby najprzedniejszy. Wybrać musimy jednego z nas, z miejscowego dobrego rycerstwa, co by znał dobrze położenie i tutejsze ciężkie warunki.

— Zgoda! — huczą wszyscy. Przeciw podobnym słowom nie ma sprzeciwu. — Zgoda!

— Zgadzam się! — krzyczy de Chatillon tak butnie, jakby tylko on jeden mógł zostać królem wybrany.

— Zatem, szlachetni panowie! Miłościwy pan rozważył pilnie wszystkie rody po kolei. Pośród swobodnych rycerzy nie znalazł nikogo godniejszego nad Ibelina z Ramli, przebywającego obecnie w niewoli. Saladyn naznaczył zań okup wysoki. Osiemdziesiąt tysięcy bizantynów. Miłościwy pan pragnie przesłać te pieniądze, po czym zezwolić na ślub rycerza Ibelina z Ramli z Sybillą jerozolimską, wdową Montferrat. To wam przedkłada pod rozwagę.

Zapada głęboka cisza. Ibelin z Ramli? Szkoda, że właśnie na niego wypadło... Każdy czuje w sercu mimowolny zawód. Każdy radby sam sięgnąć po królewnę, ostatecznie wysunąć brata, syna czy krewniaka... Tylko że nijako samemu za sobą gardłować. A nużby to wywołało śmiech... Więc może lepiej obcego? Przynajmniej nie będzie wyniesiony żaden z nich. Ani mnie, ani tobie. Równość między rycerstwem.

Milczą i szukają, o co by sprzeciw zahaczyć. Niełatwo, bo Ibelinowie przedni ród, zwierciadło nieposzlakowanych cnót rycerskich. Pierwsi do boju i do rady. Oparcie króla, który nigdy przez nich zgryzoty nie doznał. No i powszechnie wiadomo, że Baldwin Ibelin miłował królewnę.

Gdyby wielki mistrz był obecny, poruszyłby ziemię i niebo przeciw temu zamiarowi. Bez innej racji jak niechęć do króla. Pociągnąłby za sobą niejednego, ba, z połowę. Wszystkich tych, co z przykrością myślą, że przyjdzie się kiedyś Ibelinowi nisko kłaniać.

Ale Odo de St. Amand jest nieobecny. Baldwinowi przychodzi do głowy, że może Rajmund umyślnie poprzedni spór wywołał, by taki wynik osiągnąć? Nie po raz pierwszy ogarnia go podziw nad wyrobieniem politycznym wuja.

Wniosek przechodzi nadspodziewanie łatwo. Stary Onufry de Thoron przystaje pierwszy. Jocelin de Courtenay ziewa. Co go to wszystko obchodzi? Rozmawia żywo z Boemundem, księciem Antiochii, o łowach. Renald de Chatillon nie zgłasza sprzeciwu. Renald z Sydonu kiwa głową z zadowoleniem. Jest przyjacielem Ibelina. Jeżeli miłościwy pan zezwoli, chętnie pojedzie po niego z okupem. Wszystko zatem załatwione. Pozostaje tylko uzyskać zgodę królewny, wdowy Montferrat.

— Dziękuję wam, szlachetni panowie — mówi król z wyraźnym zadowoleniem. — Niech Bóg wspomaga Grób święty! Uczyniliśmy dobry wybór. Ibelin z Ramli potrafi zastąpić godnie zmarłego

Wilhelma de Montferrat, przydomkiem Długomieczy.

— Oby go też potrafił pomścić — rzecze głębokim głosem stary de Thoron.

Zalega cisza. Słowo plusnęło jak kamień, rozbiło się w kręgi. Z ust najczcigodniejszych padło potwierdzenie niejasnych, ogólnie żywionych podejrzeń. Niespodziewany przypadek, który pociągnął za sobą śmierć młodego księcia, nie był wywołany trafem. Skały nie osuwają się co dzień. Raz w ciągu lat zdarzyło się, że książę wjechał do wąwozu i śmierć na niego czekała zaczajona, sama z siebie?...

— Czy to pierwszy wypadek?! — zakrzyknął Gerard d'Avesnes. — Nie zamordowanoż przed laty skrytobójczo seneszala de Milly, i nigdy nie wyśledzono mordercy?

— Ja go wyśledzę i zmarłego pomszczę — zapewnia Renald de Chatillon. — Jeżeli bowiem miłościwy pan nie odmówi swego zezwolenia, poślubię wdowę po seneszalu.

— Nie mam możności odmówić — powiada król z wahaniem.

Poprzednie jego zadowolenie pryska. Blade lico posępnieje. Jeżeli de Chatillon poślubi Stefanię de Milly, zostanie panem Zajordanii. Będzie zarządzał kasztelem Karak panującym nad granicą Moabu... Ale jak temu przeszkodzić?

Spoglądają na siebie z Rajmundem III ze zrozumieniem. Książę Tripoli targa wąsy niecierpliwie.

Arcybiskup Wilhelm opuścił głowę na piersi. Sam nie wie, czy radować się, że sakrament małżeństwa zatrze dawne grzechy ciała — boć ogólnie wiadomo, że rycerz de Chatillon i Stefania byli przed laty kochankami — czy drżeć przed skutkami związku oddającego w ręce zawadiaki najważniejszą twierdzę w państwie? Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Rajmund III podejmuje, jakby nic nie zaszło.

— Nikt nie uwierzy, że przypadek spowodował śmierć de Montferrata. Nie należy też zwalać zbrodni na Izmaelitów, jak to się zwykle u nas czyni, ilekroć czegoś nie można zrozumieć. Sinan, Starzec z Gór, jest w wojnie z Saladynem. Na pewno nie starałby się nas osłabiać. Więc nie on. Ale kto? Sam w głowę zachodzę... Nie wiem.

Aubert, biskup Betlejem, nie zabierając dotychczas głosu ni razu, tak zamyślony, że jakoby nieobecny, przecknął i rzecze nieśmiało:

— Pozwólcie, szlachetni panowie, że i ja coś powiem. Wolałbym wobec naszych dostojnych gości zza morza nie dotykać spraw tak bolesnych, ale skoro już na to przyszło, odważę się... Kto czyni zło? Kto skrycie zabija? Ano ten szatan, co się widomie kręci wkoło nas. Przecież co moment spotykamy jego ślady...

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! Co wasza dostojność ma na myśli?!

— Ano to, o czym wszyscy wiemy, chić nikt otwarcie nie powiada... Czasem mi się zdaje, że istnieje wokół niby Bractwo Zła, tajemne, zaprzy-

siężone... Kąkol posiany przez złego sąsiada... To bractwo sprawuje zło... Niewidzialnie... Straszno o tym mówić, szlachetni panowie... Są pośród nas, którzy wspominają pono Szymona Maga i Marka Czarnoksiężnika... Nie lękają się... Podobno mają wyznawców swych pośród chrześcijan Bracia Wężowi, offici i kainici, czciciele Kaina... Straszno o tym mówić... W cieniu świętych murów lęgnie się plugastwo... Czarty hulają...

Słuchali wszyscy uważnie, nie mogąc wyrozumieć, o co świątobliwemu staruszkowi chodzi. Niektórzy żegnali się trwożnie i oglądali na boki.

Jocelin de Courtenay roześmiał się głośno, rubasznie.

— Jeżeli w Jerozolimie jest kto w zmowie z czartem, to ani chybi de St. Amand. Powiadają, że ma złota, wiele chce. Ilekolwiek by wydał, nic mu nie ubywa.

— O na Boga! — wykrzyknął Renald z Sydonu. — To ja się zaraz do tak pięknego bractwa zapisuję. Czy wasza dostojność mogłaby o nim udzielić bliższych szczegółów?

Staruszek westchnął i zgorszony popadł w poprzednią zadumę. Kpiarz wskazał na niego wesoło oczami.

— Nie chce zdradzić ponętnej tajemnicy. A przydałaby mi się, przydała...

Arcybiskup obruszył się szczerze.

— Przestańcie bluźnić, rycerzu, wywołując zło... Jest ono i tak nadto blisko...

Król podniósł się kończąc zebranie. Biskup z Beauvais o łagodnej, frasobliwej twarzy wzniósł obie ręce do góry.

— Pozwólcie mi jeszcze zabrać głos, miłościwy panie! Od paru godzin męczę się, nie śmiąc zadać jednego pytania... Ale skoro biskup Aubert...

— Mówcie, wasza wielebność, bez obawy.

Baldwin usiadł z powrotem. Lazaryści, którzy już podeszli, by mu pomóc zejść ze stopni, cofnęli się w głąb. Wszyscy patrzyli ciekawie na obcego biskupa, który łamał się z własną nieśmiałością, na koniec nieomal z płaczem rzekł:

— Miłościwy panie, szlachetni baroni! Nie będę mówił, z jakim uczuciem jechaliśmy k'wam... Niby do archaniołów strzegących największej świętości... Do stróżów Grobu św. Przybywszy, oczom nie wierzym... Ciężko, ciężko... Doma nie poważę się chyba opowiedzieć, com tu widział, słyszał... Ale w najgorsze uwierzyć nie mogę... W głowie się nie mieści... Dlatego chcę się zapytać samego miłościwego pana i szlachetnej rady... Po chrześcijańsku, po rycersku odpowiedzcie, prawda li to czy oszczerstwo?

— Mówcież jaśniej, wasza wielebność, o co chodzi? Uczciwie odpowiemy...

Biskup załamał ręce. Słowa więzły mu w gardle.

— Tedy się odważę... Nie miejcie mi za złe szczerości... Że nie brzydzicie się obecnością pogan, to z żalem widzimy... Pełno ich w grodzie...

Ale powiadają, że w jednym mieście, mieście... nie pomnę którym...

— St. Jean d'Acre — podpowiedział de Thouars.

— Tak, St. Jean d'Acre! Otóż, że w tym mieście kościół i meczet, świątynia chrześcijańska i bożki pogańskie znajdują się pod jednym dachem!

Zasłonił twarz dłońmi czekając na odpowiedź. Król skinął ręką ruchem śmiertelnego zmęczenia.

— To prawda — rzekł. — Książę Tripoli niech bliżej wyjaśni.

— Prawda? — jęknął biskup z Beauvais — prawda?!

Spojrzał z rozpaczą po obecnych duchownych. Milczeli. Rajmund podjął zwykłym, opanowanym głosem.

— Posłuchajcie, wasza dostojność! Z kraju przybywając, nie możecie zrozumieć wielu rzeczy, które nam widzą się proste. My tu z muzułmanami trwamy w ustawicznej wojnie. Dwa, trzy lata rozejmu, dziesięć wojny. Na wojnie bywa różnie. Ten na wozie, ten pod wozem. Jak się zdarzy. Niektóre grody nadmorskie przechodzą z rąk do rąk. Taki my przeto ustalili zwyczaj, że wyjąwszy Jerozolimę, gdzie żadnej innej świątyni prócz Pańskiej być nie może, ostawiamy w każdym grodzie jeden meczet, żeby muzułmany miały gdzie swoje nabożeństwo sprawować. Za to, gdyby się dola odwróciła i oni zajęli miasto, nie zniszczą naszych kościołów, ani bedą do nich bronić wstępu. Tak to

ułożylim... W St. Jean d'Acre meczetów brak. Spalone w czasie szturmu. Katedra zasię wielka. Zresztą, przerobiona z meczetu. Odgrodzilim jedną nawę dla muzułmanów. Z osobnym wejściem. Chrześcijany i pogany zgoła się nie spotykają, nie szkodzą sobie wzajemnie... Sądzimy, że nie jest to grzechem ani obrazą Pana naszego...

Biskup z Beauvais nie odrywał dłoni od twarzy.

— Boże, Boże! — szeptał — a ja nie chciałem wierzyć... Nie mogłem wierzyć... Kościół i meczet... Jakoby równe... Wiara prawdziwa i przebrzydłe bałwochwalcy!

— Muzułmany nie są bałwochwalcy — przerwał Rajmund nie kryjąc zniecierpliwienia. — Wierzą w jednego Boga, nie w bożki...

Król stuknął złocistą laską.

— Zamykam radę. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Odpowiedzieli gromko, z ulgą powstając z miejsc. Wychodzili gwarnie, przeciągając gnaty i kołacząc mieczami o marmurową posadzkę. Biskup z Beauvais dreptał niespokojnie obok nadętego Flandryjczyka.

— Boże, Boże! — powtarzał. — Toż to nie chrześcijany wcale... Od poganów gorsze... Kościół z meczetem!... Na to zeszło!... Wracajmy do kraju, wasza dostojność! Wracajmy!

— Powinni mi byli zaofiarować koronę — mruczał gniewnie Filip. — Jużci nie byłbym przyjął, ale się należało...

## ROZDZIAŁ VI.

### SAM NA SAM.

Agnieszka plasnęła w ręce ze zdziwieniem i przyśpieszyła kroku. Lektyka królewska stała na dziedzińcu. Dźwigający ją pachołcy i czterej bracia lazaryści cofnęli się ku bramie. Niewidoczny za cienkimi zasłonami Baldwin rzekł:

— Pozdrawiam was, pani matko. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

— Witam was w zdrowiu, miłościwy panie synu — odparła zmieszana i gniewna na samą siebie. Potrzebnie powiedziała to: w zdrowiu! Odpowiednie słowo, nie ma co!

Choć wiadomo było ogólnie, że król nie wchodzi nigdy do innego domu niż swój własny, jęła gorąco namawiać, aby uczynił jej zaszczyt i odwiedził tak dawno nie oglądane komnaty.

— Byłabyś w niemałym kłopocie, pani matko, gdybym na to przystał — przerwał chłodno. — Chcę pomówić z Sybillą. Niech tu przyjdzie.

— Sybilla!?... Niebożątko moje biedne! Gołąbeczka droga! Bóg nie ma nad nią litości... Takie to wrażliwe, takie miłujące, a tak pokrzywdzone... Ona tego nieszczęścia nie przeżyje, ja mówię, że nie przeżyje... Gdzie sprawiedliwość, skoro Bóg

nawet jagniątka doświadcza...?! Czy nie mogłabym jej powtórzyć twego zlecenia, miłościwy panie synu?... Ona jest w ciąży, więc...

— Zali widok mojej lektyki ma na nią źle oddziałać? Boć ja jestem całkowicie skryty za zasłoną?

— Ależ ja nie myślałam o tym... Cóż znowu! Tylko, że ona taka wrażliwa, a każde wzruszenie...

— Chcę ją zobaczyć — odparł krótko.

Posławszy służebną po córkę, Agnieszka stała nieruchomo, urażona. Wszystkie jej macierzyńskie uczucia ogniskowały się na Sybilli, do syna czuła tę samą niechęć, jaką on żywił dla niej. Pyszałkowaty smarkacz z wieczną urazą, że jest trędowaty, jak gdyby to nie był dopust Boży, jak gdyby ona była temu winna!

Sybilla nadchodziła, a raczej nadpływała, ciągnąc za sobą zwoje wdowich szat. Szeleściła nimi kołysząc się z wyszukanym wdziękiem. Za nią rzadki gość w grodzie: sędziwa opatka z Góry Oliwnej, babka Iwetta. Usiadła na marmurowej ławie czekając końca rozmowy rodzeństwa.

Przez wąskie szpary w zasłonie lektyki Baldwin przyglądał się uważnie siostrze. Nie widział jej od dnia pogrzebu dziewierza. Rozpaczała wówczas hałaśliwie i gwałtownie, targając włosy i szaty, padając na ziemię. Od tego czasu minęło zaledwie parę niedziel. Jest wprawdzie smutna, ale liczko ma starannie ubarwione, wargi ukarminowane. Można z nią mówić o nowym małżeństwie.

Na pierwsze jego słowa przez twarz Sybilli przeleciał błysk ciekawości, wnet pohamowany oburzeniem:

— Zostawcie mnie w spokoju! Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju! Nie chcę nic prócz śmierci... Jeżeli nie umrę w połogu, pójdę do klasztoru... Ale ja na pewno umrę w połogu... To lepiej... Zostawcie mnie...

— Nie sądzę, byś umarła. Gdyby się to jednak stało, obranego dla ciebie męża przeznaczymy Izabeli, która już dochodzi lat...

Skoczyła jak oparzona.

— Pochowaliście mnie, ani się pytając?! — krzyknęła — o, ty byś nawet wolał! Ja wiem! wolisz Izabelę niż mnie! Tak samo wolisz macochę niż matkę! Jesteś bez litości! Jesteś królem! Możesz się nad nami pastwić! Dalej! Za kogo mnie wydasz za mąż! Kiedy? Dziś? Za kogo? Za takiego samego jak ty?...

— Ubliżasz sobie, nie mnie — odparł głucho zza zasłony.

Sybilla płakała ze złości. Agnieszka objęła ją opiekuńczo ramieniem.

— Nie dręcz mojej gołąbeczki. Słusznie prawi, że jesteś nielitościwy. Mówić o nowym mężu, gdy łzy jej jeszcze nie zaschły po tamtym!...

— Na razie nie widziałem łez, tylko barwiczkę. Chętniebym ją zostawił w spokoju, ale królestwo czekać nie może. Ja trzymam się resztą sił. Zre-

sztą w nową łożnicę nie wejdzie wcześniej niż za rok, chcę tylko, by teraz przystała na wybór.

— Kogoście wybrali? — zawołała Agnieszka ciekawie.

— Ibelina z Ramli.

Sybilla otarła oczy i podniosła głowę.

— Zwykłego rycerza? — zapytała pogardliwie. — Ibelina? Czy już nie ma w Europie książąt? Mój biedny Wilhelm o królu francuskim mówił, że to jego wuj, a o cesarzu niemieckim, że... pociot...

Zaszlochała rozpaczliwie, poruszona tymi wspomnieniami. Agnieszka uspokajała ją, rzucając na lektykę spojrzenia pełne urazy.

— Nie ma nikogo odpowiedniejszego — rzekł Baldwin stanowczo. — Ibelin jest przednim rycerzem. Dobry rycerz jerozolimski, to więcej znaczy niż wszelkie tytuły europejskie. Miłuje cię. Będzie uważnym opiekunem tobie i dziecku. O dziecku myśl przede wszystkim. Jeśli to syn, gdy dorośnie, zostanie królem.

— Ja umrę, umrę na pewno!... O mój biedny Wilhelm! — płakała Sybilla.

— Nie dręcz już jej. Pozwól odejść — wstawiła się gniewnie Agnieszka. — Z takiego wzruszenia może poronić jak nic...

— Niech odejdzie, byle mi przedtem powiedziała, czy zgadza się na wybór, gdyż chcę posłać po Ibelina.

— Zgadzam się! Zgadzam! Jestem przecież twoją służebnicą, poddanką! Rozkazuj! Jeszcze czego chcesz? Czy to mało?

— Chciałbym, abyś choć na chwilę zrozumiała, że tak samo jak na mnie, ciąży na tobie odpowiedzialność za przyszłość państwa... I że to nie jest lekka rzecz... I że trzeba dla niej wiele poświęcić... Ale ty tego i tak nie zrozumiesz... Nie zrozumiecie obie... Żegnajcie. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Wysunął laskę dając nią znak lazarystom. Zanim podbiegli, opatka Iwetta podniosła się z ławy i zatrzymała ich stanowczym ruchem ręki. Miała już blisko siedemdziesiąt lat, twarz pomarszczoną jak kora, surową, ale pogodną. Pewnym krokiem podeszła tuż do lektyki i spokojnie odsunęła zasłony. Nieoczekiwanie Baldwin znalazł się z nią twarzą w twarz. Patrzyła nań przyjaźnie i bez wstrętu.

— Dawno cię nie widziałam, mój chłopcze, ale modlę się za ciebie codziennie...

— Nie dotykajcie mnie, wasza wielebność! — wyjąkał z przerażeniem, bo wysuwała rękę, jakby chcąc go pogładzić po głowie.

— Jać się, dziecino, nie boję. I tak nadto długo pielgrzymuję po świecie.

Nie zważając na opór, objęła go i pocałowała. Spuścił nisko lico, by ukryć łzy, których nie był w stanie wstrzymać.

— Babko... babko...

— Bóg z tobą, mój mały.

Nakreśliła nad nim znak krzyża. Gdy się wyprostowała, zasunął firankę ruchem prawie szorstkim. Pachołcy unieśli drążki. Agnieszka i Sybilla stojąc opodal spoglądały na starą ksienię z niepokojem.

— Nie bójcie się — zapewniła ona zrozumiawszy to spojrzenie. — Nie wejdę już do komnat, wracam doma.

Obejrzała się za towarzyszką, siostrą zakonną, niewidocznie tkwiącą dotychczas wśród roślin otaczających fontannę, i ruszyła żwawo, podpierając się długim kosturem. Lektyka już znikła w bramie.

— Nareszcie odszedł! — mówiła Agnieszka pieszcząc córkę. — Nie frasuj się, gołąbeczko, nie frasuj... Ibelin mocny, zdrowy chłop. A zakochany! Owiniesz go koło palca... Zresztą, to dopiero za rok... Przez rok, Bóg wie, co może zajść... Nie frasuj się... Ach, żebyś powiła syna!... Byłby tak samo jak ojciec krewniakiem króla francuskiego i cesarza... Mogłabyś do nich pojechać w odwiedziny, albo może oni przyjechaliby w pielgrzymce tutaj... Ho, ho... Matka cesarskiego pociota... Ibelin nie będzie ci nic przeszkadzał... Poczciwiec...

— Poczciwiec — przyznała Sybilla już rozpogodzona.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

— Król był tu dzisiaj, wiecie? — szeptał rycerz du Gray w ucho Luzynianowi. — Królewna pono przystała na Ibelina i Renald jedzie po niego.

U bizantyjskich kupców pieniędzy pożyczą na wykup. Za rok będziemy mieli nowe weselisko.

— Ibelin ma szczęście — zauważył Amalryk z roztargnieniem.

Od pewnego czasu był ciągle taki, myślą nieobecny, pochłonięty tajemną troską czy zamiarem. Wcześniej niż zwykle wrócił na swoją kwaterę. Zamknąwszy starannie drzwi komnaty siadł przy stole, wyciągnął z zanadrza zaczęty list i rozłożywszy przed sobą jął uważnie odczytywać. W połowie czytania zmarszczył się, zmiął papier w ręku.

— Źle, źle, na nic...

Przed obrazem Matki Boskiej wiszącym w rogu pokoju palił się mały olejny kaganek. Przytknął do płomyka papier. Trzymał w ręku, aż się cały arkusz spalił, zwęglone resztki rozdeptał, roztarł starannie na posadzce nogą i zasiadł znowu przy stole sięgając po nowy papier i inkaust.

— Święty Mamercie, patronie, poradź!

Pióro skrzypiało wprawnie po papierze. List ten, podobnie jak poprzedni, którego popiół czerniał na marmurowej posadzce, był przeznaczony dla matki, cnej pani Benigny. Amalryk pisał długo. Za najmniejszym szelestem podnosił głowę niespokojnie. Nareszcie skończył, odczytał i z rozpaczą uderzył się w czoło.

— Nie tak, nie tak! Znowu źle!

Zerwał się gniewnie, biegał po komnacie. Przystawał chwilami, czytał skreślone przez siebie zdania, znów biegał. Całkiem źle!

— Więc jak? Więc jak?

...Jeżeli napiszę jasno, o co chodzi, a list wpadnie w czyje ręce (co się łacno zdarza... o templariuszach gadają, że stąd wszystko wiedzą)... on, Amalryk, nie ma tu po co zostawać ani godziny dłużej. Jeżeli napisze ogólnikowo, niezrozumiale, w przenośni, nikt w domu nie domyśli się, o co chodzi... Pierwszy list był zbyt otwarty. Dobrze, że go spalił. Drugi zbyt zagadkowy. Też na nic. Trzeba się liczyć z tym, że familia nie zna tutejszych stosunków, nie rozumie ich. Nie pojmie nic z tego, co Amalryk chce powiedzieć, o ile to nie będzie jasno wyłożone...

...Więc może wcale nie pisać, dając polecenie na gębę?

...Przypieczętowanego, pisanego słowa nie zaprzesz się żadną miarą. Mówionemu słowu łatwiej zadać kłam. Taki to tam cudeńka prawi! Łże jak pies! Powiada, że nie łże? Niech dowiedzie prawdy. Gdzie ślad w powietrzu po słowach, które miały być powiedziane?...

...Lecz zawierzyć taką tajemnicę człowiekowi?...

Chodził, chodził po komnacie, myślał, aż go głowa rozbolała z myślenia. Chwilami zniechęcony sądził, że lepiej całego zamiaru poniechać, nie narażając się na śmieszność i wygnanie. To znów ogarniał go żal. A nuż?! Taka sposobność, taka jedyna sposobność! Dać się jej wymknąć z rąk?... Nawet nie próbując?!... Szkoda!

Odryglował drzwi, klasnął w ręce. Gdy pacholik poskoczył, kazał przywołać starego giermka, Macieja de Guerce.

De Guerce pochodził z dobrej szlachty, lecz ubogiej, przeto skazany był z góry na dożywotnie giermkowanie. Przybył do Jerozolimy z młodym rycerzem, od dziecka będąc w służbie rodu Luzynianów. Klepał biedę jak oni, szukał poprawy bytu jak oni. Amalrykowi uśmiechnęła się fortuna. Miał już znaczenie na dworze i niezgorszy mieszek. Być może, że poszczęściłoby się podobnie Maciejowi, gdyby nie to, że stary nie mógł w żaden sposób do nowych warunków przywyknąć. Tęsknił za krajem, aż usychał z tej tęsknoty. Łaził osowiały, zobojętniały na wszystko.

Gdy wszedł, Amalryk zamknął znowu drzwi.

— De Guerce, chcielibyście wrócić?

— Wasza miłość odprawia mnie? Niezdatnym, wiem...

— Pociechy z was nie mam, rzeczywiście, ale na razie nie odprawiam. Mam ważne, tajne poselstwo do domu. Pisać nieporęcznie... Chcę was z nim posłać...

— Wasza miłość!

Nim Amalryk zdążył zatrzymać, stary padł mu do nóg. Rozpłakał się z radości jak bóbr. Wrócić, wrócić! Uciec z tego przeklętego kraju, gdzie chrześcijany równe są z poganami. Wrócić!

— Cicho bądźcie, bo nikt nie ma wiedzieć, że was posyłam, i słuchajcie. To, co powiem, jest ważne. Jeśli się po drodze wygadacie, jeśli gdzie słowo piśniecie, zaprę się was. Powiem, żeście mnie

okradli i uciekli. Na męki wydam. To zapowiadam od razu...

— Nie puszczę pary z gęby, jak boskiego miłosierdzia pragnę przy skonaniu.

— Pomnijcie! Coć rzekę, pani Benignie powtórzcie. Jej samej. W cztery oczy. Pieniądze, które dam, takoż jej oddacie. Wszystkim innym powiadajcie, że was puściłem, boście zdzierżeć z tęsknicy nie mogli...

— Oj, to prawda, wasza miłość, że nie mogłem...

— Jechać możecie choćby jutro. Konno do Jaffy, stamtąd pierwszym statkiem genueńskim.

— Słucham, wasza miłość. Bóg zapłać waszej miłości. A jakie słowa mam powtórzyć szlachetnej pani Benignie?

— Słuchajcie...

Amalryk zagryzł wargi, rozejrzał się wkoło niespokojnie. Raz jeszcze sprawdził drzwi, uchylił zasłony wiodącej na dziedziniec. Nie było nigdzie nikogo.

— Na zbawienie duszy przysięgacie nie powtórzyć nikomu prócz pani Benignie?

— Na zbawienie duszy. Na Grób święty!

— Słuchajcie więc...

Amalryk nachylił się ku staremu szepcąc długo, pomału. W miarę jak mówił, oczy giermka zaokrąglały się zdumieniem.

— Zrozumieliście?

— Zrozumiałem.

— Powtórzcie.

Maciej de Guerce powtórzył.

— Nie zapomnicie?

— Zaśbym zapomniał!

— Jedźcie zatem. Niech św. patronowie poitevińscy mają was w swojej opiece!

. . . . . . . . . . . . . . . .

Kołysany w lektyce Baldwin zaciskał zęby, by nie krzyczeć z bólu. Byłby gryzł własne palce, gdyby nie napawały go wstrętem. Nie z bólu cielesnego, nie. Na ten z dawna już otępiał. Spotkanie z babką, jej serdeczny głos, jej pocałunek wstrząsnęły nim do głębi, rozpętały burzę rozpaczy bez granic. Rozpaczy takiej, że tarzałby się po ziemi i wył. Maska obojętnej dumy i godności nałożona na właściwe, młodzieńcze, wybuchowe lico, nigdy nie zdejmowana, nadludzkim wysiłkiem utrzymywana, pękała, rozlatywała się w strzępy pod wpływem tak prostej rzeczy: życzliwego słowa, przyjacielskiego dotknięcia. Czuł, że nie zdzierży, że pocznie krzyczeć i szlochać. Och, uciec, uciec od wszystkich, uciec od samego siebie! Gdzie? Gdzie? Na Boga!... Gdzie uciec?... Jużci, że tylko do Boga...

I ku zdziwieniu, a zarazem skrytej radości braci lazarystów kazał nieść się nie do pałacu, lecz do Bazyliki Grobu. Zapewne jest pusta, nie była to bowiem pora nabożeństwa. Zresztą brat Jan i brat Mateusz poszli przodem usunąć z niej wiernych, o ileby się znajdowali. Król chciał być sam. Pa-

chołcy z lektyką, a nawet oni, bracia lazaryści, zostaną na zewnątrz, czekając.

Wielkie, pięknie kute odrzwia zamknęły się za wchodzącym z głębokim metalicznym dźwiękiem. Wokoło panował mrok, złocisty mrok. Baldwin posuwał się ostrożnie, z poczuciem, że wchodzi tu pierwszy raz. Opierał się ciężko na lasce. Było mu trudno chodzić samemu bez pomocy. Niedołężne, ostrożne jego kroki ginęły bez echa w pustce olbrzymiej świątyni. Była kolista, głęboka, majestatyczna, otoczona wieńcem kaplic połączonych arkadami z główną krągłą nawą. Pośrodku, pod strzeliście wysoką latarnią złocistej kopuły, znajdował się Grób św., szary złom skały, okryty z zewnątrz marmurem i złotem, obwieszony wotami. Wisiały obok siebie klejnoty; perły połyskujące niby zastygłe łzy matek czy kochanek; związane w snopek strzały, którymi zbuntowani joannici obrzucili patriarchę; miecze Godfryda de Bouillon, Tankreda, Rajmunda St. Gilles; kajdany, w których bohaterski Jocelin de Courtenay, dziad macierzysty trędowatego króla, uciekł z niewoli, przepłynął Eufrat i cudownie doszedł do swoich. Wisiały zdobyczne buńczuki i chorągwie muzułmańskie, hełmy i włócznie. Półtorałokciowej wysokości złoty posążek dziecka, ofiarowany przez króla Baldwina II, gdy ukochaną najmłodszą córkę Iwettę (sędziwą dzisiaj opatkę) oddawał jako zakładniczkę Nur-ed-Dinowi. Prócz wotów nagrobki. Stali czujnie, bojowo, lub spali z lwem w nogach, w kamieniu wyrzeźbieni, wszyscy dotychczasowi

królowie jerozolimscy. Świątobliwy Godfryd. Brat jego mądry Baldwin I, krewniak obu i towarzysz Baldwin II du Bourg, Fulko Andegaweński, zięć poprzedniego, Baldwin III, na koniec Amalryk... Dzieje minionych siedemdziesięciu dziewięciu lat w wymownym skrócie skupiły się tutaj u Grobu św.

Lecz wnuk i syn królewski nie przyszedł szukać swych dziejów. Nie spoglądał na nagrobki, ni na miejsce przeznaczone dla niego samego. Zagubiony w milczącym ogromie, czuje jedno tylko: obecność Bożą i swoją samotność.

Wielkość niedosięgłą Stwórcy i nędzę człowieka.

...Bóg i dzieło Jego rąk...

Wieczysta Jego obecność jawi się czasem w głuszy przeraźliwej, wśród szczytów górskich albo na pustyni morza, albo w świątyni jak ta, wszędzie, gdzie człowiek zagubiony i bezradny czuje się s a m.

Wtedy staje z Panem twarzą w twarz, obliczem w oblicze.

Rozmawia z nim jak Mojżesz na górze Synaj. Żali się i skarży jak Hiob... Hiob, nieśmiertelne ucieleśnienie człowieczej niezawinionej niedoli...

...Bóg i Hiob.

Leżąc bezwładnie u wejścia do Grobu, Baldwin IV czuje się Hiobem. Narzeka słowami Hioba:

...Niech zginie dzień, który mnie urodził, i noc, w którą powiedziano: począł się człowiek...

...Noc ową niech ciemny wicher posiędzie, niech się śćmią jej gwiazdy, niech jej nie ogląda zorze...

...Iż nie zawarła drzwi żywota, który mnie nosił, ani odjęła złego ode mnie...

...Czemum w żywocie nie umarł, wyszedłszy z żywota nie zginął?!

...Przecz nędznemu dano światło dnia, przecz życie temu, którego dusza gorzknieje?...

...Panie, któryś mnie stworzył po to, żeby zniszczyć!

...Któryś oblókł moje kości mięśniami i skórą, któryś mnie wypuścił z rąk swoich...

...Złóż na wagę grzechy, któremim na gniew zasłużył, i nędzę moją, a obacz, która szala cięższa!

...Zali sprawiedliwie cierpię?!...

...Zali nie zsyłasz cierpienia nad siły?

...Ani kamienna moc moja, ani ciało moje miedziane.

...Kres już wytrwałości mojej.

...Jak niewolnik pragnę cieniu i nicości. Brzydzą się mnie szaty moje. Otoczyły mnie zgnilizna i plugastwo prochu. Skóra odpada od kości. Dni moje przeminęły prędzej, niźli tkacz płótno obrzyna, i wytrawione są bez żadnej nadziei.

...Jakże może się podnieść dusza moja? Aza się zieleni sitowie bez wilgotności, albo rogozie urośnie bez wody?...

...Gdzie jest miłosierdzie Twoje?...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Na słowa Hioba-człowieka odpowiada przestrzeń wypełniona Bogiem. Szumi niby wielka muszla. Nadpływa łoskotem niewidzialnych fal.

Łoskot przeradza się w grzmot. Nadciąga z dala jak burza. Burza wzgardliwego gniewu uderza w nędzę skamlącą.

...Prochu, który mnie przyzywasz!...

...Który chcesz wikłać wyroki słowami nieroztropnymi...

...Gdzieś był, gdym zakładał fundamenta ziemie? Powiedz mi, jeśli masz rozum!

...Kto założył miary jej, jeśli wiesz, albo kto nad nią sznur rozciągał?

...Kto zamknął drzwiami morze, gdy się wyrywało jakoby z żywota uchodząc, gdym kładł obłok szatę jego, a mrokiem jako pieluchami dziecinnymi owijał?

...Azaś ty po narodzeniu twoim rozkazał świtaniu i ukazałeś zorzy miejsce jej?

...Azaś wszedł do głębokości morskich i przechodziłeś się po dnie przepaści?

...Azać otworzone są bramy śmierci i widziałeś Wrota Ciemne?

...Wiedziałeśli na on czas, że się masz urodzić, a znałeś liczbę dni twoich?

...Izaliś wszedł do spichrzów śniegu albo skarby gradu oglądał?

...Powiedz, kto jest ojcem dżdżu albo kto zrodził krople rosy?

...Z czyjego żywota wyszedł lód, a mróz kto spłodził?

...Izali znasz porządek nieba?

...Izali wypuścisz błyskawice i pójdą, a wróciwszy się powiedzą: Panie, owośmy?

...Prochu, co się chcesz ze mną prawować!

...Powstajesz przeciw mym sądom, których nie rozumiesz!...

Straszliwie huczy przestrzeń wypełniona Bogiem. Truchleje od niej serce, zamierają zmysły. Na coś się ważył, głupi, nikczemny człowieku? Cóż twoja rozpacz, twój ból?... Gdzie ty, gdzie Pan?... Pan, co zakładał fundamenta ziemi?...

...Darmo się korzysz i szlochasz... Czym twoja nędza w obliczu wszechświata?... Cóż innego niźli grozę i poczucie własnej nicości osiągniesz?...
...Mówili z Bogiem trwożąc się i drżąc Mojżesz, Eliasz i Hiob...

...i Syn Człowieczy w Ogrójcu...

...Syn Człowieczy...

Jakby nagłą myślą tknięty, Baldwin unosi się z ziemi, czołga do ciemniejącego otworu skały. Wewnątrz, w dusznej, ciasnej wnęce pali się wieczysta lampa. Kamienna ława kuta w litej skale... Trędowaty chwyta się tego kamienia i woła:

— Chryste! Chryste cierpiący! Ty jedyny! Ty, Bóg, co drżałeś i lękałeś się! Ty, co znałeś nędzę ludzką! Zlituj się, zlituj nade mną!

...Stworzyłeś świat, a jednak bałeś się męki! Cierpiałeś w ciele jak człowiek! Jak ja! Cierpiałeś niezawiniony!... Pokorne kładziesz wysoko,

a smętne obdzielasz zdrowiem... Chryste, co obdzielasz zdrowiem!...

Tuli się z płaczem do kamiennej ławy. Dygoce z wstrząsu niemocy.

...Zmień moje plugawe ciało! Daj się urodzić na nowo! Uzdrów mnie!

Słucha i czeka. Oliwa pryska w lampie cichuteńko. Czeka. Ława kamienna chłodzi...

...Czeka...

Aż od sklepienia, czy z głębi własnego zdręczonego serca nadpłynie głos, już nie przerażający huk szumiącej grozy, ale bliski głos człowieczy...

— ...Dlaczego płaczesz? Zali nie uczyniłem już tego, o co mnie prosisz? ...Na tej samej ławie, którą obejmujesz, leżało sponiewierane i bolesne ciało moje. Zastygł na nim krwawy pot.

Leżało truchłem bezwładnym i nędznym, a trzeciego dnia jaśniejące zmartwychwstało.

Widzieli zmartwychwstałe Ciało moje niewiasty i uczniowie zdążający do Emaus, i jedenastu w wieczerniku zebranych, i potem jeszcze pięciuset społem, i Jakób syn Alfeusza, i Apostołowie.

I rzekłem, że każdy, co wierzy we mnie, zmartwychwstanie podobnie.

Powstanie w mocy, co wsiane w słabości. Nieskazitelnym powstanie skażone. Siłą miłości mojej i przymierza ze mną. Te są słowa moje, które nie przeminą, choć światy upadną i zgasną.

— Czemu płaczesz? Zmartwychwstaniesz!!

...Toć daję. Czy jest większy cud, o który byś prosił? Czy targujesz się ze mną o nędznych parę chwil żywota dzielących cię jeszcze od chwały?... Nie płacz, ale raduj się! ...Zmartwychwstaniesz!... Zmartwychwstaniesz!...

. . . . . . . . . . . . . .

Mimo surowego zakazu bracia Jan, Mateusz, Łukasz i Marek weszli do świątyni, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością króla. Znaleźli go w Grobie Pańskim. Był na poły przytomny, zwisał bezwładnie z ich pieczołowitych ramion, ale w oczach miał dawno nie zaznany spokój.

# ROZDZIAŁ VII.

## BÓG JEST JEDEN.

Drugi miesiąc upływał, jak Renald z Sydonu oczekiwał bezczynnie w Damaszku najpierw na przyjęcie okupu przez Saladyna, przebywającego w Egipcie, dokąd Turanszah, syn Ajuba a brat władcy, posłał gońców, następnie — gdy oczekiwane zezwolenie przywieziono — na Ibelina. Rycerza bowiem jako szczególnie cennego jeńca trzymano w jednej z najodleglejszych twierdz.

Renaldowi nie przykrzyła się zbytnio ta zwłoka. Mieszkał w pałacu starego emira Abdullaha, z rodu al Bara, i opływał we wszelkie wygody. Emir cieszył się powszechnym poważaniem jako bliski niegdyś przyjaciel nieżyjącego już Naim al Din Ajuba i wychowawca jego synów. Ajub zajmował wówczas stanowisko dowódcy straży sułtana Nur-ed-Dina, Saladyn zaś i Turanszah byli na wpół dzikimi kurdyjskimi pacholętami. Obaj zachowali we wdzięcznej pamięci swego wychowawcę, a Saladyn, dzisiejszy Władca Wiernych, odwiedzał go, ilekroć znajdował się w grodzie.

Chwilowo jednak stary emir był nieobecny. Pomimo podeszłego wieku wybrał się przed paru miesiącami z pielgrzymką do Mekki. Obowiązki gospodarza względem latyńskiego gościa pełnił

syn jego, Naim al Bara. Młody Arab był w każdym calu rycerski i nieprzeciętnie wykształcony, Renald łatwy w obejściu, znający dobrze język i obyczaje Wschodu. Przeto zaprzyjaźnili się rychło i nie nudzili wzajemnie.

Któż by się zresztą mógł nudzić w Damaszku?! Czarodziejskie to miasto słynęło w całej Azji z bogactw i piękności. Zasilane obficie wodą, tonęło w ogrodach. Tu kwitły najpiękniejsze róże, głośne po świecie róże damasceńskie, z których wyrabiano przedziwne wonności. Tu kuto najlepszą stal, oręż stanowiący marzenie każdego rycerza. Tu dojrzewały najurodziwsze kobiety, niezrównanie biegłe w praktykach miłosnych. Toteż Damaszek nazywano rajem. Za raj gotów go był uważać i Renald, Latyńczyk. Oczy odwykłe w Jerozolimie od widoku roślinności, zmęczone jednostajną szarzyzną kamienia, chłonęły z rozkoszą przepych i świeżość ogrodów. Za małżonką nie tęsknił bynajmniej; za teściem, bogatym skąpcem drżącym o zięciową brodę — również. Większość czasu spędzali z al Barą na łowach z sokołem albo gepardem. Gdy przyuczony drapieżnik o stalowych mięśniach, łopatce psa a krągłym łbie kota, uwolniony z kaptura puszczał się w pościg za ściągłą gazelą, obaj przyjaciele sadzili za nim na złamanie karku. Spod oka spozierali na siebie, bacząc wzajemnie, który zręczniej przesadzi rozpadlinę skalną, zatoczy koniem lub rzuci oszczepem. Ta sama cicha emulacja panowała między służbą, nie wyjawiano jej jednak głośno. W stosunkach mię-

dzyrycerskich obowiązywała doskonała uprzejmość.

Po powrocie z łowów, gdy żar słońca rozprażył mury, następował odpoczynek. Do cienistej komnaty gościa wślizgiwała się bezszelestnie urodziwa niewolnica, gorętsza niż wiecznie senna i leniwa Marfa. Dopiero po wieczerzy, kiedy cudowna letnia noc wybłysła ponad Damaszkiem miriadami gwiazd, gdy olbrzymi złoty księżyc wypłynął na przezroczystą ciemnię głębokiego nieba, z ogrodów niosły się wonie różane, goździkowe, sandałowe, upajające, natrętne, obaj przyjaciele siadali na płaskim dachu pałacu otoczonym rzeźbioną poręczą. Pili mrożone wino i gawędzili swobodnie.

— ...Świeżość bije z sadów — mówił Naim — a mój stary ojciec cierpi od spieku w kurzawie gościńca. Ciężko mi pomyśleć o nim.

— Rychło już pewnie wróci? — pytał uprzejmie Renald.

— Nierychło. Zatrzyma się na pewno dłużej w świętym mieście... Ojciec mój jest bardzo pobożny. Co do mnie, nie wierzę zbytnio w znaczenie pielgrzymek. „Język miecza jest dość wymowny, by wyrobić odpuszczenie grzechów“ — powiedział Prorok, i na Allacha, wolę zasługiwać mieczem na zbawienie, niż wlec się w smrodzie i ścisku pielgrzymów. Ale ojciec mój jest innego zdania. Ojciec mój miłuje Boga, jak miłowano Go dawniej, i niepokoi się stale, zali miłuje Go dosyć.

Renald obracał w palcach zerwany liść pnącza oplatającego poręcz. Ciemna zieleń lśniła pod blask miesiąca niby zlana wodą.

— ...U was też przódy silniej miłowano Boga? — zapytał z lekkim zdziwieniem.

Al Bara zawahał się chwilę.

— Tak mi się zda — wyznał. — Ot, choćby ojciec i ja... I nie my jedni... Ojcowie znali tylko „dżihad", świętą wojnę i nienawiść ku niewiernym, a my dwaj siedzimy tu niby mężowie wspólnej krwi... Nie wiem, czy to dobrze, czy źle... Jedno jest pewne: że dawniej radością była śmierć za Allacha i Proroka, a dziś nie. Ludzie więcej cenią życie a mniej raj...

— U nas to samo — stwierdził Renald z pewnym zawstydzeniem.

— Wiemy o tym. I wy cenicie teraz więcej życie.

Niskim, dźwięcznym głosem al Bara jął recytować stary wiersz arabski:

*...ścigły koń i ostry miecz,*
*kobiety o ciele jak alabaster jasnym,*
*szczodre bogactwo, łagodne pieśni harf,*
*oto radości naszego krótkiego żywota.*
*Czas je roztrwoni, człowiek jest igraszką czasu.*
*Bogactwo, nędza, obfitość czy brak*
*jednako miną. Śmierć jest udziałem każdego...*

— Niestety! — westchnął mąż Marfy.

*...idziemy pogrążeni w beztrosce i we śnie,*
*lecz śmierć ma oczy, które snu nie znają.*
*Od lat kroczymy ku niej oślepieni,*
*ona zaś patrzy na nas nadchodzących...*
*Wybiera swój łup zawczasu jak krogulec ptaszkę...*

— To samo powiadają u nas. Żywot człowieczy jest wszędzie jednaki.

Umilkli obaj, czując nagle wzajemny nieprzeparty pociąg do wynurzeń, pragnienie sięgnięcia we własne myśli głębiej niż zazwyczaj, doszukania się czegoś zapomnianego, co niespodzianie wybijało się na powierzchnię, domagało głosu, okazywało ważnym, ważniejszym niż miłość lub łowy.

Poza murami grodu błyszczała wyzłocona miesiącem rzymska droga, na której przed tysiącem dwustu laty Pan spiorunował zuchwałego jeźdźca i najlepszym swym sługą uczynił. Echa tej wielkiej chwili drżały może w przestrzeni niezniszczalne, budząc w umysłach młodych rycerzy ów dziwny niepokój.

— Żywot człowieczy jest wszędzie jednaki — powtórzył Renald wąchając w zamyśleniu liść. Pachniał cierpko i rzeźwiąco.

— Bóg też.

Jak gdyby strwożony własnymi słowami, Naim al Bara spuścił głowę i podjął znów rytmiczną, dźwięczną recytację:

*...Jedyny On, nieskończony, groźny jak pustynia pod gwiazdami nocy.*

*...Na Jego słowo budzi się i żyje to, co wprzódy nie istniało.*

*...Spojrzy na garść martwą mułu, a ona duszą się staje.*

*...Da znak słońcu, a ono promienieje.*

*...Skinie na różę, jużci okryła się kwiatem.*

*...Zawezwie przed Siebie ziemię, a ona drży i dygocząc pyta: Cóż mi mój władca rozkazał?...*

Renald poruszył się niespokojnie.

— Kto to mówił?

— Prorok.

— Nasi prorocy pisali całkiem podobnie... Całkiem... Czekajcie, zaraz przypomnę...

Tarł niecierpliwie dłonią czoło, zresztą bezskutecznie, nie był bowiem biegły w Piśmie. Naim al Bara spoglądał wyczekująco.

— Zapomniałem — wyznał Renald — wiem jednak, że było to samo, to samo.

— Jakbyśmy chwalili tego samego Boga?

— Tak.

Umilkli znowu. Niebo wisiało nad nimi olbrzymie, kryształowe i nieogarnione.

— Ojciec mój — podjął Naim — powiada zawsze, że Bóg jest jeden, a różnice wiary istnieć nie powinny, że wasza wiara równa naszej. Imany gniewają się o taką mowę i nazywają ją bluźnierstwem, ale ojcu memu nikt nic rzec nie śmie, bo go Władca Wiernych miłuje. Wyznam wam (obejrzał się mimo woli), że mój rodzic mało sam

chrześcijaninem nie został, jeno się w porę opamiętał...

— Sądzicie, żeby tego żałował? — zapytał Renald z urazą.

Naim rozmyślnie nie dosłyszał pytania, na które nijako było gościowi szczerze odpowiedzieć.

— Gdy wasi dobyli Tripoli — zauważył od niechcenia — spalili tamtejszą bibliotekę... W bibliotece było trzysta tysięcy dzieł, a stu kopistów przepisywało je ustawnie, przepisane rozsyłając do innych bibliotek. Stu uczonych, płaconych przez miasto, wędrowało po świecie, wyszukując dla biblioteki nieznane i cenne pisma... To wszystko spłonęło... Ojciec mój wtedy targał włosy i szaty i płakał... Potem, nie tak już dawno, gdy kupcy italscy w Aleksandrii korzyli się przed Władcą Wiernych odstępując swego Boga, ojciec mój rzekł: „Chwała Prorokowi, żem nie został chrześcijaninem!"

— Mylił się wasz ojciec — syknął Renald gniewnie. — Nasza wiara lepsza, dostojniejsza i rycerzowi uczciwsza...

— Po wyznawcach sądzim wiarę.

— Samiście powiadali co ino, że wszyscy ludzie jednacy...

— Dawni Frankowie byli jednak inni... Dziwy o nich powiadają. Cuda działy się pono większe niż u derwiszów...

— Cuda się dziś rzadko zdarzają — przyznał Renald niechętnie — ale dlatego, że nikt ich nie żąda...

— Czemu nie żądacie? Prorok mówi: „Ukazały mi się drogi Pana mojego"... Czy nie ukazały się wam?

— Znamy drogi Boże lepiej niż ktokolwiek. Czemu nie żądamy cudów? Ano, sam nie wiem... Ach, jak te róże wonieją! Niby szczęśliwość sama... Com to mówił?... Że nie szukamy Boga, a On podobno żąda, by Go ustawicznie szukać... Zadrzemaliśmy. Na tej oto drodze został porażony Panem człowiek jeden. Wstał oślepiony i zapytał: „Co mam czynić, Panie?" Zaprawdę, był to dobry rycerz, choć nie wiem, czy nosił pas. Takich Bóg lubi. Dla takich nie szczędzi cudów. Nie troszczyć się o nic, jeno pytać: „Co mam robić, Panie?"

— Ten człowiek nazywał się Szaweł.

— Skąd wiecie o nim?

— Babka moja spoglądając na tę drogę prawiła nieraz o Szawle...

— Czyżby babka wasza była chrześcijanką?

— Tak jest — odparł dumnie Naim. — Branką latyńską szlachetnego rodu.

— Jak się zwała? — dopytywał Renald zaciekawiony.

— Po waszemu nie wiem. Nie rzekła nigdy swojego imienia. „Niewolnica nie ma miana" — mawiała. — Dziad mój zwał ją Światłością Oczu. Miłował ją bardziej, niż przystoi mężowi miłować niewiastę.

— Gdzie ją zagarnięto? Kiedy?

— Podle Mamistry, czasu pierwszego waszego najazdu. Stamtąd przewieziono ją do Aleppo, z Aleppo zaś tutaj. Dla samego sułtana była przeznaczona. Niewiasty strzegły jej dniem i nocą, bo wzywała śmierci. Karmiły siłą. Mimo tej opieki wyschła jak ziele porzucone na pustyni. Gdy ją przywiedziono przed oblicze Władcy Wiernych, rzekł wzgardliwie: „Cóż mi z tego cienia? Nie urodzi syna. Nie chcę jej mieć w łożu. Niechaj ją bierze, kto chce". Natenczas dziad mój padł do nóg Władcy Wiernych, błagając, aby mu darował brankę. Sułtan się roześmiał: „Ledwoś ją ujrzał, Hassanie, a jużeś pojman oczami? Twoje są te kości, jeśli chcesz". I dziad mój Hassan al Bara, syn Naima, zabrał niewiastę do swego haremu. Zabrał, ale nie zbliżył się do niej. Był łowcą ptaków i wiedział, że im szlachetniejsze, tym trudniej się oswajają. Czekał...

...Czekał, aż pewnego rana powiedziano mu, że niewolnica uciekła. Jak to zdołała uczynić, czym wypiłowała drewnianą kratę, jak się spuściła w dół z murów, dotąd nie wiadomo. Uciekła. Dziad mój ruszył z psami w pogoń i odnalazł na pustyni omdlałą, prawie bez życia. Uszła około trzech mil i padła na piasek. Byłby ją roztargał lew, i woje towarzyszący Hassanowi sądzili, że słuszna to kara dla niewdzięcznej niewolnicy i że należy ją tam ostawić. Ale dla dziada była już Światłością Oczu. Sam wziął przed siebie zemdloną na siodło i przywiózł ostrożnie do domu. Chorzała długo i ciężko. Żar bił od niej i gadała po swojemu bezładne wy-

razy. Nareszcie gdy wydobrzała i snuła się po komnatach niby niemy cień, dziad rzekł do niej (a rozumiała już naszą mowę, jeno mówić nią nie chciała), że jeśli pójdzie z nim w łoże, powie jej, gdzie są obecnie Frankowie. Zbladła jak trup i odeszła. Płakała cały dzień i całą noc. Następnego dnia wróciła i po raz pierwszy od pojmania przemówiła, błagając, by jej powiedziano prawdę o Frankach. Ale Hassan, syn Naima, choć z utrapienia sam sczerniał i wysechł, zawziął się i przysiągł na siedemdziesiąt siedem tysięcy sześćset trzydzieści dziewięć liter Koranu, że nie powie, dopóki ona nie pójdzie z nim w łoże. Więc odeszła.

I nazajutrz, choć była dumą samą, prosiła po wtóre, aby jej powiedział. Odmówił. „Przysiągłem na Koran, a takiej przysięgi nikt jeszcze nie złamał" — to mówiąc odwracał głowę, by nie spojrzeć na nią i nie ulec.

I po trzecie przyszła, już pokonana, mówiąc: „Uczynię wszystko, co zechcesz, ale powiedz, gdzie są, co czynią Frankowie?"

Natenczas dziad zasłonił zawojem lica, by ukryć wzruszenie, i rzekł: „Źle z nami. Iblis wspomaga twoich. Zdobyli już Antiochię. Rozbili emira Mossulu. Ninie pójdą prosto na Jerozolimę. Nic im się nie może oprzeć."

Co usłyszawszy upadła mu do nóg, wołając: „Niech cię Bóg nagrodzi, panie, za dobrą nowinę!"

I pojął ją za małżonkę, i poczęła syna, którym był mój ojciec...

— Nie ujrzała nigdy swoich? — zapytał Renald poruszony.

— Nie. Gdy Władca Wiernych zawarł pierwsze pakty z królestwem jerozolimskim i posłowie jechali do króla Godfryda, dziad pytał jej, zali nie chce pisma przesłać, a nawet w odwiedziny pojechać? Mówiąc to drżał z niepokoju. Lecz ona spojrzała nań tylko po swojemu milcząc i potrząsnęła głową. Nie napisała listu ani wtedy, ani potem, nie przesłała żadnego znaku swojakom. Nie dowiedzielim się też nigdy jej imienia. Dość jednak było spojrzeć na nią, by poznać, że pochodziła z wysokiego rodu.

— Musiała męża mieć, może dzieci, synów, nie wiecie?...

— Nigdy ni słowa o sobie nie rzekła. Dziwna była niewiasta. Niepodobna do żadnej innej. Nie miała zwyczaju żalić się ani jazgotać, jak to zwykle białki czynią. Powiadano, że nawet rodząc nie krzyczała. Choć taka cicha, miała posłuch, jaki tylko przysługuje mężom. Nie kłóciła się nigdy z nikim i uśmiechała rzadko. Nas, wnuki, bardzo lubiła. Pamiętam ją dobrze. Dziwna niewiasta. Prawiła nieraz — to też pomnę — że nie powinno być dwóch wiar, ani walk między narodami, że wszyscy ludzie winni się miłować... Że Bóg jest jeden i choćby kto chciał chwalić innego, nie zdoła... O was, chrześcijanach, opowiadała jako o rycerzach samą cnotą sławnych. Mówiłem już, że ojciec mój mało przez nią chrześcijaninem nie został. Stąd i Sal-ed-Din, syn Ajuba, ma życzli-

we dla was serce, bo pod kierunkiem mego ojca wzrósł i od niego się nasłuchał...

— Więc dlatego?! — zakrzyknął Renald. — Zawsze u nas powiadają, że sułtan nawidzi chrześcijan, a nie wiedzielim, czemu...

Naim al Bara zaprzeczył ręką.

— Nie sułtan, nie! Władca Wiernych nie pozwala, by go tak nazywać. Sułtanem prawowitym jest dziedzic Zengidów, Ismael.

— Półpanek z Aleppo!? Cóż on znaczy wobec Saladyna?

— Nie więcej niż pył wobec góry, ale Władca Wiernych nie chce brać nic, co by mu się prawnie nie należało.

Renald uśmiechnął się nieznacznie. Śmieszne skrupuły u człowieka, który zagarnął przemocą całe państwo, nie dbając o właściwą dynastię. Naim al Bara zrozumiał znaczenie uśmiechu.

— To było prawo miecza — objaśnił.

— Któż zdobywszy mieczem płaszcz, wzdryga się przed nałożeniem turbanu?

— Władzę można zdobyć mieczem, tytuł natomiast jest święty i darmo sięgać poń siłą. Władca Wiernych przyjmie go, ale tylko jako dobrowolny dar Zengidów.

— Nie wątpię, że ich potraficie do dobrej woli przymusić — zauważył Renald i zdumiał się mimo woli tym nagle objawionym pożądaniem prawowitości. Jakby korona bez niej nie była całkowitą! Saladyn, pan Egiptu i Azji Mniejszej, czeka z przyjęciem tytułu sułtana, aż mu go dobrowolnie

przekaże wyzuty z dziedzictwa cherlak, niedołęga, zależny od jego, Saladynowej, łaski!

Lecz Naim poczuł się lekko dotknięty ostatnimi słowami przyjaciela, i zauważywszy, że już pora późna, powstał, by iść na spoczynek. Rozeszli się do komnat. Renald odprawił czekającą niewolnicę i leżał długo bezsennie. Żałował, że nie wypytał szczegółowiej Naima o babkę Latynkę. Kim była, jak się zwała branka, której dobroczynnemu wpływowi zawdzięczano cierpliwość i łaskawość Saladyna. Nie chciała pisać do swoich. Harda kobieta. Uważała snadź, iż lepiej, by sądzono, że nie żyje. Nawet przed śmiercią nie przestała milczeć. Wolała umrzeć bez pociechy Sakramentów niż przyznać, że została żoną Araba i panią haremu... Zgrzeszyła pychą, czy też litością? Czy Bóg jej przebaczył?...

Myśl o Bogu nasunęła wspomnienie poprzedniej rozmowy z Naimem. Rycerzowi wydało się, że nie powiedzieli sobie z Arabem najważniejszej rzeczy, koło której krążyli mackiem, nie trafiając ani razu w sedno zagadnienia. Przeoczyli chwilę, być może, jedyną. Nareszcie zasnął. Rano zbudziła go dobra nowina: Ibelin był już w Damaszku.

Wymiana okupu na jeńca odbyła się uroczyście w obecności samego Turanszaha. Suma przywieziona przez Renalda, osiemdziesiąt tysięcy denarów, była olbrzymią, niewiarogodną, fantastyczną. Wprawdzie muzułmanie zwykle stawiali takie wygórowane żądania, i po uciążliwych, namolnych targach ustępowali z nich więcej niż połowę, lecz

Baldwin IV tym razem nie chciał się targować. Chodziło przecież o człowieka mającego w przyszłości zostać jego szwagrem i następcą tronu. Zadłużył się srodze u kupców greckich i genueńskich, lecz teraz poseł latyński patrzył ze spokojną dumą, jak giermcy rzucają srebro na wagę. Turanszah mlaskał wargami z nieukrywanym zadowoleniem. Ibelin z Ramli patrzył zgorszony.

— Chyba królowa Saba zmartwychwstała i przywiozła wam kilka galarów srebra? — zapytał zgryźliwie Renalda.

— Gdzie zaś! — odparł ten ze śmiechem (mogli rozmawiać, nikt z obecnych nie znał ich mowy) — w skarbie pustki takie same, jak były. To pożyczone.

— Czegoż miłościwy pan pożyczał? Tyle złota za mnie jednego?! Z psubratami trzeba się targować. Opuściliby połowę, ba, co mówię! ze trzy ćwierci... Dlaczego nie targowaliście się?

— Potem wam powiem. Pojmiecie.

Ibelin wzruszył gniewnie ramionami. Był wysoki, silny, o suchych, wydatnych rysach. Męską twarz, otwarty uśmiech, szpecił brak dwóch zębów z przodu. Powstała stąd szczerba czyniła jego wymowę świszczącą.

— Kto wam wyłamał zębce? — pytał Renald, gdy zakończywszy ceremonię wykupin przyjechali z Ibelinem, wolnym znów rycerzem, do pałacu al Barów.

— Któż by? Pogany. W ostatniej potyczce, kiedy mnie pojmali. Ułapiłem jednego zbója za gardło, a on dech już puszczając, głownią sztyletu

w zęby mnie grzmotnął. Mniejsza o to. I tak potrafię niezgorzej ugryźć nieprzyjaciół... Mówcie teraz, mówcie, co słychać na świecie? Toć więcej niż pół roku siedziałem usychając z nudów. Trzymali mnie w pustkowiu, nawet łowów nie dozwalając z obawy, że zbiegnę. Od czasu jak stary de Courtenay w kajdanach uciekł, tacy są ostrożni. Gotowi byli puścić mnie, ale na słowo. Słowa zaś ja dać nie chciałem i siedziałem niby w grobie. Stękałem z nudów. Drab jeden, Ali, czarna jucha jak szatan, a durny jak kłoda, chodził za mną krok w krok niby piastun. Dziw, że na sznurku nie trzymał...

— Samiście winni. Trzeba było dać słowo. Ja, gdy mnie kiedyś pojmali, dałem i chadzałem swobodnie po całym Damaszku, a łowami zabawiałem się do woli.

— Nie dla pogan rycerskie słowo — mruknął Ibelin. — No, mówcież! Mówcież! Co na dworze? Co miłościwy pan?...

— Powoli opowiem wszystko, a nie będą to rzeczy małoznaczne. Pół roku jak was wzięli... To i o śmierci de Monferrata nie wiecie?

— Dla Boga! Nic nie wiem! De Montferrat nie żyje! Co się stało?!

— Skała w wąwozie podle Askalonu zwaliła się i przygniotła go. A może ją kto strącił?... Nie wiadomo. Dość, że zginął. Stało się to w miesiącu czerwcu. Królewna ostała wdową po dziesięciu niedzielach pożycia i z dzieckiem w łonie. Następcy tronu znów nie ma. Nieborak król ma

się coraz gorzej, ledwo już łazi. Uradzili przeto, że za was wdowę wydadzą. Dlatego zapożyczył się na okup, dlatego się nie targował. Niech pogany widzą, żeście nie byle kto... Jak tylko żałoba minie, sprawimy wam weselisko... No, co? Nie dobre nowiny?...

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — szepnął głucho Ibelin.

Nie umiał na razie odpowiedzieć nic innego. Był głęboko wzruszony i wstrząśnięty.

— Niezwykłe, niezwykłe nowiny... — rzekł w końcu, świszcząc z przejęcia. — Jużci że dobre, ale niezwykłe... Nie żartujecie aby?

— Kosztowny byłby żart. Osiemdziesiąt tysięcy!

— Prawda, prawda... Sam nie wiem, jak dziękować miłościwemu panu i radzie za ten zaszczyt.. Jak się odwdzięczyć... Ale ona? Ona? Powiadajcie mi o niej!

— Sybilla? Zrazu po śmierci męża odchodziła od zmysłów z rozpaczy. Potem ochłonęła. Ninie siedzi u matki czekając połogu.

— Ale na mnie... na mnie... przystaje?...

— Gdyby nie przystała, toby mnie z pieniędzmi nie słali. Wszystko już ułożone.

— Przystała... Wie nieborzątko, że jej nie ukrzywdzę... Przystała... Prosty ja rycerz, a de Montferrat był z królewskiej krwi, przecie, na moją cześć! nie uniży się przy mnie! Nie zawiedzie!... Tak mi dopomóż Bóg!... Przystała...

— Jutro pożegnamy przystojnie mojego gospodarza, a pojutrze możemy ruszać do Jerozolimy.

— Tak, tak, pojutrze... Tylko że ja prosto do Jerozolimy nie pojadę, zatrzymam się w Ramli.

— Po co? Dlaczego?!

Ibelin ścisnął ręce z zakłopotaniem.

— Jakże to mam wytłumaczyć?... Na grobowiec wskrzeszonego Łazarza! Nie widzi mi się rzeczą przystojną przychodzić po rękę królewny, zanim nie powije dzieciątka, które z nieboszczykiem mężem poczęła... Niby natrętnik w nie ostygłe jeszcze łoże spoglądać... Ani się jej dać opamiętać... Rozumiecie mnie? Jaćbym do niej ptakiem leciał, strzałą leciał, ale nie przystoi, nie przystoi... Do miłościwego pana pismo dziękczynne poślę i do panów baronów też, i czekać będę w Ramli, aż mnie po żałobie zawezwą.

Renald patrzył na przyjaciela z oszołomieniem.

— Nie pojmuję zgoła, czemu sobie taką pokutę naznaczacie? Sybilla gotowa pomyśleć, że wam do niej nie śpieszno...

— Mnie?! — zakrzyknął Ibelin. — Mnie!? Nie śpieszno?! Toć ona wie, że duszę, krew, życie bym za nią dał... Wie od dawna... I pojmie... Pojmie, że szanuję jej słuszne cierpienie...

Renald pokiwał wątpiąco głową.

— Cierpienie?... Mnie się widzi, że już dawno przecierpiała.

— Nie znacie jej! Tai w sobie i nie pokazuje. To mężne serce. Jakżeby przecierpiała, gdy zaledwie parę miesięcy minęło? A kochała go! Świata za onym Wilhelmem nie widziała... Mnie zgoła nie dostrzegała... A teraz...

Wstał i jął wielkimi krokami chodzić po komnacie, by ukryć wzruszenie. Renald patrzył za nim ciekawie. Śmieszny dziwak! Wszyscy Ibelinowie są tacy. Staroświeccy, pełni niezrozumiałych skrupułów, każdą rzecz poważnie biorący. Taki stary chłop i zupełnie nie zna kobiet!

— Dziesięć lat życia oddam, by ją najśpieszniej zobaczyć — ciągnął Ibelin przystając. — Moją... moją... narzeczoną... Boże! narzeczoną!... Ale mi nie przystoi, nie przystoi... Trzeba szanować żałobę!

— Róbcie, jak chcecie — odparł Renald obojętnie.

---

## ROZDZIAŁ VIII.

### BĘDZIESZ KRÓLEM!

Rok 1179 dobiegał końca. Rok ten widział zacięte walki między cesarzem Fryderykiem Rudobrodym a księciem Henrykiem Lwem, między antypapieżem Kalikstem a papieżem Aleksandrem, między Rzymianami a Lombardami, między królem angielskim a królem francuskim, nie zmienił jednak w niczym powszedniego trybu życia w ustronnym kasztelu Luzynianów. Jak zeszłej, zaprzeszłej i zadziesiątej jesieni, na podwórzu stało gęste, lepkie błoto, możliwe do przebrnięcia tylko w wysokich skórzniach albo drewnianych chodakach. Krowy idące do wodopoju rozbiły je w równe, wąskie zagony. Pastuch Błażej ciągnął wodę ze studni przeraźliwie skrzypiącym żurawiem. Kawki kołowały z krzykiem nad wieżami. W izbie czeladniej przy świetle skąpego ognia dziewczęta przędły śpiewając. W wielkiej sieni stary pan drzemał siedząc w poręczowym krześle przed kominem. Psy naśledniki i legawce układły się wokół niego. Nic się tutaj nie zmieniło, i świeżo przybyły de Guerce stwierdzał tę stałość z nieopisaną rozkoszą. Nie przyszły tu żadne nowinki, nie uwiądł stary obyczaj. Po dawnemu Bóg był Bogiem, pan panem, poddany poddanym. Nawet

znany z dawna kiepski wikt i kwaśne latosie wino stawały się miłe jako dowody owej niezmienności.

Stojąc przed drzwiami oficyny zamkowej stary giermek obejmował oczyma obejście z niewymownym uczuciem wędrowca wróconego do ojczyzny. Śpieszne kroki zabrzmiały tuż za nim, minęły chlapiąc po błocie. To sama pani Benigna, zapominając o zwykłym spokoju, biegła jak burza. Nie do kur, nie do obory ni chlewów, ale wprost przed siebie, nie dbając gdzie, nie patrząc gdzie, stąpając w sam środek kałuży. De Guerce pokiwał głową i westchnął, ona zaś pobiegła dalej, nie widząc go zgoła. Rzeka la Vonne tworzyła w tym miejscu zakręt. Nagie, cienkie witki wierzby kąpały się w wodzie. Zbutwiałe liście piętrzyły w zator pod brzegiem. Od wody niosła się mgła i jesienny zapach. Przez rzekę rzucona kładka lśniła od wilgoci.

Pani Benigna przystanęła przy kładce, wypatrując oczy na przeciwny brzeg. W burym, schodzącym już zmierzchu wyglądała powracającego z łowów najmłodszego syna. Oczekiwała go. Oczekiwała tak gorączkowo, że nie mogąc ustać w miejscu, biegała tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Dyszała mocno, ale zmęczenia nie czuła. Podrygiwała dziwacznie całą kanciastą postacią, poszerzoną w dwójnasób przez sztywne, ugięte kiecki. Czepiec pani kasztelu przekrzywił się na bok. Czekała długo. Nareszcie na drugim końcu kładki zamajaczyła smukła męska postać. Wit!

Stąpał pewnie po śliskiej belce, nucąc coś rozmarzonym półgłosem. Gdy zeszedł na ścieżkę, matka przypadła do niego gwałtownie, aż się przeraził.

— Dla Boga! Co się stało, pani matko?!

Nie zdolna słowa przemówić, zasapana, gładziła rękami jego ramiona i pierś:

— ...Ukochany... ukochany...

— Co się stało?! — powtarzał, coraz to bardziej zaniepokojony.

— Nic, nic, de Guerce powrócił z Ziemi Świętej...

— To przednio, że de Guerce wrócił! Cniło się za nim. A jakoż wrócił? Na dobre? Sprzykrzyła mu się obczyzna?...

— Amalryk go przysłał... Pieniądze dla ciebie przywiózł... Kupę pieniędzy... Na drogę... Pojedziesz do niego, wiesz?...

Roześmiał się szczerze, beztrosko.

— Weźcie dla siebie, pani matko, te pieniądze, albo Bertrandowi dajcie, toć biedak tylko marzy o wyjeździe, a ja wcale...

— Amalryk potrzebuje ciebie, nie Bertranda.

— Ale ja nie chcę.

— Pojedziesz — rzekła z naciskiem.

Pokręcił głową ze śmiechem.

— Na grób św. Radegondy! Doprawdy chcecie się mnie pozbyć z domu, pani matko? Odkąd się wam stałem niemiły?...

Niemiły?!... Spojrzała oczyma rozkochanymi. Powtórzyła jednak stanowczo:

— Musisz jechać i to skoro. Amalryk bardzo nalega.

— Wściekł się, czy chory?

— Tęskni za tobą.

— Jaki się stał miłujący! Niechże sam tutaj przyjedzie!

Roześmiał się ponownie na samą myśl, że mógłby wyjechać, teraz, właśnie teraz. Gdy matka się dowie, nie będzie nalegała na pewno. Może zaraz jej wyjawić? Ej, nie, jeszcze nie. Da się przekonać i tak.

— Nie wolno pomijać takiej sposobności — dowodziła gorączkowo. — Amalryk, dobry brat, chce zapewnić twoją przyszłość... Przysłał pieniądze. Pojedziesz nie jak biedak, lecz jak pan... O odmowie nie ma gadania...

Przechyliwszy nieco głowę patrzył na nią z góry z uśmiechem. Pełen ciepłego wzruszenia rozważał: powiedzieć, czy nie powiedzieć o tak częstych w ostatnich dwu miesiącach spotkaniach z młodziutką, śliczną Łucją de Sainte-Croix, córką panów na Issoudun? Dziadowie dziewczyny żyli niegdyś w dobrej przyjaźni z Luzynianami, wybryki jednak Hugona Brunatnego oraz wynikłe z nich ubóstwo rozluźniły stosunki i doprowadziły powoli do zupełnego zerwania. Na kasztelu Luzynianów nie mówiło się nigdy o panach z Issoudun, i młodzi spotkali się przypadkowo latem na łowach, nie wiedząc o sobie nic, krom tego, że są oboje młodzi i piękni. Z pierwszego spotkania wynikły dalsze, rzekomo równie przypadkowe. Ry-

chło zakochanym udało się zdobyć milczącą przychylność jejmości Małgorzaty, starszej, nieodstępnej towarzyszki Łucji. Pod jej niewidzącym okiem przeżywali wzajemnie swoją pierwszą miłość, tak różną od dotychczasowych łatwych przygód Wita. Przeżywali owe nagłe rumieńce i zakłopotania, wybuchy nieuzasadnionej radości lub żalu, drżenie członków i bezsenność, dziwiąc się w duchu, że cały świat nie spostrzega tych objawów.

— Kocham cię i poślubię tylko ciebie — rzekła dziś właśnie Łucja zarzucając ręce miłemu na szyję. Nagle spoważniały odjął je i całował żarliwie niby świętość. Palce miała długie, cienkie, choć nabrzmiałe od chłodu i spierzchłe.

— Nie zgodzą się ojce — westchnął — biedak jestem. Piechtą ku tobie do lasu przychodzę tyli szmat drogi, bo nawet konia porządnego nie mam.

— Jeśli nie zwolą, to mnie wykradniesz — postanowiła z zuchwałym męstwem siedemnastu lat.

— Moja najmilsza! Nie wydasz się aby za kogo innego?

— Nie, nie, nigdy!

Wielkie, ciemne oczy płonęły. Objął ją wpół ostrożnie, niby rzecz niezmiernie cenną, jak nie obejmował nigdy dotąd żadnej dziewczyny. Wpatrzył się w jej lica z zachwytem i uwielbieniem. Podbity łasicami kożuszek, wytarty i spłowiały, bo po babce, zdał mu się stroić ją piękniej niż znany z powieści rybałcich złotogłów. Drobne stopy w grubych juchtowych butach stąpały lekko i pewnie, niczym w atłasach.

— Wykradniesz mnie — powtórzyła. — Wszystko doskonale obmyślę, zobaczysz.

— Będzie, jak zechcesz, najdroższa.

Jejmość Małgorzata, zziębła i znudzona, chrząkała, że trzeba wracać. Rozeszli się więc, choć z trudem, obiecując sobie na przyszły tydzień ponowne spotkanie. Wit wracał niesiony niby na skrzydłach. I w takiej chwili matka bredzi o konieczności wyjazdu! Dobrze się wybrał Amalryk z werbowaniem go do Ziemi Świętej! A jużci!

Słuchał roztargniony, nieco rozśmieszony. Wszakże niech jeno padnie imię Łucji, matka pierwsza go zatrzyma. Przysłane przez Amalryka denary obróci z radością na przygotowania do ślubu. Choć sam nie posiadał w naturze krzty wyrachowania, Wit wiedział, jakimi oczami matka spojrzy na możliwość małżeństwa syna z córką panów de Sainte-Croix. Toż to będzie spełnienie jej najskrytszych marzeń. Nawrót do utraconych wpływów i znaczenia rodu. Niech się tylko dowie!

Trzymając ten oręż niezawodny w zanadrzu, nieśpieszny go użyć i widzieć swoje uczucie przedmiotem roztrząsań rodzinnych, droczył się dalej:

— Bertrand niech jedzie, jemu się należy.

— Przestańże już z Bertrandem! — krzyknęła gniewnie. — Ty musisz jechać, Amalryk potrzebuje ciebie...

— Niech się obejdzie.

— Pojedziesz, bo taka jest nasza wola. Rozumiesz?

— Przymusilibyście mnie, pani matko? — zapytał z niedowierzaniem.

— Przymuszę — odparła stanowczo.

— Czy mam jechać zaraz dziś?

Tupnęła nogą.

— Nie dziś, ale za dwie niedziele najdalej.

Roześmiał się głośno i objął gniewną ramieniem. Kochana staruszka, jak się złości! Nic nie szkodzi. Gdy się wyzłości, dopiero jej powie. Będą się śmiali oboje.

Pieszczota syna nie rozbroiła pani Benigny. Odsunęła się o krok.

— Za dwie niedziele pojedziesz — zapewniła — załaduję wszystko, broń, przyodziewek... Na świętomarcińskim targu w Poitiers kupi się dobrego konia...

Chłopcu zaśmiały się oczy.

...Konia!... Może lepiej nic nie mówić, aż matka go kupi?... Na najbliższe spotkanie z Łucją przyjedzie już konno jak rycerz... Hej!...

— A gdzież ten poczciwy de Guerce? — wykrzyknął, jak gdyby sobie nagle przypomniawszy — muszę go wypytać, jak tam było w Ziemi Świętej.

Odszedł żwawym krokiem. Pani Benigna została, wcale nie stropiona. Nie chce Wit jechać? Wielkie rzeczy! Dużo jego zdanie waży. Każą jechać i pojedzie. Chwała Bogu, rodzice nie potrzebują liczyć się z zachciankami dzieci. Choćby

płakał, do nóg padał, ona nie ustąpi... nie ustąpi... Przecież to dla jego dobra... Może zostać królem... królem...

Szeptała te słowa sama do siebie, pojąc się ich dźwiękiem. Mrok wokół zgęstniał. Należało iść do domu. Pora na wieczerzę. Jakże jednak pójdzie? Amalryk przykazywał, by się przed nikim nie zdradziła, a lica jej muszą wydać, że zaszło coś niezwykłego. Przed wejściem na dziedziniec przystanęła pod murem, tuląc rozgrzane ciało do zimnych cegieł, by się uspokoić. Nie zważała, że była to właśnie baszta Meluzyny, z daleka zazwyczaj omijana. Meluzyna, węże, czary, wszystko pierzchło z głowy wobec tamtej jedynej, cudownej myśli... Król... król... jej syn królem... król...

...Pomazaniec boski, władca losów ludzkich, życie bez cierni, bez troski, usłane kwiatami, złote nakrycia, jarzące światła, żelazne hufce, gaje proporców, gromkie okrzyki, opowieści rybałtów, kancony trubadurów, korona i berło, złote szaty, gronostaje, tłumy poddanych, wierni dworzanie, waleczne rycerstwo, przecudna królowa, lśniące bogactwem komnaty, konie okryte kapami z pozłocistą frędzlą, sokoły w kapturach, turnieje i łowy, surmy i trąby, dzwony koronacyjne, wymyślne potrawy, uczty i zabawy, ogólny poklask i sława... oto jest życie króla... króla... króla...

Odetchnęła głęboko i przykładając chłodne wierzchy dłoni do rozpalonych policzków, poszła pozornie spokojnym krokiem ku domowi.

W ponurej, mrocznej i zimnej sieni zamkowej Wit, łaskawy i promieniejący, mówił do Bertranda:

— Jedź, jedź, dopominaj się, byś ty jechał. Ja nie pojadę za nic. Zresztą tobie się należy.

— Czy mnie się kiedykolwiek co należy? — pytał z goryczą Bertrand. — I o czym tu mówić? Nikt się przecież nie będzie pytał, czy chcesz, czy nie?

— Ej, znajdę ja sposób, by ugłaskać panią matkę, a przez nią i pana ojca.

— Może być, że ty zostaniesz, ale ja w każdym razie nie pojadę, chyba na mnicha, a to już wolej tu siedzieć — mruknął Bertrand. Wyglądał bardziej zgryźliwie i koszlawo niż przed rokiem. Po co miał sobie zadawać wysiłek prostego trzymania? Nie będzie przecież nigdy, przenigdy rycerzem.

Pani Benigna nadeszła, i wszyscy zasiedli do stołu. De Guerce musiał się zrzec jadła i opowiadać swoje wrażenia, wykrzykując je głośno, by kasztelan dosłyszał. Stary pan pytał o króla i wojsko, kapelan o kościoły i świętości, pani Benigna o młodą królewnę wdowę, Wit, czy Amalryk się nie żeni? Giermek odpowiadał z niemałym zakłopotaniem. Amalryk kazał przedstawić mu wszystko w najpiękniejszych barwach, by młodego panicza zachęcić, jego zaś właściwe zdanie było tak krańcowo różne! Najgorzej z królem. Każdy z rycerzy czy giermków przybywających do Jero-

zolimy przysięgał na cześć nie wyjawiać w Europie prawdy o trawiącej Baldwina IV chorobie. Pierwszy raz bowiem zdarzyło się, że Pomazaniec dotknięty był tym przekleństwem. Urodzeni przeto milczeli. Ale nieurodzeni, służba, pielgrzymi, kupcy, nie krępowali się bynajmniej, przeto rzecz stała się powszechnie wiadoma i znana. Odludny kasztel Luzynianów był jednym z nielicznych miejsc, gdzie wieść ta jeszcze nie dotarła, i de Guerce pocił się, nie wiedząc, czy wolno mu ją wyjawić lub nie.

Z ulgą przerzucił się na opis bazyliki Grobu, Templum Domini, pałacu królewskiego i stajen mieszczących się w podziemiach króla Salomona. Świętej sadzawki Betsaidy i sadzawki Siloe, Góry Oliwnej i Doliny Jozafata. Słuchali ciekawie. Pani Benigna nie spuszczała z mówiącego oczarowanych oczu. Na tle złocistych ścian świątyni widziała najdroższą głowę w migocącej klejnotami koronie. Z ramion spływa płaszcz królewski...

. . . . . . . . . . . . . . .

— ...Więc jednakże masz konia! — wykrzyknęła z radością Łucja na widok młodego Luzyniana wyjeżdżającego z lasu na rosłym wierzchowcu. Koń, rząd, siodło, odzież jeźdźca błyszczały świetną nowością. Zeskoczył zręcznie na ziemię i podszedł ku czekającej. Twarz mu promieniała.

— Witaj, najmilejsza moja! witajcie, jejmość Małgorzato! Mam konia, owszem. I nie tylko konia. Widzicie, jak jestem ubrany?

Obrócił się na pięcie z dziecinną próżnością. Łucja plasnęła w ręce z uciechy, taki jej się wydał piękny.

— Wyglądasz niby królewicz, a ja jak poddanka... Na przyszły tydzień także się wystroję... Obaczysz! Powiadaj, skąd dostałeś konia?

— O, to dziwna historia — zaczął tajemniczo — czy nie wiesz, e, pewno wiesz, że w rodzie mieliśmy wróżkę, babkę Meluzynę... Ona...

Chwyciła go za rękę przerażona i przeżegnała się śpiesznie. Wybuchnął radosnym śmiechem.

— Nie bojaj się, najmilejsza, tak sobie gadam z uciechy. Naprawdę, nie przez czary żadne i nie od Meluzyny mam tego gniadego. Brat starszy, któren jest na królewskim jerozolimskim dworze, przysłał moc pieniędzy, i pani matka kupili mi to wszystko onegdaj na poitevińskim biskupim targu...

— To już na nasz ślub? — zapytała płoniąc się.

— Do ślubu kupi mi jeszcze piękniejsze odzienie! — zawołał z przechwałką. Ujęli się mocno za ręce, jakby już idąc przed ołtarz.

. . . . . . . . . . . . . .

— Dlaczegoś włożył nowe suknie? Dyrpać po lesie takie cienkie sukno? — zrzędziła pani Benigna.

Jak przed dziesięciu dniami, czekała powrotu syna chodząc tam i nazad nad rzeką. Tym razem nie przeszedł przez kładkę, lecz szumno i głośno

wparł konia w wodę. Gniady parskając wyskoczył na rozmiękły brzeg. Dobry, mocny wałach z włóczną białą do pęciny.

Jeździec zatrzymał się na nieoczekiwany głos matki i zsiadł, znacznie mniej śpiesznie niż poprzednio w lesie.

— Oddaj konia pachołkom, przeodziej się i przyjdź do mojej komnaty — rzekła.

— Sam go odprowadzę i słomą wytrę, bo zgrzany.

— Ostaw! Wycierać konia to nie twoja rzecz.

Odkąd? — omal nie zapytał. Czyż nie pełnili w gospodarstwie wszystkich prac na równi ze służbą? Dlaczegoby nie miał sam obrządzić swojego skarbu, swojego nowego konia?

— Oddaj Mikołajowi — powtórzyła rozkazująco i przyjdź skoro na rozmowę.

Odszedł markotny, prowadząc gniadego za wodze. Oho, zaczyna się! Pewnie znowu ten wyjazd! Nie ma rady, trzeba już wyznać o Łucji. Łucja!... „Te szaty do ślubu?" — pytała, serduszko kochane!

— Żebyś mi się nie ważył smolić nowego ubrania przed wyjazdem — zaczęła stanowczo pani Benigna, gdy wszedł do jej dusznego alkierza, z królewicza przedzierzgnięty z powrotem w szaraka. — Zresztą z wyjazdem nie będziemy zwlekać. Wszystko już masz. Umyśliłam, że najlepiej, gdy odjedziecie we wtorek. Dobry dzień, Aniołów

Stróżów. W niedzielę ksiądz kapelan odprawi wotywę na twoją intencję...

Mówiła przesadnie twardo, by się nie dać opanować wzruszeniu, nie wyobrażała sobie bowiem, jak zdoła żyć bez tego najmłodszego, a równocześnie pragnęła całą mocą wyjazd jego przyśpieszyć.

Wit objął ją właściwym sobie pieszczotliwym ruchem.

— Słuchajcie, pani matko, coć rzekę: Winienem był po prawdzie wyznać to dawniej, ale niechta! Darujecie... Nie wyjadę ani do Ziemi Świętej, ani nigdzie, bo chcę się żenić z Łucją de Sainte-Croix z Issoudun. Miłuję ją, a ona mi sprzyja...

Odstąpił o krok patrząc wyczekująco na matkę. Pani Benigna zsiniała.

— Czyś oszalał?! — syknęła. — Żenić się chcesz?! Bez naszego zezwolenia? Bez rodzicielskiego błogosławieństwa? My ci każemy jechać, a ty chcesz się żenić?

Pomyślał, że nie dosłyszała.

— Z Łucją de Sainte-Croix — powtórzył dobitnie.

— Nie będziesz się żenił! Pojedziesz! — wrzasnęła. — ...Łucja... Łucja... Wielka mi osoba Łucja... Wielki mi ród, de Sainte-Croix! Pyszałki! Myślisz, że to zaszczyt dla nas! Nie taką żonę otrzymasz... Nie taką!... Cóż jest Łucja? Nieuczona, prosta dziewka z Issoudun!...

(Oszalała najwidoczniej. Co się dzieje? Boże wielki!?)

— Pani matko — rzekł szczerze strwożony. — Dlaczego chcecie wypchnąć mnie w obcy świat zamiast zwolić żeniaczki i zostania tutaj?

— Cichaj! Cichaj! Co ty wiesz?!

Zakryła twarz rękami, dygocąc ze złości a zarazem żalu. Prawda, prawda. Gdyby nie poselstwo Amalryka, wiadomość o wzajemnej miłości Wita i Łucji napełniłaby ją szczęściem... Prawda... Wobec tamtej możliwości jednak nie zgodzi się nigdy. Nigdy! Wit musi wyjechać. Wyjedzie. Ona nie ustąpi. Zatęskni się sama, ale on zostanie królem...

Spojrzała władczo. Stał zaskoczony niespodziewanym oporem. Usta drżały mu jak u dziecka bliskiego płaczu. Całą siłą zdusiła w sobie chęć uściskania go i pocieszenia.

— Pojedziesz we wtorek — postanowiła nieubłaganie.

— Dlaczego chcecie uczynić mnie nieszczęśliwym? Cóżem wam przewinił?

— Ja, ciebie... nieszczęśliwym?... Głupi!

— Ady się zlitujcie, matko! Na kolanach was proszę!... Ja tam nie będę szczęśliwy!... Na świętych Męczenników, na świętych Patronów, zlitujcie się!... Nie wysyłajcie w obczyznę...

Omal się nie załamała. Chyba mu powiedzieć? Niech się dowie. Niech zrozumie.

— Przysięgnij na cześć, że nie powtórzysz nikomu, co ci teraz rzekę.

Przysiągł.

— Nachyl się.

Zgiął się wpół, a ona szepnęła mu w ucho:

— Amalryk przysyła po ciebie, bo możesz tam zostać królem!

— Co takiego? — parsknął mimo zmartwienia rozśmieszony.

— Cicho, cicho, milcz! Przysiągłeś! Możesz zostać królem... To nie są żarty... Ta królewna Sybilla, wdowa, o której opowiadał de Guerce, pojmie cię za męża, jeśli się rozmiłuje... Tam niewiasty według swojej woli małżonków wybierają... Taki obyczaj... A ten, którego pojmie, będzie królem... Raz już się tak podobnież zdarzyło... Przyjechał rycerz jeden, młody, ubogi, jeno gładki, i poślubił księżnę...

Ogarnęła syna rozkochanym spojrzeniem i półgłosem dodała:

— Pewnikiem nie był gładszy niźli ty...

Słuchał z wzrastającym osłupieniem. Błazeństwo, czyste błazeństwo! Czy matka nie widzi śmieszności swego pomysłu?

— Pan ojciec wiedzą o tym? — zapytał ostrożnie.

— Nikt nie wie, prócz Amalryka, mnie, de Guerce'a i ciebie. A pamiętaj, że przysiągłeś! Ojciec rad jest, że pojedziesz i pozyskasz pas. Nie licz na niego w twym głupim oporze.

— Nie liczę na nikogo, ale królewny ni żadnej nie chcę. Poślubię Łucję de Sainte-Croix — postanowił z niezwykłą u niego stanowczością.

Zwinęła się w sobie z gniewu jak gadzina.

— Dość tego! Ani mi się waż wspominać o Łucji! Pojedziesz we wtorek i zrobisz wszystko, co Amalryk każe! A teraz idź precz!

— Matko! Matko! — jęknął, usiłując przychwycić ją za ręce.

Odepchnęła go szorstko. O nie, nie da się rozczulić!

— ...Matko, ja tam będę bardzo nieszczęśliwy!...

Wypchnęła go za próg i zatrzasnęła drzwi. Potem rozpłakała się sama równie żałośnie jak syn.

Wit stał chwilę pod drzwiami, oniemiały, zrozpaczony. Życie, dotychczas tak proste i łatwe, piętrzyło się nagle przerażająco, przygniatało niespodziewanym ciężarem. Amalryk oszalał najwidoczniej. Matka również. A Łucja, co powie Łucja? Z powodu obłędu matki i brata gotów stracić Łucję! Co robić, św. Mamercie, co robić?! Nie pojedzie, nie pojedzie! Buntował się przeciw narzucanemu gwałtowi; w jego łagodnej jednak i nieco biernej naturze bunt ten roztapiał się w żalu. Nie umiał stanąć wolą przeciw woli.

De Guerce słuchał żalów panicza ze szczerym współczuciem.

— Przykazywał mi szlachetny rycerz Amalryk mówić o tamtym kraju wszystko dobre — wyznał. — Ale choćby to grzech był, powiem, że lepszy tutaj piątek niźli tam niedziela... Lepiej tutaj przeżyć dzień niż tam rok... Mimo one bogactwa...

— Co począć?! Co począć!? — łamał ręce chłopiec.

— Jechać, paniczu, musicie, bo rodzicielska wola święta. Przyjechawszy uproście brata, niech was odprawi z powrotem. Zawdy z bratem łatwiej niż z rodzicielami. Rycerz Amalryk wyrozumie... Pas uzyskacie, wrócicie rycerzem...

— Ale Łucja, Łucja — powtarzał Wit — co o mnie pomyśli? Że od niej uciekam?... Ja, od niej...! Chciała, żebym ją wykradł... Sama powiedziała... Miasto tego ja odjeżdżam...

— Trzeba jej powiedzieć, paniczu, że jedziecie pąć odbyć i pas zdobyć, by łacniej zezwolenie pana de Sainte-Croix uzyskać.

— Wydadzą ją tymczasem za innego...

— A może nie wydadzą? Powrócicie rychło...

— Bóg zapłać, de Guerce, za rozumne słowo. Tak uczynię. A na królewnę żadną ani spojrzę, bodaj ją piekło schłonęło!

— Tfu, tfu... Nie godzi się chrześcijaninowi... — mruczał stary powściągliwie, choć bez przekonania.

## ROZDZIAŁ IX.

### KRÓLEWNA SIĘ NUDZI.

Zamek Karak albo Krak Zajordański, czyli Moabicki, podobnie jak Krak Rycerzy Szpitalnych leżący na straży księstwa Tripoli, stanowił niezdobytą obronną warownię. Nazwa obu zamków pochodziła od zniekształconego słowa arabskiego *akrad*, co znaczy „twierdza". Choć Krak Zajordański mniejszy był od swego imiennika, nie posiadał refektarza długiego na dwieście łokci, lochów schodzących kilkoma piętrami w dół i przecudnych, lekkich niby koronka galerii — musiał w każdym zbudzić zachwyt potęgą, celowością i pięknem swego budownictwa. Zamek przeznaczony wyłącznie dla obrony, surowy szaniec dźwignięty na pograniczu pustyni, miał doskonałe proporcje, wdzięczne łuki, rzeźbione odrzwia i bogate kapitele na otaczających wewnętrzny dziedziniec kolumnach. Przywiezione z kraju surowe zasady romańskiego budownictwa, pod gorącym tchnieniem Wschodu rozwinęły się i wzbogaciły o nowe zdobycze. Ciężkie filary rozkwitły kamiennym listowiem, giętkimi łodygami splatającymi przezrocza. Półkole przeszło w ostrołuk. Ciężki czworokątny słup w więźbę strzelistych postaci. Przybywający do Ziemi Świętej pielgrzymi brali te kształty, zanosili je do

kraju, a tak powracały do ojczyzny wzbogacone i zapłodnione nowymi elementami. Niedoceniana, choć bezcenna danina wychodźców.

Nowy pan Karaku Moabickiego, rycerz Renald de Chatillon, był obojętny na te zagadnienia. Objąwszy przed kilku tygodniami zamek w posiadanie, nie zwrócił najmniejszej uwagi na kute w kamieniu ozdoby, troszcząc się tylko o obronność murów, zapasy żywności, broni i ilość wody w głębokiej cysternie.

— Myślałby kto, panie mężu, że się sposobicie do wojny? — zagadnęła z zalotnym niezadowoleniem towarzysząca mu w wędrówce po murach niedawno poślubiona małżonka, Stefania.

— Do wojny trzeba być zawsze gotowym — odmruknął niecierpliwie.

Nie tail gniewu z powodu porządków, jakie tu zastał. Cóż stąd, że załogi było do tysiąca ludzi, gdy rozleniwiona hołota robiła, co chciała, zapominając zgoła żołnierskiego rzemiosła? Twardy seneszal Planton de Milly, poprzedni pan zamku, zginął przed dwoma laty w sposób tajemniczy; od jego śmierci kasztelem rządziła Stefania, pomagał jej w tym syn z pierwszego małżeństwa, Onufry de Thoron, młodzieniaszek o gładkiej twarzy i miękkiej duszyczce. Nie dziw, że wszystko było rozpuszczone. Przy takiej władzy! No, poczują teraz pięść pana! Poczują ją też i Saraceny. Sromota patrzeć, jak pogańskie karawany przeciągają tak blisko, że z wież zamku można je widzieć do-

kładnie, można zrachować konie i wielbłądy. Nie ma prawie tygodnia, by nie ciągnęły tędy, z północy na południe, z południa na północ, do Mekki i z Mekki. Nozdrza nowego kasztelana drżały, szpakowate, krótkie wąsy jeżyły się jak u kota. Na razie musi cierpieć i udawać, że pogan nie widzi, ale niech no zbierze załogę w garść, niech tylko uczyni na nowo żołnierzy z tych pieczeniarzy drzemiących przy rożnie, niech się tu poczuje panem!

Stefania spoglądała na niego z ukosa. Była to tęga kobieta ze śladami wielkiej urody, o jasnych, na poły już siwych włosach. Niegdyś kochała namiętnie tegoż samego Renalda, porywczego wówczas, pięknego kochanka. Pamiętała jego żelazne uściski, zuchwałą odwagę, z jaką piął się do niej nocami po murze, żar pieszczot. Znużona wdowieństwem, oczekiwała z ciekawością, kogo król przeznaczy jej na męża i pana zamku, gdy Renald powrócił z niewoli. Na niewidziane poczuła nawrót dawnego uczucia. Wielki mistrz templariuszów ułatwił im porozumienie. Raz, dwa, zaręczyli się i prędko pobrali, nie miała czasu nawet zauważyć, ile dawny kochanek zmienił się przez ubiegłe szesnaście lat.

Spóźnione rozważania nawiedzały ją dopiero teraz, przeradzały się w poczucie przykrego zawodu. Czy nie postąpiła zbyt nieopatrznie i śpiesznie? Wszystkiemu winien Odo de St. Amand, wielki mistrz zakonu. On jej pomagał, on ją namawiał. Przychodziło jej obecnie na myśl, że uczynił to nie z przyjaźni ku niej, lecz na złość Raj-

mundowi z Tripoli, który rycerza de Chatillon nie znosił. Renald znów pojął ją, by dostać w ten sposób zamek, był przecież bezdomny, nigdzie go nie chciano. Tak, tak, ona, Stefania, dawna miłośnica, spodziewająca się jeszcze od życia niejakich słodyczy, została oszukana, dała się użyć jako głupiutkie, bezwolne narzędzie dwóch mężczyzn, którym troska o jej szczęście i zadowolenie była najzupełniej obcą. A wszak każda podwika pragnie szczęścia! Zamyśliła się nad tą krzywdą tak głęboko, że nie słyszała, iż mąż mówił do niej, i ocknęła się dopiero, gdy ją szturchnął zniecierpliwiony.

— I ty śpisz? Nie dziwota, że służba do niczego, gdy sama pani łazi półprzytomna... Ale ja to zmienię, o! zmienię...

Spojrzała na niego z wyrzutem:

— Niegdyś nie raziło was moje roztargnienie?

Machnął ręką z gruntownym lekceważeniem.

— Ba! Niegdyś. Masz co wspominać?! Może chcesz, żebym cię ściskał i pokładał się z tobą jak dawniej?

Spuściła głowę urażona i zawstydzona. Owszem, właśnie tego chciała. Tego się spodziewała. Po to za niego poszła, przynosząc mu w wianie jeden z najważniejszych kaszteli królestwa. Ale nijako było to powiedzieć.

— Te głupstwa mi dawno nie w głowie — zapewnił ją otwarcie.

Mało nie rozpłakała się z żalu. Czemuż jej o tym wcześniej nie uprzedził? Pożałowała gorzko tego trzeciego zamążpójścia. Potrzebne jej było? Siedziała spokojnie, pani na własnym dziedzictwie. Król wraz z księciem Tripoli byliby jej dobrali jakiegoś szlachetnego, rozważnego rycerza, co by ją szanował i poważał. Ciężkie będzie życie z Renaldem, tym cięższe, że niczym nie osłodzone. „Te głupstwa już mu nie w głowie"... Kto by się spodziewał! Jedyna pociecha, że ona go na pewno przeżyje i może u schyłku życia jeszcze jakiej przyjemności dozna. Według praw królestwa jerozolimskiego, urodzona dziedziczka obowiązana jest do 60 roku życia brać sobie męża zdatnego do boju. Ona ma dopiero czterdzieści pięć. Białogłowy, jeśli szczęśliwie wiek macierzyństwa przejdą, żyją o wiele dłużej niż mężowie. Nie narażają się w bojach, nie zdzierają zdrowia, nie kaleczą się wzajemnie o byle nierozważne słowo. Renald, zawadiaka, paliwoda niepohamowany, gwałtownik, łatwo może głową nadłożyć w pierwszej lepszej bitce. Tylko dlatego uchował się dotąd, że go trzymano w niewoli...

Snując te myśli zapytała od niechcenia:

— Powiadają, że panowie baronowie pójdą ratować Boemunda z Antiochii... Pewnikiem pociągniecie z nimi?

— Głupstwa pleciesz! — obruszył się szorstko. — Ja bym szedł wspomagać Antiocheńczyków i tego chłystka Boemunda?! Zresztą muszę przede wszystkim w zamku porządek zrobić, nauczyć

twoich niemrawców, jak się mają ruszać... Saracenów też tu dość. Nie trzeba ich szukać w Aleppo.

Westchnęła cicho, żałośnie.

. . . . . . . . . . . . . . .

Król przyszedł na zebranie rady zawity po oczy. Renald z Sydonu trącił siedzącego obok Amalryka.

— Patrzajcie, pewnikiem już mu nos gnije, kiedy taki spowinięty.

Amalryk nic nie odpowiedział, kwaśny i markotny jak zwykle od pewnego czasu. Na sali całe rycerstwo było już zebrane. Obaj wielcy mistrzowie rycerskich zakonów, arcybiskup z Tyru, woniejący piżmem patriarcha Herakliusz, biskup z Betlejem Aubert, książę Rajmund z Tripoli, Jocelin de Courtenay, Ibelin z Ramli i brat jego Ibelin Balian, du Gray, de Broyes, który się z muzułmanką ożenił, Raul de Mouzon, o którym powiadano, że posiada harem, Roger de Grandpré i inni. Przyczyną zwołania rady była sprawa Boemunda III z Antiochii. Ten z natury leniwy i lekkomyślny, ale gwałtowny książę wszczął przed dwoma miesiącami wojnę z sułtanem Aleppo Imad-al-Dinem. Pomysł nieszczęśliwy, gdyż sułtan z rodu Zengidów, zajadły wróg uzurpatora Saladyna, był naturalnym sprzymierzeńcem Franków, i należało go raczej popierać niż zwalczać. Takie było zdanie króla i księcia Rajmunda, lecz Antiochia stanowiła udzielne księstwo i Boemund mógł czynić, co uważał za stosowne. Pocieszano się, że wskutek wrodzonego lenistwa porzuci zamiar wyprawy le-

dwo go powziąwszy; przyszła mu jednak niespodziana pomoc w osobie Filipa z Flandrii. Gość-pielgrzym, głęboko i nieprzejednanie urażony pominięciem go przy roztrząsaniu kandydatów do ręki królewny Sybilli, skorzystał z pierwszej sposobności, by dokuczyć królowi. Potępiając głośno niechrześcijańskie, jego zdaniem, rozróżnianie pogan na wrogów i sprzymierzeńców, ruszył ze swymi hufcami na pomoc księciu Antiochii. Wojna rozgorzała na dobre. Na pomoc Imad-al-Dinowi przyciągnął brat jego, atabek Mossulu, Iz-al-din Masud. Mimo tych posiłków wojska Franków były jeszcze dość liczne, by zdobyć Aleppo, gdyby choć jeden z dwu książąt posiadał cnoty potrzebne wodzowi.

Niestety! Zbytnio w sobie zadufani, spędzali cały czas na łowach, grze w kości i ucztowaniu, spokojni, że oblężenie dokona się samo z siebie, oni zaś tryumfalnie wkroczą do Aleppo. Niestrzeżonych, nieprzygotowanych sułtan zręcznym wypadem omal nie wziął do niewoli. Wojska latyńskie poniosły dotkliwą porażkę. Minęły już dziwne, bohaterskie czasy, gdy pięćdziesiąt tysięcy muzułmanów pierzchało przed tysiącem Franków. Z napastników, z oblegających Boemund i Filip stali się oblężonymi. Przerażeni, straciwszy całkowicie ducha, wysłali gońców do króla, błagając o rychłą, najrychlejszą pomoc. To właśnie rozpaczliwe wezwanie spowodowało dzisiejsze zebranie się rady.

Co prawda nie było nad czym długo radzić. Chrześcijanie, dobrzy rycerze wzywali pomocy

przeciwko poganom i wobec tego zamilknąć musiała wszelka polityka. Po raz pierwszy bodaj jednego byli zdania Rajmund z Tripoli i Odo de St. Amand. Chodziło przecież o dobre imię rycerskie, o cześć Krzyża. Poza tym Filip z Flandrii, pozostawiony sam sobie, dopierożby poruszył całą Europę! Dopierożby pyskował na jerozolimskich baronów! Nie było rady, należało wypić piwo uwarzone przez dwóch półgłówków i ruszać pod Aleppo, a szybko, a w sile, by walkę rychło ukończyć.

...W sile...

Tutaj leżało jądro zagadnienia. Jeśli rycerstwo z pocztami wyruszy, królestwo pozostanie całkowicie bez ochrony.

— Królestwu może grozić tylko Saladyn, a pokój z nim trwa — dowodził Rajmund z Tripoli.

— Saladyn sam z siebie rozejmu nie zerwie — odpierał król głosem stłumionym przez spowijające mu twarz chusty. — Co będzie jednak, jeżeli który ze szlachetnych baronów naruszy pierwszy granicę, jak to było zeszłej wiosny przy Jakubowym Brodzie, gdy Ibelina pojmano?

— Wszyscy wyjdą, tedy nie będzie miał kto granicy zaczepiać.

— De Chatillon podobno zostaje.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — stęknął Rajmund. — Czy to pewne?

— Pewne.

— Tedy sam nie wiem, co radzić.

— Ja poradzę — zaofiarował się Wilhelm, arcybiskup Tyru. — Pojadę do Karaku i zostanę

tam cały czas wyprawy. Tuszę, że moja obecność i należyte przedstawienie obecnego położenia królestwa powstrzyma rycerza de Chatillon od jakiegokolwiek szaleńczego napadu.

— Niewątpliwie. Bóg zapłać waszej dostojności. Dziesięciu rycerzy pozostanie dla ochrony osoby królewskiej, reszta może pociągnąć z rycerstwem zakonnym. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — odkrzyknęli wszyscy, zrywając się z miejsc.

Pozostawało jeszcze tylko omówić szczegóły wyprawy. Miejsce, czas zbiórki i — co najtrudniejsze — wybrać tych, którzy mieli zostać. Nikt się do tego nie kwapił. Siedzieć bezczynnie doma, gdy wszyscy szli na wyprawę! I tak zależeli pole. Od trzech lat trwający pokój (jeśli nie liczyć ciągłych drobnych najazdów granicznych) setnie już dokuczył wojom. Oczy im się śmiały do dalekiej wyprawy, do możliwości zdobycia bogatego Aleppa. Dawno, dawno tęsknili za porządną wojną. Nie dziwota, że żaden nie chciał się poświęcić pozostając.

Templariuszów czy szpitalników nikt nie próbował nawet do tego namawiać. Ich żywiołem była walka i nic tylko walka.

Po kilkakrotnym wezwaniu zgodzili się nareszcie pozostać: Renald z Sydonu, de Mouzon, de Grandpré, stary de Thoron i Amalryk de Lusignan.

— Za zaszczyt sobie poczytuję strzec osoby miłościwego pana — rzekł ten ostatni układnie jak zawsze — natomiast proszę, by książę Tripoli zechciał przyjąć do swego orszaku mojego brata...

— Macie brata? — zadziwił się Rajmund.

— Przyjechał przed kilku dniami. Młodziak prawy. Rwie się do pasa i do rycerskiej potrzeby.

— Rad go wśród swoich obaczę.

Amalryk skłonił się milcząc. Był zły i skłopotany. W duszy przeklinał chwilę, w której wysłał de Guerce'a do matki. Ogołocił się z zebranych z trudem pieniędzy i co z tego? Wit przyjechał wprawdzie zeszłej niedzieli, ale przymuszony, niechętny, myślący tylko o powrocie, wrogo usposobiony do zamysłów brata, o których matka (bodaj te kobiety!) musiała mu się wygadać. Pierwsza rozmowa obu braci miała przebieg burzliwy.

— Nie jestem dziewką! — krzyczał Wit — ani rybałtem, co się kochanicy nadstawia, obieżyświatem... Gacha chcesz ze mnie zrobić? Tfu!

— Milcz, milcz, na Boga, milcz! — hamował go Amalryk zrozpaczony i wściekły. — Ludzie posłyszą! Na dziedzińcu są pachołcy!...

— Co mnie to obchodzi?! Ja...

— Milcz, ośla głowo, i słuchaj mędrszego. Zaraz ci wytłumaczę... Napletli jakichś głupstw, a ty wierzysz... Ten stary, zdziecinniały de Guerce...

— Tak?! — zawołał groźnie Wit. — Więc de Guerce mówił sam z siebie? Nie z twojego polecenia?

— Niezupełnie... Ja inaczej...

— Bez wykrętów! Mówiłeś mu, czy nie? Jeżeli nie, ja mu pokażę! Gdzie on!?

— Nic mu nie pokażesz. Ach, ty głupcze! Ach, te babskie ozory! Miałem cię za rozumnego... Chciałem wykierować na człowieka... Tymczasem wrzeszczysz jak sroka, nie dając mi przyjść do słowa i wyjaśnić...

— Co masz wyjaśniać? Sprowadziłeś mnie, żebym się spodobał królewnie, żeby dla mnie rzuciła narzeczonego, bo wiem już, że ma narzeczonego i...

Urwał, gdyż Amalryk doskoczył, blady, nieprzytomny z gniewu.

— Chyba cię nożem pchnę?! Czy ty zmilkniesz na koniec? Zgubisz mnie i siebie! Tu się naokoło ludzie kręcą, ludzie! Lada chwila ktoś posłyszy... To wszystko kłamstwo! Nic nie mówiłem, nie posyłałem po ciebie. De Guerce uciekł, bo mu się cniło, i napytlował, co mu ślina na język przyniosła. Wyście z matką uwierzyli... Cha, cha, cha!... Sprowadził cię, żebym mu za twoim pośrednictwem darował.

— A pieniądze, któreś przysłał? — zapytał Wit podejrzliwie.

Amalryk udał, że nie posłyszał pytania.

— Nie chcę cię widzieć na oczy! Nie chcę nic o tobie wiedzieć! Nie zostaniesz tutaj. Wracaj zaraz, natychmiast, jutro...

— O tym nie ma mowy — odparł brat. — Skoro już tu jestem, muszę zdobyć pas. Bez pasa nie wrócę do domu.

— Siłą cię załaduję na statek! Nie pozwolę, żebyś tu podobne głupstwa rozpowiadał!...

— Rozpowiadał? Ja? Myślisz, że mi pilno ośmieszyć nas obu?

— Chyba, że tak — mruknął ze złością Amalryk. — Uf, spociłem się, aż koszula na mnie mokra... Jeżeli mnie zapewnisz, że nie piśniesz nikomu ni słowa, powiem ci, że trafia się owszem wyjątkowa sposobność, by pozyskać pas. Książę Antiochii przysłał o pomoc. Rycerstwo pewnikiem pociągnie... Mógłbyś z nimi podążyć, odznaczyć się... Nawet i zdobyczy zebrać...

— Postaraj się, żeby mnie zabrali, a daruję ci, żeś mnie sprowadził. Nic więcej nie chcę. Zdobyć pas, a potem zaraz z powrotem do domu.

— Gdzie chcesz, bylem cię nie widział i o tobie nie słyszał.

— Nie bój się. Nie zostanę ani jednego dnia więcej, niż potrzeba... A zapowiadam, jeżelibyś mnie ciągnął na dwór królewski, czy do jakich bab, wygarnę wszystko... Rozumiesz?

— Ja bym pokazywał komukolwiek takiego durnia?! Boże wielki! Będę szczęśliwy, wiedząc, że cię tu już nie ma.

— Będziemy szczęśliwi obaj.

Na tym skończyła się rozmowa. Nie wracali do niej, ale czuli do siebie wzajemną urazę. De Guerce też otrzymał za swoje.

— Czyście rozum stracili, by mu o tym mówić? — wściekał się Amalryk. — Sami widzicie, ile biedy może teraz narobić!

— To nie ja, wasza miłość, jeno szlachetna pani Benigna...

— Trzeba było powtórzyć, com mówił, że nikt prócz niej nie śmie wiedzieć!

— Powtórzyłem. Ale panicz nie chciał jechać, i szlachetna pani mu wyznała...

— Nie chciał jechać, nie chciał jechać! — parskał Amalryk biegając tam i nazad po komnacie. — Kto się pyta smarkacza o zdanie?! Wyprawić w drogę i koniec. Nie będę miał teraz chwili spokoju... De Guerce!

— Słucham, wasza miłość.

— Mam nadzieję, że uda mi się wkręcić go do drużyny księcia Tripoli. Pojedziecie z nim. Szczeniak jeszcze nigdy w boju nie był. Pilnujcie, żeby rodowi wstydu nie przyczynił...

— Nie przyczyni na pewno, wasza miłość.

— Nie odstępujcie go, o ile możności, na krok. Baczcie na każde słowo. Niech się z nikim nie przyjaźni, nie poufali, bo gotów się wygadać... Tego prostaka każdy chytrzejszy na hak wywiedzie... Wypaple wszystko... Wasza głowa, by do tego nie dopuścić...

Wydawszy te zalecenia Amalryk uspokoił się nieco, a gdy Rajmund zgodził się zabrać Wita ze sobą, raczył nawet rozmawiać spokojnie z „przygłupkiem".

— Mieczem ani kopią czynić nie umiesz — prawił — ale tuszę, że się rychło nauczysz... To siedzi we krwi, w rodzie. Bacz jeno pilnie na wszystko, co powie de Guerce. Słuchaj go jak ojca. To

ci przykazuję. Z początku na oczy ludziom nie leź, bo drzewcem będziesz machał, jakbyś jałówki na okólniku zaganiał; dopiero gdy wprawy nabierzesz, wysforuj się na czoło, a zawsze tak, żeby cię znaczniejsi widzieli. Wtenczas pas łatwo uzyskasz. Potem wracaj co rychlej. Odetchnę, wiedząc, żeś już doma... Na całe życie mam nauczkę, by familii nie pomagać... Tyle grosza zmarnowanego, tyle grosza! I taka za to wdzięczność! O siebie trzeba się troszczyć, o nikogo więcej...

Wit słuchał z zakłopotaniem. Przykro mu było, że nie mógł ocenić dobrych chęci brata.

— Dlaczego sam się nie żenisz z tą...

— Cicho! — syknął groźnie Amalryk.

— Przecież nie wymawiam imienia! Śmieszny jesteś z tą ciągłą obawą. Pytam, dlaczego nie starasz się sam dla siebie? Przystojnyś, mądry, obyty, nie to, co ja...

— Et — wzruszył ramionami Amalryk — to zupełnie co innego.

Umilkł, uważając, że nie warto tłumaczyć bratu tego, czego nie zrozumie, a co on, Amalryk, wielekroć już przemyślał. Zdobyć dla siebie koronę? Ba, ba! Nie było rzeczy, której by dla tego celu nie uczynił. W tym trzeźwym, wyrachowanym człowieku drzemały wielkie ambicje. Że jednak zdrowy rozsądek stanowił zasadniczą cechę jego charakteru, nie sięgał po to, co uznawał za niedostępne. Nie wierzył w możliwość niemożliwości. Bywali pono niegdyś szaleńcy, co porywali się na

rzeczy niemożliwe i osiągali je, ale to było dawno, dawno. Dziś należy oprzeć wszystko na rachunku. Ścisły rachunek za i przeciw powinien życiem kierować.

Ścisły rachunek odradził Amalrykowi wszelkich osobistych zabiegów o rękę Sybilli. Był przystojny, owszem, ale nic wyjątkowego. Nie to co Wit, który olśniewał urodą, niepokalaną świeżością cery, połyskiem błękitnych oczu. Poza tym on, Amalryk, siedział tu już parę lat, był znany, przeznany, swój. Nie miał w sobie nic z niespodzianki, z nowości. Sybilla przyzwyczaiła się doń jak do domownika. W tych warunkach rozkochać białogłowę jest niezmiernie trudno.

...Gdyby Wit zechciał... Gdyby zechciał... Niezła rzecz być bratem królewskim... Niewątpliwie wszystko działoby się jego, Amalryka, głową, stało jego radami... Kto wie?... Może by się ożenił z wdową, Marią Teodorą Porfirogenetką?... Taka piękna, miła kobieta... Na pewno przykrzy się jej w długim uroczystym wdowieństwie... Za zwyczajnego rycerza nie pójdzie, ale za królewskiego brata poszłaby na pewno... Zwłaszcza, że lubi Amalryka... Lubi, że jest taki dobrze ułożony, nie pijak, nie hałaśliwy... Poszłaby... Luzynianowie spowinowaciliby się z basileusami... Jeden brat królem, a drugi mężem Porfirogenetki...

...Gdyby Wit zechciał... Wszystko to byłoby możliwe... Dziwniejsze rzeczy oglądały dzieje... Możliwe...

...I pomyśleć, że te wszystkie marzenia trzeba pogrzebać z powodu głupoty jednego smarkacza!

. . . . . . . . . . . . . . .

Patriarcha Herakliusz błogosławił odjeżdżające rycerstwo drzewem Krzyża Św. Olbrzymi złoty relikwiarz wysadzany klejnotami migotał i lśnił się w słońcu. Szpitalnicy jechali pierwsi jak zazwyczaj. Wielki, biało-czarny sztandar rycerzy Templum, zwany Beaucéant, łopotał tuż za nimi, uderzał o szyszaki wielkiego mistrza de St. Amand i zastępcy jego, Gerarda de Ridefort. Kopyta końskie uderzały o bruk budząc echo pod sklepieniem bramy Jaffskiej. Część rycerstwa jechała za templariuszami, większość przyłączyć się miała po drodze. Za odjeżdżającymi zawarto z łoskotem bramę, pozostawiając tylko otwartą boczną furtę.

Pan strażnik grodzki, Gerard d'Avesnes, wziął z dziesiątek ludzi i ruszył w obchód miasta, by skorej zawsze do rozruchów hołocie grodzkiej pokazać, że nie wszystko wojsko wyszło i że jest czym utrzymać porządek. Obszedłszy miasto wrócił na swój zwykły posterunek w wieży Dawidowej. Nad miastem zaległa cisza przerywana tylko nawoływaniem kupców i głośnymi modłami pielgrzymów, obojętnych na wszystko, sunących na kolanach wzdłuż Drogi Krzyżowej. Arcybiskup z Tyru wyjechał do zamku Karak w Moabicie, król nie opuszczał swych komnat i nie widywał nikogo. Czterej bracia „ewangeliści" stanowili jedyny łącznik między nim a światem. W pałacu kró-

lowej wdowy Agnieszki, o oknach wychodzących na dolinę Jozafata, maleńki pogrobowiec, syn zmarłego Wilhelma de Montferrat, miaukał w kołysce pod rozkochanym okiem babki.

Sybilla, piękna jak pierwej, zupełnie już zdrowa, wałęsała się po pałacu znudzona i zgorzkniała. Zaprawdę, życie obeszło się z nią niegodziwie! Owo życie, którego tak pragnęła, łaknęła, o którym marzyła w ciągu lat młodzieńczych spędzonych w klasztorze, to życie cóż jej dało?! Trzy miesiące szczęścia, trzy miesiące spędzone z pięknym, świetnym, zakochanym małżonkiem. Trzy miesiące, które minęły jak oka mgnienie. Potem co? Wdowie szaty, przymusowe odosobnienie, połóg. Gdy za parę miesięcy skończy się żałoba, małżeństwo z tym poczciwym, nudnym Ibelinem. I to ma być życie?! Ibelin... Niegdyś lubiła go, owszem; teraz, odkąd stał się jej narzeczonym, czuła wzrastającą niechęć. Jedno mu trzeba przyznać, że się nie narzucał. Widziała go wszystkiego dwa razy. Ostatnio, gdy powściągliwy i niezachwianie poważny, przyszedł pożegnać się z nią przed wyprawą. W oczach miał psie przywiązanie, w głosie szczere wzruszenie, ale te zęby wybite, te zęby! Zdaniem Sybilli biedak wyglądał okropnie. Mówiąc strzykał śliną przez szczerbę i świszczał. I to ma być jej mąż! Jej mąż! Za trzy miesiące jej mąż!... Brat, obrzydły lepur, mówił: „Trzeba poświęcić niejedno dla dobra królestwa"... A cóż ją obchodzi królestwo?! Czy prosiła o nie? Ona chce żyć... żyć... żyć jak każda kobieta... Żyć jak przez owe trzy

miesiące z Wilhelmem, którego przygniotła skała... Ma dziewiętnaście lat, jest urocza i chce żyć!...

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, przysiadła chwilę przy dwórkach, wyszywających na krosnach jak w kraju. Mówiły o wyjściu rycerstwa, o pięknych koniach i złocistym relikwiarzu.

— ...A rycerz Ibelin precz patrzał w stronę pałacu — mówiła ładna, wesoła Katarzyna de la Haye. — Rycerz de Lusignan jechał podle niego...

— Rycerz de Lusignan wcale nie pojechał — roześmiała się Sybilla. — Jest w grodzie. Kiepskie masz oczy, Kasiu.

— O nie, miłościwa pani, dobrze widziałam. Rycerz Amalryk został, ale to był jego brat, któren niedawno przyjechał...

— Brat? Drugi de Lusignan? Nic o nim nie słyszałam. Jakiż on?

— Młodziutki, a śliczny, śliczny jak cherubin! W pancerzu wyglądał niby św. Jerzy... Nie było ani jednego takiego...

— Naprawdę? Czemuż rycerz Amalryk nigdy go nam nie pokazał?

— Może przez zazdrość? — podsunęła ciemnowłosa Monika d'Avesnes — bo sam nie taki urodny...

— Może... ach, ci mężczyźni!

Sybilla ziewnęła głośno. Do komnaty weszła Agnieszka z wnukiem w ramionach. Rozwiązane powijaki wlokły się za nią po ziemi. Dziecko krzyczało, babka gadała do niego pieszczotliwie, potrząsając głową i wydłużając usta w trąbkę

— Spójrz, czy nie cudo? — rzekła do córki. — Każdy od razu pozna, że ma w sobie po mieczu i po kądzieli krew królów... Mileńki mój... królewicz złocisty, rybeczka...

— Gdzie są niańki? — zapytała niecierpliwie Sybilla. — Znieść nie mogę tego ciągłego krzyku...

— Nie żałuj mu piersi, gołąbko, to nie będzie krzyczał... Głodny jest... Patrz, jak piąstkę ssie... Mój nieboraczek najdroższy... Po to właśnie mój skarb niosę, żebyś go nakarmiła...

Z rezygnacją Sybilla usiadła na niskiej sofie, wzięła dziecko. Ujmując w rękę swoją krągłą, białą pierś, poczuła przypływ poprzedniego żalu. Zaprawdę, nie warto było być piękną! Dla Ibelina? Dla karmienia nowych dzieci? Przebrzydłe życie! Nieznośni, obrzydli ludzie! Taki Luzynian na przykład: sprowadził urodziwego pono brata i kryje go, choć wie, że ona się tak nudzi, nudzi, nudzi...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Pieśniarz zadzierał głowę do góry i wpatrzony w rzeźbiony pułap z cedrowego drzewa śpiewał jakby w uniesieniu. Nie był to zwykły rybałt, lecz goliardus, poeta vagans, znający nieźle łacinę i spory szmat świata. Chełpił się, że nie było we Francji dworu książęcego, na którym by nie śpiewał. Dawał do zrozumienia, że i na królewskich mile go widziano. Z wioli spływały pęki kolorowych wstążek, z ust — co najrzewniejsze tony. Królewna wdowa Sybilla, przyrodnia jej siostra królewna Izabela, Marfa Renaldowa, Katarzyna de la Haye, Monika d'Avesnes i parę innych dwórek

szlachetnego rodu słuchały, tym bardziej zaciekawione, że poeta opiewał powszechnie znane dzieje miłości rycerza Rudo de Blaia ku pięknej Hodziernie, księżnej Tripoli, matce Rajmunda III a córce króla Baldwina II.

— ...Gdy mężny rycerz — ciągnął rybałt głosem drżącym ze sztucznego wzruszenia — ściął łby dwu smokom i wypruł wnętrzności stu wrogów, gdy w stu dwudziestu najprzedniejszych grodach ogłosił i utwierdził, że nie masz pięknej nad księżnę Tripoli, przyodział kaftan barwy płomienistej i rzekł do swojego giermka:

„Przyszła godzina, że zasłużyłem, niegodny, obaczyć jej cudne lice" (bo miłując od wielu lat, nigdy swej pani nie widział, znał ją jeno z opowiadań tych, co w Ziemi Świętej bywali).

„Zaprawdę, zasłużyliście, najszlachetniejszy z rycerzy" — przytwierdził giermek uczciwie.

Siadł tedy wierny de Blaia na statek. Dziwili się wszyscy, że prawie bez współudziału sternika nawa płynęła prosto ku Tripoli. Przyjazne kochankom wiatry nadymały żagle, delfiny płynęły za statkiem brykając. Tak to wszelkie przyrodzenie raduje się widokiem prawdziwej miłości.

Przybywszy na ląd rycerz stanął pod murami grodu. Serce rozżarzyło się w nim płomieniściej niż barwy strojnego kaftana i rzekł do swojego giermka:

„Nie odważę się jeszcze stanąć przed jej licem. Idź ku niej, powiedz, żem jest, i proś, niech mi przyśle w darze rąbek ze swego zawicia."

Giermek odszedł, de Blaia zaś usiadł pod murem czekając. Z niecierpliwości serce biło w nim potężnie jak młot o kowadło. Przechodnie zatrzymywali się przy nim, pytając: „Czyś pielgrzymem, obcy człowieku, i czym tak kołaczesz?"

Odpowiedział: „Kołacze we mnie z niepokoju serce, a pielgrzymem jestem owszem, pielgrzymem miłości".

„Kogóż miłujesz?"

„Tę, co najpiękniejsza, a zarazem najbardziej cna i niedostępna."

„Chyba mówicie o naszej pani — rzekli ludzie — bo wiadomo, że nie urodziła się piękniejsza od niej"...

De Blaia pobladł ze szczęścia i rzekł:

„Opowiadajcie mi o waszej pani."

Mówili tedy: Dłonie jej są blade jak kość słoniowa, lica różane jak daleka zorza. Niby kamienna wieża jest jej wstydliwość niewieścia. Nad obłoki wyższa dostojność, nad słońce promienniejsza łaskawość...

Wędrowiec słuchał jak we śnie. Leżał tak na poły śniąc, gdy giermek nadbiegł z powrotem, szarpał go za rękaw, wołał: „Wstańcie, szlachetny rycerzu! Wasza pani idzie! Sama idzie tutaj ku wam!" Lecz rycerzowi zbrakło siły, aby powstać, uniósł tylko omdlałe powieki i patrzył...

...Oto nadchodzi... Nadchodzi śpiesznie w otoczeniu dwórek. Nie idzie, lecz płynie jak wysmukły łabędź. Białe czoło jaśnieje niby miesiąc pod

zawiciem. Dumne oczy spoglądają litościwie. O piękna, o niedostępna! doskonała! Piękniejszaś niż moje marzenie...

Nachyla się pani, składa tkliwy pocałunek na czole pieśniarza... O, jakże chłodne to czoło... Jak znieruchomiała twarz... Rycerz-poeta nie żyje... Zabiło go...

Goliard urwał spłoszony w pół zdania, bo w komnacie rozległo się krótkie, dźwięczne parsknięcie. To królewna Izabela roześmiała się serdecznie i darmo teraz usiłowała pohamować śmiech wpychając w usta cienki lniany płatek. Sybilla spojrzała na nią i parsknęła również. Reszta zawtórowała. Zaraźliwy, młody śmiech rozparł je, ogarnął, objął. Śmiały się wszystkie, nawet ospała Marfa. Śpiewak spurpurowiał.

— Na Boga, co się stało waszym dostojnościom?! Co się stało?!

Nie były w stanie odpowiedzieć, trzęsąc głowami, słaniając się jak w niemocy. Przerażona twarz pieśniarza pobudzała nowe fale wesołości. Zrozpaczony goliardus chwycił wiolę, załamał ręce i wybiegł jak oszalały.

— ...Pocałowała go w czoło... a on... umarł!... — piała Sybilla.

Agnieszka de Courtenay, przysłuchująca się pieśni z sąsiedniej komnaty, wsunęła głowę karcąco.

— Niepotrzebne były te chichoty — rzekła spoglądając niechętnie na Izabelę — będzie teraz

o was opowiadał Bóg wie co... Z wierszokletami lepiej ostrożnie...

— Och, pani matko! — wykrzyknęła Sybilla. — Czyż można było utrzymać powagę? Ta dobra babka Hodzierna nazwana „niedostępną jak obłoki"?

— „Kamienną wieżą"!

Agnieszka roześmiała się mimo woli.

— To prawda — przyznała — że poczciwa Hodzierna niemało się nadokazywała... Jak wszystkie jej siostry zresztą, prócz jednej Iwetty... A tego rycerza de Blaia Rajmund II kazał pono cichaczem sprzątnąć, żeby zbytniego zgorszenia nie było...

— Niejednego de Blaia musiał sprzątać w takim razie?

— O tego więcej chodziło niż o innych, bo wiersze pisał, i rozniosłoby się po całej Europie... Tylko mi teraz już nie hałasujcie, bo dziecko nie może spać.

Odeszła. Do komnaty wszedł Renald z Sydonu, pogodny i uśmiechnięty jak zwykle. On to wynalazł i przyprowadził pieśniarza, a choć wrażenie wywołane śpiewem było inne, niż oczekiwał, czuł się zadowolony, że zabawił znudzone panie.

— Ten nieborak nie przeżyje dzisiejszego dnia — zapewnił. — Żalił mi się co ino, że go nigdy jeszcze w życiu podobny despekt nie spotkał. Zazwyczaj, słuchając go, szlachetne panie płaczą albo ze wzruszenia mdleją...

— Myśmy się też popłakały, ale ze śmiechu. Powiedzcie, rycerzu, zali możliwe, by niewiasty w starym kraju były jeszcze takie?...

Pogładził z namysłem brodę.

— Wątpię — odparł. — Ludzie są wszędzie ludźmi, krew jest wszędzie czerwoną krwią... Tylko mężowie pragnąc pohamować swoje małżonki stawiają im piękne przykłady.

— Dobrze dobrane przykłady... A co nam jutro obmyślicie, rycerzu? Boście obiecali, póki rycerstwo nie wróci, dostarczyć co dzień rozrywki?

— Bogać mi, obiecałem! Co pocznę, jeżeli Imad-al-Din stawi dłuższy opór? Nie wiem. Bądźcie wówczas litościwe. Na jutro mam przednią nowość: jest nią starzec 106-letni...

— O, to istotnie coś całkiem świeżego!? Starzec 106-letni? Gdzieście go znaleźli?

— Znacie go dobrze, dostojne panie. Sędziwiec z brodą po pas, w czasie uroczystych procesji noszący za patriarchą miecz...

— Miecz Godfryda Lotaryńskiego! A ten stary pono jego giermek... Ależ powiadają, że to tylko któryś z kościelnych przebrany?...

— Ja sam puściłem w obieg ów nieszczególny dowcip, jak się dziś przekonałem, niesłuszny. Starzec nie jest przebrany. Ma istotnie 106 lat. Był naprawdę giermkiem Godfryda de Bouillon, pierwszego naszego króla. Nazywa się Robert de Corbier. Jutro go tu przywiozę. Staruszek jeszcze rześki, pamięć ma dobrą, opowie nam dawne dzieje.

— A co będzie pojutrze?

Westchnął głęboko.

— Nie wiem dotychczas. Jeżeli przez jutrzejszy dzień nie olśni mnie myśl szczęśliwa, umrę ze wstydu, jak de Blaia umarł z radości. Żegnajcie, dostojne panie!

. . . . . . . . . . . . . .

Robert de Corbier zachował istotnie wcale dobrą pamięć. Jak zwykle u starych ludzi, czasy bliższe mąciły się w jego umyśle i zacierały, natomiast im starsze wspomnienia, tym rysowały się wyraziściej, jaśniej. Ułożone w trwały obraz nie ulegały zniszczeniu.

Ugoszczony winem, siedział w wygodnym poręczowym krześle, spozierając ciekawie wokoło. Uśmiechał się na poły chytrym, na poły zdziecinniałym uśmiechem. Otaczające go młode kobiety budziły niejasne wspomnienia. Niewiasty... Jakie to było uczucie posiadać niewiastę?... Ostatni raz miał przy sobie białkę prawie pięćdziesiąt lat temu...

— Opowiadajcie nam, jakeście dobywali Jerozolimy? — zachęcał Renald.

— He, co mam opowiadać, szlachetny panie? Bo to już wszystko spisane w księgi. Uczeni ludzie pisali. I wielebny kanonik d'Aguilers i kanonik Foucher de Chartres... Jego dostojność arcybiskup z Tyru też mnie nieraz wołał i pytał, a potem pono spisywał...

— To, co spisane, znamy. Zawsze jednak ciekawie usłyszeć od kogoś, co swoimi oczami widział... Opowiadajcie o szturmie.

— He, jakoż mówić? Gorąco było wielkie... Gorąco. Jak zwykle tu latem, ale my jeszcze byli niezwyczajni. I wody brakło... Po dwa denary płacono za kwartę... Pamiętam... Obchodzili my mury z procesją, śpiewając. Pogany na murach wrzeszczały i paskudziły na krzyż... To w nas taka lutość i złość i żal zbierały, że każdy gotów był zębami mury kąsać, pazurami gołymi drapać, byle tych oszkliwców dostać... A na drugi dzień poszli my do szturmu... Trzy były wieże wielkie. Na jednej miłościwy pan Godfryd z bratem, panem Eustachym. Ja przy nim. Tamże księżniczka burgundzka ze swoim mężem, królewiczem duńskim...

— Opowiadajcie o księżniczce! — zawołały chórem słuchaczki.

Wzruszył ramionami zakłopotany.

— Niewiela ja o niej wiem. Wołali na nią Florina, diuka burgundzkiego córka.

— To czytałyśmy, ale coś więcej? Jak wyglądała?

Ścisnął ramiona ponownie. Wiedział to, jak wyglądała? Pamiętał owszem płonący stos wieży, hełm spadający z czyjejś drobnej głowy i spływającą spod hełmu złotą strugę włosów... Lecz opowiedzieć tego nie umiał. Język miał prosty, mniej wyrazisty niż pamięć.

— ...Spaliła się — stwierdził krótko. — Spalibyśmy się wszyscy, bo tchu już brakło od żaru,

a wieża trzeszczała, jeno że Bóg dał pomoc w umarłych...

— W umarłych?!

— Ano. Wojsko duchów pokazało się na górze i muzułmany tył dały...

— Widzieliście ono wojsko?

— Jako was, szlachetni państwo, widzę. I bodajem drugie sto lat żył, nie zapomnę!... Wszyscyśmy widzieli... wszyscy... I nasi i Saraceni... Ćma ich była. Zajmowali całe zbocze... Biskup wiódł przodem... A tak zdobyliśmy gród dzięki ich pomocy.

Zamilkł spoważniały. Z pomarszczonej twarzy znikł poprzedni głupkowato chytry uśmiech. Robert de Corbier wpatrzył się w widniejącą daleko za oknami Górę Oliwną, jakby szukając na niej śladów wojska cieniów, co przyszło niegdyś wspomagać braci walczących.

Mimo woli spoważniałe, zamilkły również kobiety. Renald z Sydonu stracił zwykły drwiący wyraz. Zamyślił się tak głęboko, jakby jego świadomość przeszyło przeczucie, że niecałe siedem lat minie, a on, wesoły kpiarz, na poły Arab, poniesie bohatersko śmierć w obronie Krzyża, nie gorszy zaprawdę od dziadów...

Stary napił się wina, otarł ręką brodę i pierwszy przerwał milczenie:

— Skoro weszliśmy do grodu, dopieroż zaczęła się rzeź! Nie wiem, czy pisał o niej kanonik d'Aguilers, bo to był łagodny człek. Sroga rzeź! Chyba drugiej takiej na świecie nie było... Krew

ulicami płynęła jak strumień, koniom sięgając do piersi... Z tej trwogi, tej rozpaczy pogani wyli jak wilcy. Nie człowieczym głosem wyli... Uciekali, gdzie mogli, ale nie było przed nimi uchodu... Tyle co rycerz Tankred (któren potem księciem Galilei ostał) uratował w Templum Domini...

— Tankred był podobno pięknym rycerzem? — zapytała ciekawie Izabela.

— Niczego sobie, a silny jak lew. Zaciągnął się na jakiś czas do księcia Godfryda, tom go wtedy często z bliska widywał. Byłem też z nim, kiedy dobywano Betlejem... I na Górze Zgorszenia byłem...

— Ach, powiadajcie o Górze Zgorszenia!

— Co tam opowiadać? — skrzywił się niechętnie stary. — Wpadliśmy jadąc od Betlejem... Rycerz Tankred jeno obaczył, kazał zburzyć to plugastwo, i zburzyliśmy, a tak ono zwalone leży dotąd...

— Co obaczył?! Co tam było?!

— Plugastwo — powtórzył krótko stary, nierad mówić dalej.

Darmo królewny nagabywały go usilnie. Góra Zgorszenia zajmowała je więcej niż cokolwiek inne. Dziwne to miejsce otaczały zła tajemnica i zabobonna trwoga. Według podania bowiem, na tym niezbyt odległym od Jerozolimy wzgórzu stała świątynia, którą wzniósł Salomon dla swoich żon pogańskich. Zaniedbany i na poły zniszczony pomnik grzesznej słabości wielkiego monarchy od-

nowił i podźwignął Herod, król Judei. Całość otoczył wysokim murem, za który nie wolno było wkraczać nikomu niepowołanemu. Sam król często tam przebywał. Podanie głosiło dalej, że po zjawieniu się gwiazdy betlejemskiej zamknął się w onej świątyni i tam oczekiwał powrotu trzech Mędrców. Mówiono też, iż czasu rzezi Niewiniątek tam znoszono wydarte matkom dzieciny i tam im śmierć zadawano. Nie dziw więc, że klątwa wisiała nad miejscem obciążonym najstraszliwszą zbrodnią, jaką znały dzieje. Najwiarogodniejsi ludzie zapewniali, że wejścia na górę strzegą dniem i nocą czarty. Toteż omijali je z dala muzułmanie, Syryjczycy, Grecy, nawet beztroscy pasterze arabscy. Rycerze latyńscy, przybyli z Tankredem, uczynili więcej, gdyż zburzyli gmach. Podpiłowali kolumny i cały strop runął, zagradzając wejście wałem zwalonego gruzu. Pozostawione przez nich ruiny leżały dotychczas, kryjąc nie dociekaną przez nikogo tajemnicę.

I oto Robert de Corbier, zgrzybiały, trzęsący się starzec, był tam! Był i mógłby opowiedzieć!...

Ale opowiedzieć nie chciał. Nie skusił go nawet widok sporego mieszka denarów. Trząsł głową w upartej odmowie.

— Nie pamiętam — powtarzał, zasłaniając się tym twierdzeniem niemożliwym do sprawdzenia.

— Jednakże wszystko inne pamiętacie? — nacierał Renald nie dając za wygraną.

— Inne pamiętam, owszem, a tego, to nie.

— Dlaczego?

— Bo ja wiem? — stary zastanowił się chwilę i z przekonaniem stwierdził ponownie: — plugastwo. Plugastwo — powtarzał, prosząc kornie rycerza, by mu pozwolono odejść. Przyjdzie chętnie innym razem. Opowie wtedy o królu Baldwinie Pierwszym. Dziś jest już bardzo zmęczony. Odprawiono go zatem, nie kryjąc urazy, że o najciekawszej rzeczy nie chciał mówić.

— Po co te tajemnice? — sarkała Sybilla. — Przychodzi mi ochota pojechać tam kiedy samej, popatrzeć przynajmniej, jak zwaliska wyglądają. W dzień przed południem, gdy dzwony w kościołach biją, diabłów nie ma na pewno.

— Ja z tobą! — pisnęła z zapałem Izabela. — Rycerz Renald pojedzie także dla obrony...

— O, nie! — zaprzeczył stanowczo. — Jeżeli wasze dostojności koniecznie sobie życzą, pojadę sam i opowiem, co obaczę. Choć nic tam dziś nie ma oprócz kupy gruzów. Z waszymi dostojnościami — nie.

— Dlaczego?! — zawołały oburzone.

— Nie uchodzi. Miłościwy pan nie byłby rad. To przeklęte, pohańbione miejsce i nie przystoi królewskim córkom ciekawić się rzeczami, o których nie chcą mówić woje...

— Król mógłby wcale nie wiedzieć!

— Ibelin z Ramli nie pochwaliłby również tego zamiaru...

— Nie myślę pytać nikogo o pozwolenie, a już najmniej Ibelina!

Nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Oto słowa godne uległej małżonki! Niestety, ja towarzyszyć waszym dostojnościom nie mogę. Samojeden, jako już rzekłem, pojadę.

— Pojedziemy zatem bez was. Ja chcę zobaczyć. Chcę koniecznie! Nie rozumiem, że dotąd nie przyszło mi to na myśl...

— Weźmiemy Onufrego de Thoron — podsunęła Izabela. — Zrobi wszystko, co mu każemy, i nie powie nikomu.

— Doskonale, Onufrego! Nieborak, dopieroż będzie miał stracha!

Renald gładził swą cenną brodę.

— Widzę, że mimo wszystko będę musiał z wami pojechać — rzekł kwaśno. — Wiem z doświadczenia, iż na zachcenia niewiast nie znaleziono dotychczas lekarstwa, a de Thoron nie jest dostateczną opieką. Diabłów się nie boję, szczególnie w dzień, lecz w ruinach mogą się kryć opryszki...

Klasnęły w ręce z uciechy.

— Pojedziemy zatem we czworo! To przednio! A kiedy?

— Jużcić że lepiej, nim rycerstwo wróci, i nie ma przed kim ukrywać.

— Ależ ja dziecko karmię! — wykrzyknęła nagle żałośliwie Sybilla. — Matka mnie nie puści! Całkiem o tym zapomniałam! Co zrobić?

— Ano nic — stwierdził z ulgą Renald. — Odłożyć wyprawę na parę miesięcy, gdy wasza do-

stojność będzie już mogła spokojnie oddalić się na pół dnia, bo więcej na tę przejażdżkę nie trzeba. Góra Zgorszenia nie ucieknie.

— Góra nie ucieknie, ale coś się zmieni, przeszkodzi... Oni wszyscy będą... Na pewno nie uda się pojechać... Oto mój los! Zawsze tak... Zawsze na przekór... Czyż ja nie jestem doprawdy najnieszczęśliwszym stworzeniem na świecie?!

---

## ROZDZIAŁ X.

### PRZEBACZ, BRACIE!

Moab to pustynna kraina. Na zachód ciągnie się Morze Martwe otoczone wieńcem wzgórz. Na wystającej skale nad gęstymi znieruchomiałymi falami stoi skamieniała postać żony Lota, Moabowej zbyt ciekawej matki. W tych dziedzinach bardziej niż w jakichkolwiek innych znać, że Bóg nie lubi wglądu w swoje sprawy. Krajobraz jest surowy, groźny i nieprzychylny krzykliwym ludzkim małostkom. Wszystko, co się w ciągu wieków na tej ziemi zdarzyło, zostawia swój trwały ślad. Zamieszkujące tu niegdyś plemię olbrzymów Emim przeorało dziwaczne wąwozy, wyrzeźbiło stromizny gór. Przywleczona przez Asyryjczyków wiara w Baala Peora, zwanego też Belfegorem, ponure bożyszcze żądne krwi ludzkiej, zabarwiła wzgórza czerwono-rdzawym nalotem, że wyglądają odtąd niby zlane zastygłą posoką. Dawno nie ma już olbrzymów, zapomniane imię bożka Belfegora, lecz góry ich wznoszą się posępnie nad pustacią, a wiatr omiata rudy pył zasypujący oczy karawanom. Nawet wieże kasztelu granicznego Franków wynurzające się zza wzgórz, acz niedawno powstałe, nabierają w tym kraju pozoru rzeczy wrosłej w grunt, niezniszczalnej na wiek wieków.

Idąc tym krajem, zali można myśleć o czym innym niż o Bogu? Pustynia jest żywiołem, a każdy żywioł tchnie Bogiem. Nie masz tu nic krom Niego — tak myśli emir al Bara powracający z pielgrzymki. Choć słudzy prowadzą za nim bogato objuczone wielbłądy, stary emir kroczy pieszo jak wszyscy pielgrzymi. Pogrążony w dumaniach, nie czuje zmęczenia. Ciało słania się od trudu, pieką nieznośnie od żaru słonecznego oczy, lecz dusza czuje się lekką, niby gotową do odlotu... Cóż mnie tu wiąże, wędrowca? cóż jest na świecie, czego bym nie zaznał? Wypełniłem swoje czasy...

Darmo, jak uosobienie wdzięku widomego świata, kuszą wzrok złudne, prześliczne obrazy ukazujące się w rozdrganym słońcem powietrzu. Cieniste gaje, fontanny, dachy i wieże, zaklęte miasto Irem z kraju Hadramaut, uniesione niegdyś w powietrze przez duchy. Stary emir patrzy na nie obojętnie. Nie ułudzą go już, nie! Jedyny dorobek długiego wieku to poznanie, że wszystko prócz Boga pochodzi z nicości, otoczone jest nicością, dąży do nicości. Mądrość leży w tym, by zamknąć oczy i zmysły, nie troszczyć się niczym, co jest z tego świata.

Wokoło emira długą, nie kończącą się gromadą wędrują pielgrzymi. Pod białym turbanem snują swoje myśli. Może o Bogu, jak al Bara, może o stadach pozostawionych tyle czasu bez opieki, może o domach lub zbiorach. Wzrok mają poważny, w palcach krótki bursztynowy różaniec. Nie

są niczym obciążeni, nie niosą nic. Toboły, zawierające odzienie i żywność, dźwigają dla zamożniejszych wielbłądy lub osły, dla biedniejszych kobiety-żony. Pokaźny szereg tych najniższych zwierząt jucznych drepcze za pielgrzymką, uginając się pod ciężarem opałek z łyka, dzbanów z wodą, a nierzadko dzieci. Noszą jednakie czarne, wyrudziałe szaty, lica mają zasłonięte. Nie podniosła ich serca pielgrzymka, w której chociaż obecne, nie brały udziału. Kobietom nie wolno wchodzić do świątyni. Wystarczy im aż nadto, gdy z zewnętrznego dziedzińca obaczą dach świętego meczetu kryjącego kamień Kaaby.

Starczy aż nadto! Nie mają wszak duszy. Nie ponoszą odpowiedzialności, a Prorok odmówił im także rozróżnienia zła od dobra. Nie rozumieją swych czynów więcej niż osioł lub wielbłąd, a znacznie mniej niźli koń.

Słońce chylące się ku zachodowi oświetla jaskrawo wieżyce kasztelu Franków. W przezroczystym wyżynnym powietrzu widać je dawno, jednako oddalone, jednako bliskie. Pielgrzymka będzie jeszcze długo kroczyć, nim się z nimi zrówna, potem — nim je minie.

Emir al Bara patrzy na płonące od słońca wieże z trudnym do określenia uczuciem. Na poły latyńska krew ciągnie go ku Frankom, o których tyle słyszał, których nie zna wcale. Ciągnie nie od dziś. Całe życie pragnął w skrytości zbliżyć się ku nim. Nie uczynił tego, a oto teraz dożył

wieku, stoi gotów do odejścia i nigdy już pewno życzenia tego nie urzeczywistni. Przed chwilą myślał, że wszystko, co należało wypełnić, wypełnił. Nie wszystko. Tego mu brak.

Dlaczego właściwie omieszkał tylokrotnie nadarzającą się sposobność poznania? Mógł łatwo pojechać do Franków z poselstwem, albo z kupcami, albo tak wprost, z ciekawości... Dlaczego tego nie zrobił? Czy nie z ukrytej, tajemnej obawy rozczarowania? Z lęku, że nie okażą się godni tego, co o nich mówiła matka?...

...Matka!... Kasztel latyński na widnokręgu, ściszony jazgot kobiet jucznych za plecami, musiały przywiać myślom jej wspomnienie. Niepodobna do żadnej innej, dumna, mądra, wywierająca wpływ na wszystkich, co się z nią zetknęli... Kobieta... Tamte idące z tyłu też kobiety... Co za przepaść!... Matka!... Mawiała doń nieraz: „Pomyśl, synu, zali nie najlepszy dowód, że wasza wiara niższa od mojej, to krzywda, jaką czynicie niewieście? Spójrz na mnie i powiedz, zali nie mam duszy tobie równej?" Zaprawdę, miała ją, nie tylko równą, ale wyższą od niejednej męskiej. Rycerską, chrobrą duszę. Lecz stado kobiet obciążonych tobołami, drepczących za karawaną, nie posiadało takiej z pewnością. Prorok nie mógł się omylić.

„Prorok myli się — mawiała matka odważnie — poznaj moją wiarę, synu, poznaj moją wiarę! Porównaj wtedy obie i przekonaj się!"

Prosiła go o to jeszcze umierając, i obiecał, że postara się poznać wiarę Franków. Przyrzeczenia tego dotąd nie dotrzymał.

Słońce skryło się, zapadło gdzieś w odmęty morskie. Płowe barwy pustyni zgasły, zsiniały, stały się zimne i trupie. Pielgrzymi ułożyli się do snu na ziemi, zbijając się dla ciepła ciasno wokół zwierząt, bo noce bywały chłodne. Słudzy emira otulili swego pana w potrójne ciepłe koce i pozostawili samego, jak chciał. Leżąc na wznak patrzył w głębokość nieba utkaną gwiazdami, czekał na nieśpieszny sen i snuł dalej wątek myśli. Matka... Kim była właściwie?... Jak się zwała? Jak na nią rodzice wołali? Być może, że wśród swoich pozostawiła męża, synów?... Może ktoś z jej rodu mieszka w tym kasztelu?... Jak dobrze byłoby móc pójść do niego z wyciągniętą dłonią i powiedzieć: „Bracie!... Mamy w żyłach wspólną krew..."

Przyszło mu na myśl, że nie masz chyba na świecie piękniejszego słowa niż to właśnie: „Bracie!" Słodsze jest od miana kochanki, dziecka, dźwięk ma szlachetniejszy od złota. Jakże cudownie zmieniłby się świat, gdyby wszyscy ludzie pozdrawiali się tym imieniem!...

...Koran powiada (a święte księgi chrześcijan mówią podobno to samo), że wszyscy ludzie, którzy jednego Boga chwalą, są braćmi... Jednego Boga... A czyż może być dwóch Bogów? Nie może być, zaprawdę, nie może. I matka słusznie mówiła, że choćby kto chciał innego chwalić, nie

zdoła. Stąd prosty wniosek: wszyscy ludzie, którzy chwalą Boga i pragną Jego królestwa na ziemi, są braćmi...

...Choćby pan tego kasztelu nie był wspólnej ze mną krwi, pójdę jutro do niego i powiem: „Bracie, powiedz mi o twojej wierze..."

...Tak uczynię...

. . . . . . . . . . . . . .

Tak uczynię — myślał emir al Bara następnego dnia, gdy w żarze słońca, w obłoku wzniesionego kopytami pyłu, kroczyli dalej, a wieże kasztelu Karak widniały coraz to bliższe. Idący przodem pielgrzymi śpiewali czwartą z kolei surę Koranu, derwisze wypoczęci z nocy zawodzili przeraźliwie. Staremu emirowi wydało się w pewnej chwili, że przeraźliwiej niż zwykle; ich opętany wrzask rozdzierał uszy.

Wrzask ten snadź jest zaraźliwy, bo nagle wszystko naokół poczyna krzyczeć, jak krzyczą derwisze, kręcić się w miejscu, unosząc ręce do góry, miotać na prawo i lewo...

Emir przystaje niechętnie. Nie lubi derwiszów. Ten krzyk ma w sobie jednak coś dziwnego. Już ogarnął cały tłum. Przerodził się w straszny lament. Pierwsze szeregi cofają się nagle, tłoczą, napierają na idących z tyłu. Co zaszło? Czy lew napadł? Tak się zdaje, jakby ktoś od przodu nacierał...

Nie tylko z przodu, emirze al Bara! Oto już z tyłu i z boków buchają jęki, w czerwonym pyle

widnieją głowy koni, ludzi w stalowych szyszakach, błyska broń. Brzmi wzgardliwa, obca mowa. Na miecz Proroka! To nie lwy! To Franki!...

Rąbią bezbronnych stłoczonych pielgrzymów, kłują włóczniami, walą oszczepami, tratują powalonych, wpychają się konno w sam środek gromady, odcinają od wielbłądów, by nikt się nie zdołał ratować ucieczką. Kobiety, rzuciwszy juki, wyją z przerażenia. Napastnicy zdzierają im zasłony z twarzy. Młodsze w więzy, starszym oszczepem po głowie. Niepotrzebne. Wydzierają z ramion matek maleńkie dzieciny. Gaszą bezlitośnie ich bezgrzeszne życie.

Zrazu oniemiały z grozy, stary emir płonie gniewem.

— Zdrajcy, mordercy, kaci!! La illah el Allah Mohammed rasul Allah! — ze starym okrzykiem swej wiary, któremu zaprawdę pozostanie wierny, rzuca się na pierwszego z brzegu napastnika. Zaskoczonemu wyrywa włócznię, naciera nią wściekle. Przykład jego działa. Już kilkunastu pielgrzymów, ochłonąwszy z trwogi, bierze się za bary z uzbrojonym przeciwnikiem. Walczą z dzikim męstwem. Lecz daremne ich wysiłki! Co znaczy garstka straceńców? Cóż gołe pięści na stalowe miecze? Już padł emir al Bara, rychło zginie reszta. Nie ma już walki. Są tylko trupy i wiązanie w pęta jeńców.

Dzień gaśnie w oczach emira al Bary, jest jednak jeszcze przytomny. Całkowicie, przeraźliwie przytomny. Spogląda wokół na to, co się stało.

Pierś, z której uchodzi dech, wypełnia śmiech drwiący, zły. Całe życie pragnął poznać Franków, oto ich poznał nareszcie! Poznał dokładnie. Odsłonili swoje właściwe oblicze. Oto stoi nieopodal wódz szlachetnego wojska, które napadło bezbronnych pielgrzymów. Niewątpliwie wódz. Nad nim proporzec, na proporcu krzyż....

Gdyby mi starczyło sił — myśli al Bara — wstałbym, by nań plunąć... O matko, matko, taka twoja wiara?!...

Patrząc nadal z pogardą, z żalem bezmiernym, wyniosłym, widzi, że między szeregi wpada jakiś człowiek. Widno, ledwo co przybieżał. Stary, chrypiący, zmęczony. Równie stary jak al Bara. Rozrzucona siwa broda. Łamie ręce, płacze, grozi stojącemu obojętnie pod proporcem rycerzowi. Rzuca się w męce, biega od trupów do rannych, przyklęka przy nich ze szlochem. Pętający wielbłądy żołdacy patrzą nań, wzruszając ramionami.

Zalane łzami lico starego człowieka pochyla się nad stygnącą twarzą emira al Bary.

— Bracie!... — bełkocze po arabsku — bracie, przebacz...

...Bracie... Ranny unosi głowę z wysiłkiem ...Bracie... śnił o tym tej nocy... Srogie było przebudzenie...

— Przebacz, bracie... — powtarza stary człowiek tak uparcie, jakby nic innego powiedzieć nie umiał. Łzy kapią z oczu wprost na twarz umierającego. Uśmiech gorzki, przegorzki kurczy siniejące wargi:

— ...Miałem matkę chrześcijankę... Mówiła, że wasza wiara najlepsza... Kłamała...

— Nie! Nie! Ona mówiła prawdę! Bracie, prawdę!....

— Czemużeście... tacy podli?!...

— O bracie, nie wiem dlaczego... Wiara do tego nic nie ma... Gdzie ludzie, gdzie Bóg?!... — woła z rozpaczą Wilhelm, arcybiskup Tyru (gdyż on to jest).

Może mówić, dowodzić, co chce. Emir al Bara już go nie usłyszy.

---

## ROZDZIAŁ XI.

### CHRISTUS VINCIT.

Prawie równocześnie z powrotem arcybiskupa Wilhelma przyszła do Jerozolimy wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Saladyna. Sułtan (tak go powszechnie wśród Franków zwano), poruszony do żywego zbójeckim napadem pana de Chatillon i śmiercią starego swego wychowawcy, kazał wynieść siedmiokrotny buńczuk przed pałac i powiać nim ku zachodowi.

— Dość wiarołomstwa! — zakrzyknął — uczynię wolę moją z królestwa giaurów!

Wraz też otrąbiono „dżihad", świętą wojnę z niewiernymi, i ściągnięto pułki z granicy.

Położenie królestwa stało się groźne jak nigdy. Choć na łeb, na szyję pognali posłańcy na północ zawracać spod Aleppo rycerstwo świeckie i zakonne, jasne było, że przy największym nawet pośpiechu wzywających i wzywanych, nim zdążą wrócić — Jerozolima upadnie. Toteż w mieście panuje popłoch. Nieustającym szeregiem bogate kupiectwo italskie ucieka z dobytkiem do Jaffy. Jego śladem zdążają pielgrzymi. Namodlili się już, a nie śpieszno im w jasyr. Stali mieszkańcy, nie mający dokąd uciekać, kręcą się bezradnie po mieście i lamentują.

Król Baldwin IV nie traci jednak ducha. Od paru niedziel bezwładnie leżący, odcięty od świata, na wieść o idącej nawale zbudził się, powstał. Trup ożył. Własnoręcznie przykłada wielką królewską pieczęć do niezliczonych listów — wici! Nie zdoła już sam ogniłą dłonią pożołyć podpisu, lecz kładzie pieczęć, zaś arcybiskup Tyru dopisuje pod nią: „Świadczę się Męką niewinną Pana Jezusa Chrystusa, iż miłościwy król osobiście to pismo przypieczętował"

Posłańcy niosą te listy-rozkazy do wszystkich grodów, gródków i strażnic królestwa. Kto żyw i potrafi walczyć, niech zdąża natychmiast pod Jerozolimę! Nikogo nie ostawiać z załogi! Nie baczyć na nic innego jeno na rozkaz królewski! W niebezpieczeństwie Grób święty! Król woła! Król woła! Do broni każdy, co ma zdrowe ramię! Bóg go nagrodzi i król! Nieurodzony stanie się szlachetnym... Pospolitak pas otrzyma... Frankowie, ratujcie Grób święty... Grób święty!...

Wszyscy do broni! Wszyscy wyruszą z królem naprzeciw wrogowi. Nawet w Jerozolimie nie ostanie nikt z załogi. Nie potrzeba. W razie oblężenia nic by ta garść nie znaczyła, a kto wie, może Bóg pozwoli jej zatrzymać wroga, nim dojdzie pod mury? Byle nie zwlekając ściągali z Betlejem, Lyddy, Ramli, Napluzy, Tyberiady, Hebronu, Emaus...

Tylko do Karaku Moabickiego nie biegnie żaden goniec. Król trzyma pana de Chatillon za

zdrajcę, którego pomocy nie zawezwie nawet w tak śmiertelnej jak ninie opresji.

Czekając na przybycie załóg, Baldwin każe sobie z biblioteki znosić dzieła o wojnach i różnych sprawach wojennych. Umiejący dobrze czytać brat Łukasz chrypnie z wysiłku, ale czyta nie ustając. To dzieło, to znowu tamto.

— Rzuć! — woła król — to niepotrzebne. Bierz inne!

Biednemu bratu już mąci się w głowie. Powoli nosowym głosem czyta na przemian Cezara i Tacyta, opisy błyskawicznych pochodów Bazylego Bułgarobójcy, Nicefora Fokasa lub Jana Cymiscesa — basileusów. Dzieje Karola Wielkiego, dzieje królestwa jerozolimskiego przez arcybiskupa Wilhelma aż do dni dzisiejszych spisane; dziwiąc się w duchu, na co to królowi? Widno nieborak chce znać, jak inni wojowali, boć sam żadnego doświadczenia nie ma.

Przerywa z ulgą, bo nadchodzi patriarcha Herakliusz prosząc o posłuchanie u miłościwego pana. Jest strojny jak zawsze, ale blady i wylękniony. Król zasłania sobie twarz (rzeczywiście nos mu obrzmiał i zropiał) i pozwala wprowadzić dostojnika.

— Miłościwy panie — powiada patriarcha — oto, co uradzilim z jej dostojnością królową-matką i pozostałymi rycerzami: trzeba co rychlej jechać do Saladyna przedstawić mu, że królestwo bez opieki zdane jest na jego łaskę, i prosić, by się zatrzymał do powrotu naszych, bo nie żadna

chwalba dla niego bezbronne miasto zajmować... Ten poganin rycerski jest.. Może przystanie... Nie dbając o mizerny żywot, sam gotówem w poselstwie pojechać...

Król unosi się na łożu.

— Słyszęż ja dobrze? Kto radził beze mnie? Co to znaczy?

— ...Miłościwy panie, znając wasz stan...

— Kto radził beze mnie?! — powtarza Baldwin z gniewem. — Na żadne poselstwo nie zezwalam. Modlitwy i błogosławieństwa Świętym Drzewem — oto jedyne, co od waszej dostojności potrzebuję...

— Chcecie walczyć, miłościwy panie? Darujcie mą śmiałość, ale to szaleństwo! Przecież jesteście...

— Chory, trędowaty? Nikomu nic do tego. Jestem król. Tylko król. Ja jeden. I pókim żyw, królestwo nie jest bez opieki ani nie może się zdawać na łaskę niczyją...

— Miłościwy panie, zastanówcie się... gdzie ludzie?!

— Rzekłem już, że potrzebuję od was błogosławieństwa, a nie rady. Pojutrze z tą garścią, co zbiorę, ruszam Saladynowi naprzeciw. Chcę, by Święte Drzewo poszło z nami. Wasza dostojność je poniesiesz?

Patriarcha załamuje ręce.

— Święte Drzewo Krzyża!? Na pohańbienie je chcecie dać? Na łup poganom?!

— Nie wpadnie w pohańbienie, ale my przez Nie zwyciężym... Wspomoże nas, jak wspomagało Godfryda, Baldwina... Pytam po wtóre: poniesiesz je, wasza dostojność?

— Ja! ja zdrowia nie mam... Wiadomo wam przecież, miłościwy panie, że chora wątroba nie pozwala mi siąść na konia... Zgoła nie pozwala... Choćbym nie wiem jak pragnął — nie mogę.

— Ostańcie zatem. Święte Drzewo poniesie biskup Aubert. Stary to, słaby człowiek, przecie tuszę, że nie będzie się wymawiał!

— Nie wymawiam się — prostuje patriarcha z urazą — ale nie mogę. Na to, by iść w pole, trzeba mieć zdrowie...

— O tak, wasza dostojność, o tak! Trzeba mieć zdrowie. Dziękuję Bogu, że mi go udzielił. Żegnam waszą dostojność. Czytajcie dalej, bracie Łukaszu.

Ozeźlony patriarcha Herakliusz wybiega zgrzytając zębami. — Ten szaleniec zgubi wszystkich!

Król po chwili przerywa czytanie. Nie to, nie to. Zna te wszystkie rzeczy na pamięć. Nie ma w nich przy tym nic podobnego do dzisiejszej chwili... Czytaj co innego, bracie...

— Co rozkażecie, miłościwy panie?

— Nie wiem, nie wiem... szukajcie.

Zakłopotany brat Łukasz przewraca frasobliwie stos przyniesionych manuskryptów. Skądże mógłby wiedzieć, co jest podobne do dzisiejszej

chwili? Postanawia zdać się na los. Otwiera pierwszą księgę z brzegu.

— „O śmierci dobrego rycerza Jocelina de Courtenay" — oznajmia.

— Czytaj — przystaje król, nagle uspokojony. Kładzie się na wznak i słucha.

„...Gdy źle obrócona wieża — czyta brat Łukasz powoli — zwaliła się na dobrego rycerza de Courtenay i połamała mu krzyże, że ani dźwignąć się nie mógł — kazał się złożyć na nosze a z noszami nieść do natarcia. Przynaglał przy tym pachołków, by śpieszno biegli, gdyż chce być na czele. Tak go ponieśli, rycerstwo z proporcem za nim. I na sam widok proporca cofnęli się poganie, słysząc, że to znak woja niezwyciężonego. Natenczas dobry rycerz de Courtenay kazał postawić nosze na ziemi, a ręce sobie ułożyć na piersi i rzekł: Dziękuję ci, cny Panie Jezu Chryste, za to, coś sprawił, że chociem jest już padlina i ruszyć sam palcem nie mogę, wrogowie twego imienia uciekli przede mną. Wiem, że to pochodzi z wielkiej dobroci i uprzejmości twojej, za które dziękujęć z całego serca. — I zaraz tak powiedziawszy skonał dobry rycerz..."

— Dziad to mój był — zauważa jakby od niechcenia król.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Pięćset rycerstwa, drugie tyle giermków, pachołków, do tego co nieco ciurów i na ochotnika różnego żywiołu. Razem niespełna tysiąc trzysta

ludzi. Bieleje siwa głowa Onufrego de Thoron. Renald z Sydonu spoważniał. Amalryk Luzynian żałuje w duchu, iż nie poszedł raczej pod Aleppo. Nic dobrego nie może wyniknąć z takiej wyprawy. Król niewidoczny w lektyce. Lektyka uwiązana na pasach między dwa konie. Nieodstępni bracia łazaryści podkasawszy habity biegają co żywo z rozkazami. Wielki, złocisty relikwiarz Świętego Drzewa Krzyża jaśnieje. Przy nim biskup betlejemski Aubert. Za wojskiem nie zdążają żadne wozy, tabory. Nic nie śmie opóźniać pochodu. Cwałem ruszą, komunikiem, uprzedzić Saladyna, nim wejdzie w ciasne wąwozy gór Judzkich. Tam się zastawią u granic królestwa. Na murach grodu cała ludność zebrana żegna odchodzących z płaczem, szlochem, żałośliwym zawodzeniem. Sama biedota. Kto miał pieniądze, uciekł już do Jaffy i ninie czeka spokojnie wypadków, bezpieczny na pokładzie italskiej galery.

Gdy złoty relikwiarz uchyli się pod sklepieniem bramy, wyjdzie z miasta na pył drogi, płacz, zawodzenie, zamienią się w krzyk rozpaczy. Niektórzy skaczą z murów i biegną za odchodzącymi. Nie zostawać im tu samym w mieście, które opuszcza nawet Bóg.

— Saladyn nie pozwoli ruszyć niewiast — zapewnia Sybilla swe dwórki. — Nie macie czego się strachać... Ostatecznie i w haremie można żyć... Saracenowie podobno są bardzo namiętni...

. . . . . . . . . . . . . .

Tysiąc trzysta obrońców wyszło z gór, przebyli dawną krainę filistyńską, a Saracenów jeszcze nie widać. Król popędza. Dalej iść, dalej naprzeciw! Odsunąć bitwę od Jerozolimy. Zatrzymując się tyle tylko, ile potrzeba, by wytchnęły konie, doszli już do Askalonu. Tam, stojąc pod samym grodem, widzą nareszcie wojska Saladyna. Wynurzają się one szerokim półkolem zza wzgórz, z wąwozów (tych samych, w których znalazł śmierć de Montferrat), kołyszą lasem buńczuków, ćmią blask słońca chmurą strzał. Jest ich na oko co najmniej pięćdziesiąt tysięcy. W tym przewaga świetnej jazdy.

W środku szeregów wielki sztandar Proroka mieni się w słońcu jak zielony liść. Tam znajduje się Sal-ed-Din. Przy nim brat jego Turanszah, krewniak Farunszah i ulubiony siostrzeniec Taki-al-Din, młodzik o gorącej krwi. Patrzą ze wzgardliwym zdziwieniem na stojącą w dolinie garstkę. Przednia straż wojsk Franków? a gdzie reszta?

Gdy szpiegowie ormiańscy (nie brak ich nigdy, zawsze gotowi do usług po tej i po tamtej stronie) doniosą, że nie przednia straż to, lecz główne siły i sam król jest z nimi — wodzowie wybuchną śmiechem, a Saladyn sposępnieje.

— Rad jestem, że zajmę naszą dawną ziemię bez rozlewu krwi — powiada — lecz nie miło mi czuć się w takiej przewadze. Taki-al-Din, synu mej siostry, tobie oddaję dowództwo nad wojskiem. Kieruj, jak chcesz, tą wyprawą.

A widząc zgorszone spojrzenia brata i Farunszaha, dodaje:

— Dobrze, gdy młody przyuczać się może pod dozorem starszych.

Taki-al-Din promienieje. Saladyn zawiera się w namiocie dla modłów, bo nadchodzi wieczór. Wojsko staje na nocleg. Garstka Franków weszła w mury grodu, zawarła bramy, gotuje pociski na murach. Gorący Taki-al-Din śmieje się słysząc te przygotowania:

— Szaleniec upierałby się przy obleganiu jednej marnej twierdzy, tracąc daremnie cenny czas. Czas jest albo sprzymierzeńcem wojownika, albo wrogiem. Czas będzie mi przyjacielem. Zostawię garść ludzi, by pilnowała Franków zamkniętych w pułapce, sam idąc zajmować kraj pozostawiony bez żadnej obrony.

— Władco Wiernych — rzecze do Sal-ed-Dina, gdy skończono modły — niech czcigodny Turanszah oblega Franków zamkniętych w Askalonie, my zaś ruszajmy na Jerozolimę śpiesznie, by uprzedzić powrót wojsk walczących z Imal Dinem...

— Pozwoliłem ci kierować wyprawą, jak chcesz — mówi Saladyn z westchnieniem — czyń tak, skoro uważasz, że to wyjdzie na dobre.

— Jestem tego równie pewien, jak że każda litera Koranu jest warta Anioła!

— Więc niech tak będzie.

. . . . . . . . . . . . . . .

Turanszah, wielkorządca Damaszku, brat Władcy Wiernych, czuje się głęboko urażony. Cały dzień siedzi w namiocie, przyzywając wszystkie biesy na głowę siostrzeńca. Zostawił go, starego, doświadczonego rycerza, niby na straży kurnika, dla pilnowania zamkniętych w grodzie Franków. Jakby tu nie wystarczył ktokolwiek inny, młodszy!? Bo o prawdziwym oblężeniu bez machin i katapult nie ma co myśleć. Mury Askalonu kilkakrotnie dobywane, po każdym oblężeniu naprawiane i podnoszone, liczą się do najpotężniejszych. Zresztą, co za sens byłby je niszczyć, teraz, skoro całe państwo za parę niedziel najdalej przejdzie na własność wyznawców Proroka? Nie ma więc nic do roboty. Pozostaje tylko siedzieć i pilnować, by oblężeni nie dostali posiłków z zewnątrz, a to nie jest chyba odpowiednie zajęcie dla starego Turanszaha?...

. . . . . . . . . . . . . . .

Kraj jest istotnie bezbronny jak rozgrodzony dziedziniec. Wojska sułtana idą nie napotykając nigdzie żadnego oporu. Taki-al-Din rozrzucił siły wielkim sierpem sięgającym niemal od granicy do granicy; żołnierzom pozwala łupić, niszczyć i brać jasyr. Saladyn dotrzymuje słowa. Nie miesza się do spraw dowodzenia. Nie prowadzi, lecz idzie za wojskiem. Taki-al-Din jest młody. Upaja go powodzenie. Nie dba, że jedne oddziały wyprzedzają drugie, że stracił z nimi łączność. Idzie bezpiecznie, bez straży i czatów. Po co czaty? Król jerozolimski ze swymi rycerzami zamknięty

jest w Askalonie, a głównym siłom królestwa, walczącym pod Aleppo, Saladyn posłał na tyły świeżą, silną armię. Obaj Zengidzi, sułtan Aleppo i atabek Mossulu, zgodzili się bowiem poddać Saladynowi, byle ich bronił od Franków. Więc w całym kraju nie ma nikogo, nikogo, co by mógł stawić czoło, i wieczorem przy ognisku można ze śmiechem wspominać dalekie od rzeczywistości stare legendy o niezwyciężonych Frankach...

Ramla Ibelinów stoi opuszczona. Cała ludność uciekła zawczasu. W Lyddzie niewielka garstka mieszkańców zamknęła się w warownym kościele św. Jerzego, pierwszym, jaki Krzyżowcy postawili na Ziemi św. Ludzi wyrznięto, kościół rozwalono. Sułtańscy idą dalej. Dochodzą do miejscowości Tell-Dżazer, zwanej w języku Franków Montgisard. Tutaj należy przejść wąwóz Wadi-al-Dar. Już wchodzą weń pierwsze szeregi. Lecz co to?!! Na górującym nad wąwozem wzgórzu Wadi-al-Kabra stoją Frankowie! Złocisty relikwiarz Świętego Drzewa nad nimi... Szczuplutka armia królewska, zamknięta w Askalonie, czarodziejską sztuką stanęła tutaj, zagradzając drogę!

Nie wierzący oczom Taki-al-Din wydaje śpieszne, bezładne rozkazy. Do bitwy! Do bitwy! Ściągać pułki! Ustawiać się w głębokie kolumny!... Łatwo rozkazać, nie łatwo wykonać. Zajęte grabieżą wojska rozrzucone są po całej okolicy i trudno je zgromadzić. Darmo chrapliwie, zwołująco ryczą surmy i świszczą przenikliwie piszczałki.

Skąd się wzięło wojsko Baldwina IV? Ano, zmylili czujność Turanszaha, a raczej jego zastępcy, bo sam wódz nie raczył nawet spoglądać na gród. Uproszeni mieszczanie hałasowali na murach, symulując wycieczkę, a gdy cała uwaga oblegających skierowała się na ten odcinek, właściwe wojsko z królem i Świętym Drzewem wyszło niepostrzeżenie z grodu południową bramą. Mało ich było, przeto zdołali nie zwrócić na siebie uwagi. Dopieroż minąwszy niedbałe straże Turanszaha, spięli ostrogami konie, a ruszyli z kopyta na przełaj w ślad za sułtanem. Sadzili całą noc i cały dzień. Lektyka królewska uwiązana między końmi kołysała się, podrzucana gwałtownie, i bracia lazaryści zaglądali do niej z konia z niepokojem, zali miłościwy pan jeszcze żyw?

Ale z trudem zbierając dech, Baldwin odpowiadał: — Skorzej, skorzej! Musimy im zabiec drogę!

I zabiegali. By Saraceny nie spostrzegły się za wcześnie, skręcili na zachód, zatoczyli łuk, nadłożyli więcej niż dziesięć mil, ale pod Montgisard przybyli pierwsi. Po drodze spotkali obu Ibelinów pędzących w dwieście koni na odsiecz. Pierwsi rzucili Aleppo, by przybieżać tutaj. Cenna to pomoc. Teraz do bitwy! do bitwy! I po tej stronie grzmią trąby. Już bracia lazaryści odziali króla w pancerz i hełm z zamkniętą przyłbicą. Wyjęli go z lektyki, podtrzymują, bo skołatany jazdą nie może ustać na nogach.

— Konia! konia prędzej! — woła. — Co?! ten?... Ja nie chcę tej szkapy! Mojego dobrego

konia! Tego spod Ain Anżar! Kazałem, by go zabrano! Jeszcze się chyba nie zdążył postarzeć?!...

— Miłościwy panie... to ostry koń... Nie zdołacie go utrzymać...

— Czyż ja go będę wstrzymywał?! Taki mi właśnie potrzebny, co sam poniesie na nieprzyjaciela! Dawajcie mojego królewskiego konia!...

Trzęsie się z niecierpliwości. Brat Mateusz ukradkiem ociera oczy rękawem. Giermcy pobiegli. Trąby rzwą. Piszczałki w szeregach muzułmańskich rozdzierają uszy. Już wiodą rumaka. Toczy okiem, strzyże uchem, goreje chrapem. Królewski koń. Siodło uprzednio przygotowane ma wysoki tylny łęk. Bracia lazaryści ostrożnie sadzają króla na siodło. Przywiązują mocno wpół pasami do łęku. Bezsilne stopy do strzemion, strzemiona wiążą pod brzuchem bachmata. Nie spadnie teraz, nie chybnie się w siodle, choćby go włócznią przebito.

Na hełmie złota zębata opaska. Dłoń ogniła, bezpalca nie ujmie miecza, który lazaryści przywiązują mocno do żelaznej rękawicy. Staje się sztywnym wydłużeniem przedramienia. Ramieniem jeszcze król włada. Jeszcze miecz w górę podźwignie. Ogląda się na biskupa, który trzyma Święte Drzewo. Nieśmiały, łagodny staruszek patrzy dzisiaj nieulękle. Obejmuje świętość oburącz. Relikwiarz jest bardzo ciężki, przeto posiada oprawę pozwalającą oprzeć go o grzbiet koński i strzemiona. Prócz tego dźwigający święte drzewo przypina je do siebie pasem. I w natłoku śpiesznych myśli przewija się przez głowę Bald-

wina spostrzeżenie, że zarówno ten stary przywiązany do drzewa człowiek, jak on, na poły trup, wiodący garstkę na dziesięćkroć liczniejszą potęgę, mają w sobie jakiś sens, ważny sens... jakieś stwierdzenie supremacji ducha, a może jeszcze coś więcej?...

Nie pora myśleć! nie pora! Wpija oczy w Święte Drzewo, które dźwigało Odkupienie świata. Odwykłe od blasku oczy razi nieznośnie słońce olśniewające przez kraty przyłbicy. W tym świetle zda się, że Drzewo Krzyża staje się wielkie, wielkie, sięga nieba, zaczepia głową o chmury. Muzułmanie widzą się mali, to znowu ogromni, bliscy i nagle dalecy. Rycerstwo stoi już w szyku gotowe. Biskup Aubert z wysiłkiem kłoni relikwiarz błogosławiąc nim szeregom. Baldwin modli się gorąco, jak się modlą ludzie w minucie śmiertelnej:

— ...Nie daj, Panie, aby przy mnie upadło królestwo... Na Ciebie cały się zdaję... Nie opuścisz mnie... Dawid był słabym otrokiem, a Goliat wielkim olbrzymem... Uczyń mnie, Panie, Dawidem!...

I skinąwszy głową Baldwinowi Ibelinowi i Renaldowi z Sydonu, którzy trzymają z dwóch stron rozpięte wodze wierzchowca, unosi miecz do góry. Rzuca się w przód z okrzykiem bojowym następców Godfryda:

— Christus vincit! Christus regnat! Christus imperat!...

— Miłościwy panie! — woła Balian Ibelin — na mojej ziemi walczymy! Proszę o zaszczyt pierwszego natarcia!

I nie czekając odpowiedzi, sadzi ze swymi ludźmi, gdzie najgęstsza masa wrogów, gdzie w oddaleniu łopocze wielka, zielona chorągiew. Przebija się wskroś szeregów, zawraca i znowu prz-bija.

Ten przykład zagrzewa pozostałych. Zresztą złocista opaska królewska i towarzyszący jej proporzec widnieją daleko w tłumie, w samym jądrze srogiej walki, i nie wart miana rycerza, kto by się z królem w dzielności nie zrównał. Z głębin plemiennego instynktu powstaje stare bohaterstwo dziadów. Walczą, jak niegdyś walczyli Krzyżowcy. Walczą, jak gdyby za każdym stało archanielskie ramię. Święte Drzewo skrzy się w słońcu. To widomy promień łaski.

Zrozpaczony Taki-al-Din rzuca się jak oszalały, lecz niewiele już poradzi. Jego woje zbyt zżyli się z myślą, że nie ma przed nimi żadnego nieprzyjaciela, by nie czuć teraz chęci do odwrotu. Poza tym nie zdołano ściągnąć więcej niż połowy wojska rozproszonego w okolicy. A skoro Frankowie stanęli tutaj czarnoksięską sztuką, nie przyjdzie im chyba trudno zdwoić się, stroić, rozmnożyć? Jak w starych pieśniach o Frankach, co pierwsi tutaj przybyli...

I mimo wszelkie wysiłki dowódców szeregi muzułmańskie poczynają się cofać, cofać, coraz gwałtowniej, bezładniej. Odwrót zmienia się w ucieczkę. Wpadają na własne tabory, przeciążone łupem i jeńcami. Już się tam dobrali rycerze, rozcięli więzy, rozdali broń. Zamieszanie się wzmaga. Na do-

miar nadciąga burza. Spada przedwczesny mrok. Wicher wyje, dusi pyłem.

Saladyn, siedząc na koniu, zagryza wargi oszołomiony. Sen to, czy jawa? Jegoż to gromią? Bo pogrom jest niewątpliwy... Taki-al-Din, niefortunny dowódca, ukochany siostrzeniec, zginął. Spadł zarąbany co ino. Poległ brat jego Ahmed, poległ Farunszah. Frankowie walczą jak lwy. A cóż mówiono o królu, że go już zżarła choroba? Proporzec jego widnieje, gdzie idzie najgęstsza walka... Jak się wymknął z Askalonu? Przeklęte, dziwaczne plemię! To niedołężne, zdradzieckie, przedajne, to znów nieścigłe jak wilcy, gorące, rwące jak płomień?

Pośród powszechnej ucieczki gwardia mameluków w żółtych aksamitnych kaftanach, otaczająca Saladyna, stoi murem. Ci nie pierzchną. Z chrześcijańskich dzieci w jasyr wziętych chowani na chlebie sułtańskim i dobierani chłop w chłopa. Nie cofają się nigdy, wierne brytany umiejące zginąć za swojego pana.

Przeciw temu oddziałowi zwraca się teraz druzgocące ramię Franków. Balian Ibelin zdołał wbić się klinem, odciąć sułtana i mameluków od głównych rozpierzchłych sił. Baldwin Ibelin i Renald z Sydonu, w lewej dłoni dzierżąc wodze królewskiego konia, kolanami, piętami kierując swoimi, rąbią zbrojną w miecz prawicą wszystko dookoła. Stary de Thoron w jednym rzędzie z nimi odzyskał siły młodzieńcze. W zrzędliwej starości nie sądził, by Bóg pozwolił mu przeżyć jeszcze taką bitwę.

Nie sądził, by mogła się jeszcze zdarzyć podobna potrzeba w upodlonym i skarlałym świecie. Ciż sami to wokół rycerze, którym zarzucał upadek ducha i małość?!

Topnieje gwardia sułtańska. Żółty aksamit zmienia się w purpurę. Osłupiały syn Ajuba widzi już niedaleko rozgorzałe końskie chrapy, podniesione miecze. Jeszcze trochę, a będzie wzięty do niewoli. Saladyn, Władca Wschodu, jeńcem Baldwina Trędowatego? Na Allacha! Raczej ucieczka! I oto po raz pierwszy w życiu niezwyciężony Saladyn ucieka. Połowa żyjących jeszcze mameluków osłania jego odwrót, wytrzymując na sobie natarcie; połowa otoczywszy sułtana, zwijając wielką chorągiew w zanadrze, przerąbuje się na skrzydło, uchodzi w mroku burzy i nadchodzącego zmierzchu. Zmierzch ratuje Władcę Wiernych. Gnany jedną myślą: omylić tropy pogoni, zapuszcza się w bezdroża pustynne dawnej prowincji Amalek, dawnego kraju plemienia Symeon.

Między wzgórzami Ard-al-Ramla i Wadi-al-Kabra walka trwa mimo ciemności i rozpoczynającej się ulewy. Frankowie wyszukują rozpierzchłe oddziały. Muzułmanie dają się pętać jak barany. Sal-ed-Din przepadł. Nikt nie wie, co się z nim stało. Czy poległ, czy wzięty w jasyr? Taki-al-Din i Farunszah polegli. Nie ma wodza. Cóż znaczy wojsko bez wodza? Nie więcej niż uwiędły liść!

Których nie pojmano w pęta, uchodzą co sił. Bezładnie, byle przed siebie, byle daleko od wro-

ga. Po drodze rzucają wszystko, co ich obciąża. Frankowie nazajutrz wyłowią żerdziami z płytkiej trzęsawy al Hasi porzucone zbroje, hełmy, tarcze i sajdaki.

Na polu bitwy, w strugach deszczu, przy świetle pochodni lazaryści zdejmują króla z konia, jak uczniowie zdejmowali Ciało Pana z Krzyża. Biskup Aubert przypada do niego z łkaniem:

— Miłościwy panie! Nie było jeszcze takiego zwycięstwa!

— Christus vincit... — szepcze król w kratę przyłbicy. Brat Mateusz obejmuje go wpół, przerzuca sobie przez szyję bezwładne ramię, gdy pozostali odwiązują sznury krępujące chorego w siodle. Pozbawiony oparcia, słania się, opada, osuwa z rąk Mateusza. Spadnie na ziemię! Stojący opodal, z Ibelinami przybyły Wit Luzynian przyskakuje odruchowo, podpiera.

— Nie dotykać! — bełkocze Baldwin rozkazująco. Zresztą pomoc niepotrzebna. Już podbiegł brat Marek. Układają króla na noszach niby na marach. Odwiązują miecz, lecz nie zdejmują rękawic i hełmu. Szanują jego wstyd. Tu ludzie patrzą.

Ecce homo! — myśli biskup. — Oto bezwładne truchło, co zda się tylko litość wzbudzać może. A przecie jego dziełem, wyłącznie jego dziełem — dzisiejsze wielkie zwycięstwo. Jakimże słabym stworzeniem jest człowiek, a zarazem jakże wielkim!

Wit Luzynian stoi z boku, zmieszany, zły na samego siebie. Podskoczył bez zastanowienia, zapominając, że to trędowaty. Ale dotknięcie przez zbroję nie może chyba zaszkodzić? Na pewno nie.

Deszcz pluszcze głośno po głazach. Zapoczątkowany burzą, padać będzie dziesięć dni, rzecz niesłyszana w suchej Palestynie. Uciekający muzułmanie błądzą w górach Judzkich przemokli, zziębli, strwożeni. Kręcą się bezradnie pośród wezbranych potoków, nagle powstałych wodospadów, kryją się w pieczarach. Niektórzy, gdy dzień nadejdzie, sami pójdą szukać Franków zwątpiwszy o możności ratunku.

Sal-ed-Din, syn Ajuba, z wierną garścią mameluków ucieka, ucieka. Nie do Damaszku, gdzie Frankowie łacno mogą przeciąć dostęp, ale do Egiptu. Daleka droga dla zbiega, bez paszy, bez pożywienia, przez białe piaski pustynne. Konie padają z utrudzenia. Władca Wiernych idzie pieszo. Idąc rozmyśla. Oto objawiła się moc. Straszna jak żywioł, sprzysiężona z żywiołami. Moc, o której mówiono, że była tylko legendą, tworem wyobraźni dziadów. Oto jest, żywa, istotna. Dlaczego przejawia się tak rzadko? Dlaczego, posiadając ją, królestwo jerozolimskie nie jest najpotężniejsze na świecie?

Dzikie wrzaski przerywają rozmyślania Saladyna. To koczowniczy Beduini okrążają gromadkę zbiegów. Darmo im głosić, kto stoi przed nimi. Darmo przyzywać Proroka. Chciwe kruki nie dbają o sułtana ni o Mahometa. Dbają o łup. Upadający

z sił wędrowcy mają bogate odzienie. Beduini kraczą drapieżnie jak sępy. I wielki Sal-ed-Din, wyciągnąwszy szablę, musi walczyć do upadłego we własnej obronie.

Nareszcie nieopodal Suezu napotyka pierwsze swoje posterunki. Posławszy wieść do Kairu, zatrzymuje się tutaj, czekając na przybycie koni i orszaku. Czekającego zastaje Turanszah. Stary wódz cofnął się od Askalonu wybrzeżem. Jest złamany, zgnębiony, sobie przypisując winę poniesionej klęski. Oczekuje zasłużonego gniewu i surowej kary. Lecz Sal-ed-Din nie czyni bratu wyrzutów.

— O Turanszahu, synu Ajuba — powiada — nie były to moce ludzkie!

Słabo pocieszony tym stwierdzeniem, Turanszah zdąża przodem do Kairu. Stanąwszy na placu przed meczetem Ibn Tulun, woła rozgłośnie do tłumu:

— Radujcie się, gdyż Władca Wiernych powraca cały i zdrowy!!

Tłum milczy. Miedzianoskóry derwisz wdrapuje się na rzeźbioną studnię:

— Na Allacha! — woła — czyż jedynym zwycięstwem Władcy Wiernych jest, że uratował życie?! Przyznajcie szczerze, że was rozgromili!?

Turanszah mierzy groźnym wzrokiem śmiałka, ale derwisza ukarać nie wolno. Zresztą tłum stoi widomie po stronie krzykacza. I wódz zawraca do Saladyna, aby mu donieść o nastroju miasta.

— Wrogowie twoi, Władco Wiernych, nie stracili czasu. Trzeba zwrócić na nich baczną uwagę. Egipt jest ważniejszy niż wszystko inne. Zawrzyj pokój z Frankami, by móc zająć się Egiptem.

— Tak uczynię, Turanszahu.

. . . . . . . . . . . . . .

W tryumfie wraca rycerstwo do Jerozolimy. Książę Rajmund z Tripoli z głównymi siłami królestwa przybywa na czas, by być świadkiem uroczystego wjazdu zwycięzców do grodu. Biją rozgłośnie dzwony. Szaleje z radości ludność. Joannici, templariusze nie ukrywają niezadowolenia. Im się nie poszczęściło. Wyprawa na Aleppo zakończyła się odwrotem. Wielki mistrz Odo de St. Amand poległ. Na jego miejsce obrano Gerarda de Ridefort. („Lucypera na miejsce Belzebuba" — mówią o tym obiorze postronni.)

O, nieudana wyprawa! Nic nie zyskali, stracili sporo ludzi, a tymczasem ten tu zdechlak odniósł piorunujące, wspaniałe zwycięstwo. Saladyn przed nim uciekał!

Zamknięty w lektyce Baldwin nie widzi zarówno twarzy rozradowanych jak niezadowolonych. Mgła gęstsza niż zasłony lektyki przesłania mu oczy. Ledwo rozróżnia zarysy postaci. To z wysiłku. Z nadludzkiego wysiłku w czasie bitwy pod Montgisard. Na poły ślepy, słabszy niż kiedykolwiek, przecie przytomny i wciąż jeszcze żywy, spoczywa na wznak na łożu, z którego już się nie dźwignie. Raz tylko jeszcze podniosą go pieczoło-

wite dłonie braci lazarystów, usadzą sztywno na tronie: gdy Saladyn przyśle prosić zwycięzcę o pokój.

. . . . . . . . . . . . . . .

Wzywa do siebie Ibelina z Ramli.

— Druhu dobry, za osiem niedziel kończy się żałoba Sybilli jerozolimskiej. Przyładźcie wszystko, byś mógł ją wtedy natychmiast poślubić. Radbym widział ją już zamężną, a ciebie na czele królestwa. Ja nareszcie odchodzę. Ślepym. Nie widzę cię wcale... Bóg zwolił, że zdaję ci państwo nie poniżone, lecz w chwale...

— Miłościwy panie, nikt z nas, zdrowych mężów, nie poprowadziłby tej potrzeby lepiej niż wy.

— Bóg ją prowadził, nie ja. Bóg miłosierdzie okazał... Przecie pomimo zwycięstwa nie lekkie będzie twoje królowanie. Siła bolączek. W Karaku Moabickim de Chatillon, de Ridefort wielkim mistrzem... Gorszy od nieboszczyka St. Amanda, bo chytrzejszy... A najgorsze, że nas mało. Mało rycerzy! Coraz rzadziej przyjeżdża ktoś z kraju, by zostać...

Urwał zmęczony mówieniem. Ibelin milczał, nie będąc z przyrodzenia wielomównym. Król podjął po chwili:

— Kto zacz ów rycerz, co chciał mnie podtrzymać po bitwie? Pewnie z nowych, że się mnie nie lękał dotknąć?...

— Luzynian, młodszy brat Amalryka... Przyjechał niedawno, pragnąc tu pas zyskać. Był z nami pod Aleppo. Tęgo stawał, dobra krew...

— Dajcież mu pas i ostrogi, a powiedzcie, że to ode mnie. Ceremonii książę Tripoli dopełni... Spodziewam się, że ten rycerz zostanie tu jak Amalryk?...

— Nie zostanie, miłościwy panie. Mówił mi, że ino pas otrzyma, powróci do kraju, bo tam ma narzeczoną... Gładysz z niego wielki i pewnie ta dziewka lęka się, że go jej inne zabiorą...

— Nie uważałem, jak wygląda... Takiż urodziwy?

— O, bardzo. — Ibelin aż świsnął, przez wybite zęby z przejęcia. — Rzadko się trafia u mężczyzny podobna uroda. Ale mimo to dobry i uczciwy chłop.

— To szkoda, że nie zostaje...

---

## ROZDZIAŁ XII.

### GÓRA ZGORSZENIA.

— Niech wasze dostojności raczą nie wymagać ode mnie rzeczy niemożliwych — bronił się Renald Sydończyk, na dobre rozgniewany.

Ale królewny nie myślały ustępować.

— Obiecaliście, rycerzu!

— Daliście słowo!

— To było dawno. Dzisiaj ta obietnica nie ma znaczenia...

— Jak to, nie ma znaczenia?! Wtedy karmiłam dziecko i nie mogłam jechać. Umówiliśmy się, że pojedziemy, gdy je odłączę... Już jest odłączone. Obiecaliście. Jedziemy.

— Mały królewicz już odłączony? — powtórzył Renald ze zdziwieniem. — Czy nie za wcześnie?...

— Mężczyźnie nic do babskich, dzieckich spraw. Co się na tym rozumiecie? Odłączyłam małego, bo krzyczał całe dni...

— Teraz nie krzyczy?

— Krzyczy tak samo, ale przynajmniej nikt nie powiada, że to moja wina... Przedtem pani matka ciągle: „A to przez ciebie, a to twój pokarm niedobry, a to nie dbasz, a to to, a to owo". Zawsze na mnie... Więc kiedy jedziemy?

— Już powiedziałem pokornie, iż nie pojedziemy, chyba że z wiedzą miłościwego pana albo rycerza Ibelina...

— Nie żartujcie. Ani jeden, ani drugi nie pozwolą.

— Wiem o tym i dlatego nie mogę jechać bez ich wiadomości.

— Tchórz! Tchórz! Boi się!

Renald poczerwieniał dotknięty do żywego.

— Nie jestem tchórzem, ale uczciwości muszę dochować.

Jak łatwo odgadnąć, spór toczył się o zamierzoną niegdyś wycieczkę na Górę Zgorszenia. Obie królewny wróciły natarczywie do tego zamiaru. Izabela przesiadywała coraz częściej u przyrodniej siostry. Dwór matczyny był poważny i nudny, przygotowania do ślubu Sybilli niezmiernie nęcące, a co najważniejsza: Onufry de Thoron, niezbyt chętnie widywany przez królowę wdowę Marię Teodorę Porfirogenetkę, zadomowiony u Agnieszki, spotykał się tu ze swą ukochaną.

Dziś, jak na złość, Onufrego nie było, zachorował przed kilku dniami na febrę dziesiętnicę. Królewny, pozbawione zwykłego towarzysza, tym natarczywiej domagały się od Renalda wypełnienia obietnicy.

— Nie chcecie nam towarzyszyć — groziła Sybilla. — Obaczycie, co będzie, gdy pojedziemy same. A pojedziemy, jak mi Bóg miły! Opryszki nas porwą, zażądają okupu, może pohańbią, królestwo zginie z tego powodu... Królestwo zginie.

Słyszycie! Dla królestwa trzeba wiele poświęcić, jak mówi mój brat, lepur. Poświęćcie się zatem! Jeżeli tego nie uczynicie, a nas spotka zła przygoda, powiemy, iż to wasza, wyłącznie wasza wina. Powiemy, żeście sprowadzili Godfrydowego giermka, by nam opowiadał o Górze Zgorszenia, rozpaliliście naszą ciekawość, a potem nierycersko odmówili swojej opieki...

— Jesteście dwie szalone głowy do wszystkiego zdolne — mruczał Renald gniewnie. — Mówcie wszakże, co chcecie, ja nie pojadę...

Sybilla rozpłakała się z rozdrażnienia. Łzy jej nie szpeciły. Wiedziała o tym i nie wstrzymywała ich wcale.

— Oto mój los — biadała — oto moje życie! Zawsze to samo! O co chodzi? O drobiazg, zachciankę, głupią zachciankę, przyznaję, ale i tego nawet mi nie wolno... Co ja miałam z życia? Tamte trzy miesiące z Wilhelmem... To wszystko... Co mnie teraz czeka? Nudy... nudy... nudy... Nic mi nie wolno. Nic! Pojechać chcę o półtorej mili zobaczyć stare zwaliska i też nie mogę...

Ocierała oczy pachnącym białym płatkiem. Renald mimo woli wyobraził sobie przy jej ślicznej postaci wiecznie poważnego, szczerbatego Ibelina i pomyślał, że w żalach królewny było nieco słuszności. Niedobraną będą stanowili parę. Biedna kobieta! Współczucie uczyniło go miększym.

— Gdybym wiedział, że da się pojechać niczyjej uwagi nie zwracając! — westchnął.

Okrzyk radości obu sióstr powitał to cofnięcie się z nieprzejednanego stanowiska.

— Ależ da się, da na pewno! Już wszystko obmyśliłyśmy!

— Nikt się nie dowie?

— Wyjdziemy rano do klasztoru, niby to w odwiedziny do babki Iwetty. Pomodlić się za pomyślność małżeństwa Sybilli... Paziów i dwórki odprawimy od bramy i powiemy, by przyszli po nas przed wieczorem. W rzeczywistości wyjdziemy zaraz. Pod murem będziecie czekali na nas z końmi. Po południu wrócimy do klasztoru... A co, czy nie dobrze obmyślone?

— Nie bardzo, bo w klasztorze zadziwią się tym powtórnym przyjściem...

— O, i to już przewidziane! Jedna z nas zostawi jałmużniczkę albo inny drobiazg i niby po to wrócimy...

— Co za chytrość! Cóż dziwnego, że jesteśmy zawsze wodzeni na pasku przez niewiasty, my, prostoduszne stworzenia! Zaczynam wierzyć w możliwość przedsięwzięcia. Sądzę jednak, że poczekamy, aż Onufry wyzdrowieje?

— Nie chcę czekać! — zawołała Sybilla. — Nie wiadomo, jak długo Onufry będzie chorzał, a mój ślub ma być za parę tygodni. Jedźmy jutro! Bez odkładania!

— Sam za nic nie pojadę. Musi nas być przynajmniej dwóch mężczyzn, by bronić waszych dostojności w razie napadu.

— Weźcie którego z rycerzy!

— Ciekawym kogo?

— Plebanus de Boutron!

— Plebanus!? Łatwiejbym na taką imprezę namówił Ibelina, niźli jego. Dość wspomnieć czarta, by się żegnał i na boki oglądał...

— Brise Barre! Choćby nas stu zbójów napadło, da radę...

— Co z tego? Silny w garści, ale gadatliwy, gorżej baby. Rozpowie wszystkim.

— Amalryk de Lusignan!

— Ten ostrożniś!? Pierwszy by miłościwemu panu doniósł, co zamierzamy... Ale... kto wie... mam myśl...

— Jaką?! Jaką!...

— Jeżeli znajdę odpowiedniego rycerza, czy wasze dostojności zechcą obiecać, że nie zdradzą się przed nim, kim są? Przedstawiłbym was jako moje krewniaczki przybyłe z pielgrzymką do Grobu świętego na intencję uleczenia się z grzechu ciekawości...

— Och, doskonale! Dajemy słowo królewskie!

— Postaram się zatem znaleźć towarzysza. Żal mi jeno, że wasze dostojności rozczarują się srodze, bo w tych zwaliskach na pewno nic nie ma...

Pożegnawszy obie królewny Renald z Sydonu powlókł się markotny do domu zajmowanego przez Amalryka Luzyniana. Zły był sam na siebie, że uległ namowom niewieścim. — Samochcąc włażę w kabałę — myślał, puszczając

w ruch ozdobną mosiężną kołatkę. Wyjrzał odźwierny. Renald dowiedział się od niego z zadowoleniem, że rycerz Amalryk wyjechał na łowy, a młodszy panicz jest sam.

Wit nie towarzyszył bratu, gdyż zbierał się do odjazdu. Czuł się szczęśliwy i wesół jak ptaszek. Przed tygodniem Rajmund z Tripoli pasował go uroczyście na rycerza. Wręczył mu pozłocisty pas i srebrne ostrogi. Prócz tego Wit podobnie jak inni wywiózł spod Montgisard sutą zdobycz. Sam wprawdzie nie byłby umiał jej zebrać, ale przewidujący i skrzętny Amalryk myślał za dwóch. Wraz z Maciejem de Guerce wzięli siedem przednich bachmatów z bogatymi rzędami i cztery wozy pełne różnego dobra. Broń damasceńska, naczynia srebrne i złote, kosztowne szaty. Wit po raz pierwszy w życiu zetknął się z przepychem wschodnim, z baśniowym bogactwem namiotu sułtana, toteż był zachwycony i oczarowany. Z uzyskanej zdobyczy Amalryk potrącił sobie wartość pieniędzy wyłożonych na przyjazd brata. Resztę rozdzielił uczciwie pomiędzy nich obu, nie zapominając też o starym giermku.

Niespodziewanie Wit ujrzał się właścicielem sporego majątku, co potęgowało jego zadowolenie. Wybaczył Amalrykowi, że go tu sprowadził. Przeciwnie, był mu nawet szczerze wdzięczny i wyznawał to otwarcie.

...Bo też poszczęściło mu się, poszczęściło! Wraca pasowanym i ze skarbami. Może bez lęku stanąć przed panem de Sainte-Croix i prosić

o rękę Łucji. Pas otrzymał z polecenia samego króla. Brał udział w najpiękniejszej wiktorii, jaką widziało królestwo jerozolimskie. Miał możność odznaczyć się. A to wszystko dzięki bratu!...

— Jedź już, jedź — odpowiadał Amalryk znudzony. Odkąd pokrył poniesione koszta, poweselał i wyzbył się również resztek żalu do rodziny. Pragnął jednak ujrzeć Wita jak najprędzej na morzu. Dręczyła go ciągła obawa, że łatwowierny smarkacz wygada się przed kimkolwiek o właściwych powodach przyjazdu.

— Pojutrze jadę — oznajmił Wit bratu ruszającemu na łowy z Jocelinem de Courtenay — galery z Jaffy odpływają w czwartek.

— Powrócę do tego czasu, jeszcze się zobaczymy. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Wit powtórzył okrzyk i nucąc wesoło zabrał się do pakowania zdobycznych cenności. Miłe to było zajęcie! Przyjechał z niczym, w jednym odzieniu, a teraz tyle bogactwa posiada! Ma z czym powrócić do domu. Szczególnie zachwycały go tęczowe bańki szklanne, których tajemnica wyrobu nieznana była jeszcze w Europie. Pakował je własnoręcznie, myśląc o radości Łucji. O najmilejsza! Za miesiąc, jak Bóg da, będzie przy niej. Trzy miesiące i pół, jak wyjechał, to razem niecałe pięć. Nie mogła go zdążyć zapomnieć. Nie zapomniała na pewno. Dla niej będą te szkła i piękna zapona. Matce ubierze się w bogaty wschodni strój, ten oto turban ze spięciem brylantowym, i powie: „Jestem sułtanem! To jeszcze

więcej niż królem!" Dopieroż będzie śmiechu!... Byle się te szklanne bańki nie potłukły... Jakimi sztukami pogany złowiły w nich tęczę? Oj, będzież się Łucja cieszyć! Oj, będzież się dziwić!...

Zatopiony w swym zajęciu, ani posłyszał kroków Renalda z Sydonu i obrócił się dopiero, gdy zięć bogatego Abirama uderzył go po ramieniu.

— Chcę was prosić o przysługę — rzekł bez wstępu.

Wit uśmiechnął się uprzejmie.

— Radbym wam we wszystkim dogodził, szlachetny rycerzu, ale pojutrze wyjeżdżam do kraju...

— Pojutrze? Użyczcie mi zatem jutrzejszego dnia — prosił Renald. W duszy pomyślał: przednio się składa. Wyjeżdża, nie zdąży przed nikim rozgadać.

— Chętnym sercem! — wykrzyknął Wit. Był sam taki rad i szczęśliwy, że pragnął zadowolnić każdego. — O co chodzi?

Renald z zakłopotaniem pogładził swą cenną brodę. Nawet takiemu giętkiemu kpiarzowi jak on niełatwo przychodzi okłamywać uczciwego rycerza. Niech piekło pochłonie baby! Na szczęście młody Luzynian wyjedzie i nigdy się nie dowie, że został oszukany.

— Sprawa jest błaha — zaczął — śmiech o niej mówić. Dwie moje krewniaczki, z pielgrzymką przybyłe, chcą obejrzeć zwaliska na Górze Zgorszenia... Wiecie?

Wit nie wiedział.

— Mniejsza z tym. Opowiem wam po drodze. Do tych ruin nikt nie zachodzi, bo tam pono straszy. A białogłowom szczególnie nie przystoi ciekawić się nimi. Mówią, że bezeceństwa srogie działy się tam kiedyś... Ale białki jak to białki. Uparły się, że nie odjadą, nie zobaczywszy onych zwalisk. Obiecałem, że jutro tam z nimi pojadę.

Wit słuchał z zaciekawieniem. Jak dotąd nie widział, na co on miałby być potrzebny?

Renald pośpieszył wyjaśnić.

— Boję się z dziewczętami jechać samotrzeć, bo nie duchy tam mogą być, ale zwykłe zbóje. Trza być co najmniej we dwóch. Miał z nami jechać Onufry de Thoron, ale zachorzał, a niewiasty spokoju mi nie dają...

— Chcecie, abym pojechał na miejsce Onufrego?! — zawołał Wit ochoczo. — Ależ najchętniej! Myślałem, żem już wszystko w Jerozolimie widział, a oto jeszcze coś nowego obaczę...

— Wdzięcznym wam za gotowość, jeno... — tu Renald poczuł się znów zakłopotany — radbym, aby o tym nikt nie wiedział... Wytłumaczę wam później, dlaczego... Gadaliby o moich krewniaczkach, bo rzekłem już, że nie przystoi białogłowom mówić o tej górze, a cóż dopiero tam jechać!...

— Rycerskie słowo daję, że nie powiem nikomu — rzekł Wit i aż zachłysnął się samym brzmieniem tego zdania. Pierwszy raz, odkąd otrzymał pas, miał sposobność je użyć. W duchu zresztą dziwił się ostrożności pana Sydonu. Choć niedawno przybyły, zdążył już zauważyć, że tu-

tejsze niewiasty nie były wcale płochliwe, ani przesadnie lękające się obmowy.

Lecz cóż go to obchodziło?

— Daję rycerskie słowo, że nie wspomnę o naszej jeździe nikomu — powtórzył wyciągając dłoń.

Renald uścisnął ją i poweselał.

— Oddacie mi wielką przysługę, rycerzu. Z kobietami, gdy się uprą, trudna, trudna sprawa...

. . . . . . . . . . . . . . .

Kopyta końskie stukały po kamieniach. Godzina była wczesna, więc upał jeszcze zbytnio nie dokuczał. Jechali we czworo: Izabela z Renaldem przodem, Sybilla i Luzynian za nimi. Izabela z rozczarowaniem przyglądała się niedalekiej już Górze Zgorszenia. Zwykłe, niezbyt wysokie wzgórze pokryte rumowiem. Wszystkie wzgórza okoliczne wyglądają podobnie. Nie poznać z daleka, czy piętrzą się na nich ruiny budowli ręką ludzką stawianych, czy głazy przez skłóconych aniołów czasu stworzenia świata rzucone.

— Zapewniam waszą dostojność, że i z bliska nie zobaczymy nic więcej — powtarzał Renald.

Sybilla nie zwracała uwagi na wykrzykniki siostry, gdyż nie patrzyła na Górę Zgorszenia. Przyglądała się uważnie jadącemu obok niej Luzynianowi. Kachna de la Haye miała słuszność: piękny jak anioł. O czym też myśli, nie odzywając się wcale?...

Zagadnęła go o to głośno. Uśmiechnął się swym młodzieńczym, prześlicznym uśmiechem.

— Jutro odjeżdżam z powrotem do kraju, a setnie się już za nim stęskniłem — objaśnił nie patrząc na nią. Onieśmielała go. Nie rozmawiał jeszcze nigdy z podobną niewiastą. To musiały być wielkie panie, te Renaldowe krewniaczki! Pachniały wonnościami. Miały malowane liczka i barwione paznokcie. Tamta jadąca z przodu, to jeszcze prawe dziecko, ale ta starsza... Dziwnie spogląda i takie ma giętkie, niepokojące ruchy... Nie wiadomo nawet, czy jest urodziwa, czy nie?... Chyba tak, ale przede wszystkim inna... Inna niż matka, inna niż Łucja, inna niż wszystkie dziewczęta, jakie kiedykolwiek całował. Nie można jej porównać z nikim...

Jechali w milczeniu obok siebie. Przed nimi Izabela śmiała się i gadała nieustannie z Renaldem. Choć Góra Zgorszenia zapowiadała rozczarowanie, była zadowolona z wycieczki. Najwięcej bawiło ją to, że w pałacu wszyscy sądzą, iż obie modlą się pobożnie w klasztorze za przyszłe szczęście Sybilli.

— Słyszysz, siostro? Za pomyślność twego przyszłego pożycia!

Sybilla wzruszała gniewnie ramionami. Dobrze śmiać się Izabeli. Nie ją czeka łoże z nudziarzem. Sposępniała i przygasła. Dziwiła się sama sobie, że upierała się przy dzisiejszej wyprawie. Cóż jej ona przyniesie? Na Górze Zgorszenia nie zajdzie nic ciekawego. Widać stąd, że nic tam nie ma prócz kupy kamieni. Śliczny chłopiec, jadący obojętnie obok niej, to niby życie samo, życie, któ-

rego ona nie zazna, które koło niej przechodzi. Wyjeżdża sobie jutro zadowolony, szczęśliwy... Na pewno ma w kraju swoją miłą... Kochają się oboje. Dlatego uśmiecha się tak radośnie, mówiąc o wyjeździe.

Rozgoryczona, markotna, spuściła oczy w dół, ku kamienistej, szarej drodze. Korzystając z tego Wit z kolei przyglądał się jej uważnie. Dochodził do przekonania, że jednak jest piękna. Piękna na pewno. Jakiż ma delikatny zarys policzków, długie rzęsy, smukłą szyję. Dlaczego taka smutna? Czy także tęskni za kimś pozostawionym daleko?...

Sybilla podniosła głowę, napotkała jego wzrok. Zaczerwienił się jak żak. Nie wiedzieć czemu, ten rumieniec przywrócił jej dobry humor.

— Dawno jesteście w Jerozolimie, rycerzu? — zapytała.

— Prawie trzy miesiące.

— Jak się wam tu podobało?

— Nie jesteście tutejszą, szlachetna pani, tedy mogę otwarcie powiedzieć, że nie podoba mi się wcale. Ani kraj, ani ludzie. Z radością wyjeżdżam. Trudno tu przywyknąć. Na większe umęczenie chyba wybrał sobie Pan nasz tę krainę. A toć to istna pustynia! Nie zostałbym tu za nic dłużej...

— Nie podobało się wam... — powtórzyła przeciągle, jakby z zawodem.

Przestraszył się, że go źle zrozumiała.

— Nie narzekam, Boże broń — zaprzeczył gorąco. — Niewdzięcznikiem byłbym narzekając... Spotkało mnie tu wiele dobrego. Wprawdzie pod Aleppo nieskładnie szło i nie budująco, ale Montgisard! W takiej potrzebie brać udział! Mało który starszy tego dozna, a mnie się, młodziakowi, poszczęściło... Na koniec pas otrzymałem... I to z rozporządzenia samego miłościwego pana... I u Grobu świętego byłem, największe świętości, jakie są na świecie, widziałem... I zdobyczy po bitwie zebrałem. Wyjechałem z domu biedakiem, powracam zamożnym... Poszczęściło mi się we wszystkim...

— W domu oczekują was pewno niecierpliwie?

— O tak — odparł z prostotą — matka i narzeczona.

— Macie narzeczoną?

— Mam... To jest... — znów poczerwieniał — nie powinienem nazywać jej narzeczoną, bo ojce jeszcze o tym nie wiedzą i pozwoleństwa nie dali... Zaręczyliśmy się sami, choć to nie uchodzi. A ojce pewnikiem nie odmówią teraz, gdy wracam rycerzem...

— Dziwiłabym się, gdyby odmówili... Czy wasza narzeczona jest równie piękna jak wy?...

Zmieszał się i zdumiał tak, że nie wiedział, co odrzec. Pokraśniał ze wstydu. Jużcić znał swoją urodę. Widywał jej zachwycone odbicie w oczach dziewcząt, Łucji, matki. Nigdy jednak nie słyszał, by urodzona białogłowa tak o tym śmiele mówiła! Zapragnął, by jadąca przed nimi para odwróciła

się, wmieszała do rozmowy. Jak na złość, ani im to było w głowie. Renald przekomarzał się z towarzyszką, dowodząc, że obecny ojczym Onufrego, Renald de Chatillon, nie pozwoli mu się żenić, dopóki młodzian nie zetnie stu głów. A ten chłopaczyna, poza tym że stracił swoją własną głowę, nie uszkodzi na pewno nigdy niczyjej innej...

Izabela odpierała gniewnie te posądy. Onufry jest równie mężny jak cały jego ród, jak ojciec i dziad. Nie okazuje tego, gdyż ma spokojne usposobienie, lecz niech no przyjdzie potrzeba!

Renald kiwał głową i wyrażał przypuszczenie, że jeśli w Onufrym żywie lew Thoronów, musiał być z dziecka pojony odwarem z maku, wskutek czego twardo śpi i żadna go potrzeba nie zbudzi...

— Miłuję moją narzeczoną — wybąkał w końcu Wit, nie wiedząc co odrzec, a czując, że odpowiedzieć należy.

Sybilla nie spuszczała z niego oczu.

— Miłujecie się zatem, pobierzecie i co dalej?

Zdumiał się znowu. Czego chce ta kobieta?

— Będziemy mieszkali w ojcowym kasztelu... Z braci najstarszy jest na angielskim dworze, drugi tutaj, trzeci do stanu duchownego przeznaczony, bo koślawy, a ja będę pewnie gospodarzył na ojcowiźnie... Bo czterech nas jest...

— I tak całe życie?

— Daj Boże, całe życie.

— Nie żal wam będzie niczego?

Otworzył oczy szeroko.

— Innego życia nie pragnę. Czego bym miał żałować?

— Wszystkiego! Krajów, których nie obaczycie, przygód nie zaznanych, rzeczy nie doświadczonych!

— Nie — odpowiedział z przekonaniem. — To dobre dla rybałtów albo rycerzy wędrownych, których niespokojność po świecie gania... Mnie nie.

— Tylko dla nowych, nie doznanych rzeczy warto żyć! — wykrzyknęła zapalczywie.

Pani Benigna byłaby niewątpliwie innego zdania, a Łucja nie zrozumiałaby w ogóle, o czym mowa. Więc też Wit stanął twardo po stronie przypuszczalnych poglądów matki i narzeczonej.

— Mnie moje życie wystarcza. Jako ojcowie żyli w kasztelu, tak i ja. Niczego więcej nie chcę.

Sybilla skrzywiła się drwiąco.

— Dziwię się, że takie usposobienie mając jedziecie z nami. Na tej górze może nas łacno spotkać przygoda. Chyba rycerz Renald nie ostrzegał was, że tam straszy?

Zbyt był prostoduszny, by odczuć złośliwość pytania.

— Mówił owszem, ale ja się duchów nie boję. Mieliśmy w rodzie babkę wróżkę, której wieża stoi dotąd, a ona pono nocami chodzi, i nigdy się jej nie bałem.

— Mieliście babkę wróżkę? Opowiedzcie o niej! — wykrzyknęła zaciekawiona.

Opowiedział pokrótce wszystko, co wiedział z dziejów Meluzyny, urodziwej kobiety-gada.

— Widzieliście ją kiedy? — dopytywała.

— Nie widziałem. Nieraz wieczorem chodziłem podle jej baszty, pragnąc, żeby mi się ukazała, ale nie przyszła.

— Wizerunek się żaden nie zachował? Nie wiecie, jak wyglądała?

— Myślę, że podobna była do was — rzekł bez zastanowienia i przeraził się sam tych słów. Wymknęły mu się niebacznie. Jak mógł! Urodzoną niewiastę porównał do wróżki! Renald będzie słusznie urażony... A ona? Nie śmiał na nią spojrzeć, pełen skruchy. Ależ bo napradę ona jedna ze wszystkich znanych mu kobiet mogła być porównana do Meluzyny. Posiadała wężową kibić, giętkie ruchy, oczy długorzęse patrzące zuchwale, oczy, o których nie wiadomo było, czy są czarne, czy złote...

Wbrew jego obawom Sybilla nie obraziła się wcale.

— Do mnie? — powtórzyła z uśmiechem. — Do mnie?... To zabawne... Tylko że ja przyszłabym na pewno, gdybyście mnie wieczorami przyzywali pod basztą...

Zawstydził się znowu tak, że odwrócił głowę. Na szczęście Renald wyrwał go z zakłopotania.

— Lepiej zsiąść i konie prowadzić — zawołał — bo droga zaczyna być przykra.

Zeskoczył z konia. Zdjął z siodła swą towarzyszkę, ujął wodze jej wierzchowca. Luzynian uczynił to samo. Gdy brał Sybillę, wsparła się na chwilę piersiami o jego pierś, lekka, smukła, wężo-

wa... Tak! wężowa! Poszli pod górę ciągnąc za sobą opierające się konie, stąpając uważnie, by się nie potknąć na ostrych, ruchomych kamieniach zaściełających stoki góry. Zamilkli wszyscy czworo. Ciekawość, co się ukaże na szczycie, nieokreślony niepokój przed mieszkającymi tam pono duchami, ogarniały ich tym silniej, im byli bliżsi celu.

Cel był rzeczywiście bliski. Można już było rozróżnić, że zalegające wierzchołek wzgórza rumowie nie jest przypadkowym nagromadzeniem kamieni. W przezroczystym powietrzu widniały ułamki rzeźb, ozdobne głowice kolumn, fragmenty pilastrów. Wszystko to spiętrzone, zwalone niby po trzęsieniu ziemi.

Weszli nareszcie na szczyt i okrążali zwolna ruiny, na próżno szukając przerwy umożliwiającej wejście do środka. Renald poweselał. Nie było o co robić hałasu. Strachy na Górze Zgorszenia to bajki. Kupa gruzów, nic więcej. Nikt tu nie chodzi. By dotrzeć do wnętrza, odrzucić zwalone ściany, trzeba by mieć siły olbrzymów.

— Nie ma nic, ani duchów, ani zbójców — biadała żałośnie Izabela.

— To dlatego, że ja tu jestem, a mnie się nigdy nic nie udaje — westchnęła Sybilla.

Koń Renalda parsknął. Nastawił uszu. Obaj rycerze stanęli jak wryci, spoglądając na siebie. Zdało im się, że w odpowiedzi na parsknięcie gdzieś blisko rozległo się stłumione rżenie...

...Koń, tu, w tych zwałach kamieni? Niemożliwe! Raczej to oman diabelski. Więc jednak...

jednak. Izabela i Sybilla poczuły ściskający lęk a zarazem niewymowną radość, że coś zaczyna się dziać...

Renald spoważniał i wyciągnął miecz. Wit również. Szli ostrożnie dalej, rozglądając się uważnie. Wokoło jednak panowała poprzednia martwa cisza, w której rozlegały się tylko głośno, zbyt głośno ich własne kroki i tupot prowadzonych koni.

...Jednakże to nie było przywidzenie. Koń rżał — myślał Renald. — Duchy nie potrzebują koni. Diabeł przemienia się w kozła, koguta, starą babę, węża, ale nigdy w konia. Tu muszą być ludzie. Zwykłe opryszki, a może... Izmaelity!?

Pierwszy raz przyszło mu to przypuszczenie do głowy i dreszcz go przejął na myśl o własnej lekkomyślności. Pozwolił przybyć tu królewskim córkom narażając je na niebezpieczeństwo. Wycofać się stąd, póki czas, wycofać jak najszybciej!

Ale obie królewny nie chciały słyszeć o powrocie, szli więc uciążliwie dalej, po prawej ręce mając stromy stok, po lewej zwalone, ciągle jednako niedostępne mury. Niegdyś pokryte były bogatą płaskorzeźbą i z pogruchotanych płyt spoglądały twarze senne, okrutne, lub czujne i roześmiane bogów dziś przeklętych i zapomnianych, dawniej na tym miejscu czczonych. Widniały ułomki rąk i nóg, zady koni, lwów czy byków i cienkie wiązania ornamentów.

Obeszli już prawie wokoło, gdy nareszcie ujrzeli wejście. Przerwa w spiętrzonych gruzach,

wąska, dostateczna jednak, by przepuścić jeźdźca z koniem. Izabela skoczyła pierwsza, nim Renald zdążył ją wstrzymać.

— Ani kroku dalej, wasza dostojność! — zawołał, ruszając za nią z mieczem w pogotowiu.

Luzynian śpiesznie uwiązał konie przy obłamanej kolumnie i pobiegł z Sybillą za nimi. Nie zdążyli się jednak rozejrzeć wokoło, gdy nieopodal rozległ się głęboki, podziemny huk. Potoczył się jak grzmot, przycichł i wybuchnął znowu. Towarzyszyły mu przeciągłe świsty i łopotanie, niesamowite, niezbicie piekielne, nic ludzkiego w sobie nie mające, a tak straszliwe, że czwórka śmiałków nie mówiąc słowa rzuciła się do ucieczki. Kobiety przodem, mężczyźni z tyłu, osłaniając odwrót. Huk wzmagał się, to ucichał. Bladzi z trwogi, chwycili konie, zbiegli na przełaj ze wzgórza, w połowie stoku dosiedli wierzchowców i nie bacząc na stromiznę pognali na dół na złamanie karku. Nie zatrzymali się aż na dole.

— Co to było? Co to było?! — dopytywała Sybilla blada z wrażenia.

— Diabeł na pewno — rzekł z przekonaniem Renald. — Mam nadzieję, że jesteście zadowolone?

— Nie bardzo. Za prędko uciekliśmy. Chciałabym tam jeszcze wrócić.

— Ja też. To tak przyjemnie się bać!

— Wracajcie, ale beze mnie, nam obu życie miłe, nieprawdaż, rycerzu?

Jechali ku domowi małomównie i śpiesznie, bo pora była spóźniona. Odprowadziwszy rzekome

krewniaczki do furty klasztoru na Górze Oliwnej, obaj rycerze wrócili do grodu.

— Nieczyste sprawy dzieją się na tej górze — mówił Renald. — Jużci, mając niewiasty na karku, skorzystałem z pierwszej sposobności, by z nimi drapnąć, muszę jednak kiedy zebrać ludzi i przetrząsnąć te kamienie. Przejście wyglądało mi na umyślnie zrobione, a koń rżał, na Święte Drzewo Krzyża, rżał! Gdzie jest koń, tam są ludzie, a nie strachy.

— Ale ten łoskot?... — zapytał Wit z powątpiewaniem.

— W takiej głuszy byle stuknięcie wydaje się grzmotem... Trzeba się tam wybrać, trzeba!

— Radbym z wami pojechał, gdyby nie to, że jutro wyjeżdżam — odparł Luzynian pogodnie.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nie odjechał jednak, bo nazajutrz wczesnym rankiem nieznany pachołek przyniósł mu list. Oddawszy odszedł żywo, nie zdradzając, kto go przysłał. List nie miał pieczęci, natomiast tchnął zapachem, który przypomniał Witowi wczorajszą wycieczkę. Papier był cienki, kosztowny. Pismo śmiałe, wyraźne:

*„Nie śpieszcie się, rycerzu, z wyjazdem, gdyż galery nie odpłyną z Jaffy wcześniej niż za dwa tygodnie. Czekajcie na mnie dziś w Ogrójcu o zachodzie słońca.“*

Podpisane: *Meluzyna.*

Z tego dziwacznego posłania Wit zrozumiał na razie jedno: że upragniony wyjazd może być odłożony. Dlaczego? Kto zatrzyma galery? I cóż może o tym wiedzieć Renaldowa krewniaczka, bo ona to niewątpliwie list wysłała?

Zmartwiony i zaniepokojony poszedł do komnaty brata zapytać, zali słyszał podobną nowinę?

— Skąd wiesz już? — zdumiał się Amalryk. Leżał jeszcze w łożu, żółty i skwaszony. Wrócił do domu późną nocą, chory od nadmiaru jadła i wina. Nie znosił picia, a w towarzystwie Jocelina de Courtenay niemożliwością było pozostać trzeźwym.

— Skąd wiesz? — powtórzył z niezadowoleniem. — To niesłychane, jak się każda rzecz rozchodzi, nim jeszcze wyjdzie z pałacu! Wróciliśmy spod Jerycha wczoraj po południu. De Courtenay zabrał nas do siebie na ucztę. Miała wynagrodzić łowy, które powiodły się kiepsko. Ledwośmy siedli do stołów, wezwano go do Agnieszki, to znaczy, chciałem powiedzieć, do królowej matki... Wrócił w niespełna godzinę i prawił, że zaraz rankiem musi posłańca pchnąć do pana strażnika portu w Jaffie, by żadnej, niżadnej galery nie wypuścił, póki skarbniki nie sprawdzą, czy podatki portowe są rzetelnie opłacone. Bo doniósł pono ktoś, że niektóre zalegają... Tośmy nawet gadali, że armatory wściekną się ze złości, bo skarbnikom nigdy nie śpieszno, a niejednemu zniszczy się ładunek. De Courtenay na to: „A niech pękną nawet! Nie stoję o nich..." — Pewnikiem

będą słać prośby do króla i król ich zwolni, ale to potrwa... Skądeś ty się o tym dowiedział? Powiadaj!

— ...W grodzie mi mówiono... Nie pamiętam już kto... — plątał się Wit.

Okazawszy list musiałby się przyznać do wczorajszej przejażdżki. Woląc uniknąć nagabywań Amalryka wyszedł śpiesznie z domu i wałęsał się po mieście bez celu, znudzony i zły. W ostatnich dniach przywykł patrzeć na gród i tutejsze życie niby z oddalenia, jak gdyby już odpływał, i teraz zatrzymany w pół kroku nie wiedział, czym zapełnić sobie czas. Dwie niedziele czekania! Naprzykrzą mu się one setnie! Próbował opanować własne rozżalenie tłumacząc sobie samemu rozsądnie, że nie taki to znów długi przeciąg czasu i że nie ma nad czym zbytnio lamentować. A nieokreślone jakieś uczucia kazały wbrew rozsądkowi uważać to odroczenie za klęskę. Ot, przywidzenia. Wszystko dlatego, że tęskni.

Renaldowa krewniaczka, której imienia nawet nie znał, która podpisała się Meluzyna (św. Mamercie! nie bała się! nie sromała się?!), która pisała bieglej niż mężczyzna, niż on, kazała czekać na siebie o zachodzie słońca w Ogrójcu. Chyba trzeba pójść? Odmawiać nieobyczajnie, warto przy tym posłyszeć, skąd wiedziała o wstrzymaniu galer, i zapytać, czy nie zna dokładnej daty ich zwolnienia?

...W Ogrójcu mają się spotkać? Dlaczego wybrała to miejsce? To święte, jedyne miejsce?

Wit nie umiał myśleć o nim bez głębokiego, pobożnego wzruszenia. W Ogrójcu przecież Pan Nasz lękał się i płakał, krwawym potem pocił. Zaprawdę, nieodpowiednia okolica dla schadzek z białogłową!

Obiecał sobie powiedzieć to białogłowie szorstko, bez ogródek. Lecz gdy różowa od łuny zachodu, lekka i smukła weszła w cień drzew, zapomniał postanowienia zdobywając się jeno na nieśmiałą uwagę, że Ogrójec nadaje się tylko dla modłów.

Roześmiała się niedbale.

— Gdyby człowiek ustawicznie musiał pamiętać o tym, co się niegdyś działo, nie mógłby żyć, szczególnie w Jerozolimie... Wybrałam to miejsce, bo tylko tutaj jest trochę chłodu i cieniu.

Zatoczyła krąg ręką. Spojrzawszy za nią musiał przyznać, że na tle ogólnej kamiennej szarzyzny Góra Oliwna z Ogrójcem odbijała jedyną plamą zieleni. Poza nią należało szukać drzew aż w Betlejem, Emaus albo Ain-Karim, ojcowiźnie św. Jana Chrzciciela.

Ogrójec stanowiła setka drzew oliwnych niezmiernie starych, dziwacznie skręconych. Patrząc na ich potężne, wygarbione, pozwijane niby cielsko smoka korzenie, omszałe, dziurawe pnie, których kora chropawością i barwą przypominała kamień, można było snadnie wierzyć, że pamiętają czasy Chrystusa Pana. Omszała ich zgrzybiałość miała w sobie coś z niezmienności rzeczy wiecznych.

Poważna, uroczysta cisza leżała wokół. Dołem rosła skąpa, przecie zielona trawa, przetykana drobnymi ciemnoczerwonymi kwiatkami.

— Na każdym kroku coś się tu działo, co trzeba czcić i szanować — ciągnęła Sybilla siadając wygodnie w wygięciu korzenia; dała mu znak, przysiadł na murawie. — Wy, przyjeżdżający na krótko, nie wyobrażacie sobie, jakie to męczące! Nie można ani chwili żyć swobodnie, odetchnąć całą piersią... ciągły przymus... Święte dzieje przygniatają nas. Świat chciałby, żebyśmy byli co najmniej archaniołami, dlatego że mieszkamy w pobliżu Grobu świętego. A my jesteśmy zwykli ludzie. Trzeba by chyba chodzić na szczudłach, żeby dorównać żądaniom tych z kraju... Nie cierpię szczudeł... (poruszyła niecierpliwie drobną stopą obutą w złocony safian) chcę żyć sama dla siebie. Bóg nam dał to jedno tylko życie i ono tak prędko ucieka! Gdy patrzę, jak przemija, dreszcz mnie zdejmuje... Ani się obejrzę, kiedy będę starą, brzydką... Nikt mi młodości nie wróci... A tu ciągle trzeba się z czymś liczyć, zadawać sobie samemu gwałt... Dlatego nie znoszę Jerozolimy. W nadmorskich grodach oddycha się lżej, swobodniej...

Słuchał z nieukrywanym zdziwieniem.

— Mówicie, jakbyście byli tutejszą, szlachetna pani.

Zaczerwieniła się, niby mała dziewczynka przyłapana na kłamstwie.

— Nie, nie. Ale mieszkam tu już prawie rok, więc czuję się niby miejscową... Czy bardzo was zmartwiła wiadomość o wstrzymaniu galer?

— Bardzo — rzekł szczerze — nie mogło mi się zdarzyć nic przykrzejszego.

Rzuciła nań z boku spojrzenie nakryte rzęsami.

— Ejże, aż tak wam śpieszno odjeżdżać? Dlaczego?

Poruszył się niecierpliwie.

— Mówiłem przecież wczoraj, że...

— Matka i narzeczona?... Wiem. Ale one nie przepadną, tymczasem zaś mogłaby was spotkać jaka piękna przygoda...

— Nie ciekawym.

Roześmiała się wesoło.

— Nie zarzekajcie się, rycerzu, zawczasu! Nie wiadomo. Chodziliście pono nocą wzywając babki-wróżki, a gdyby się wam tak prawdziwa wróżka ukazała?

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia i nie wiedzieć czemu pomyślał o Łucji. Ujrzał tuż przed sobą jej rumianą twarz, długie warkocze, wytarty kożuszek pachnący lasem i oborą.

— Co mi po wróżce? — bąknął.

— Pytacie?! Toć mogłaby sprawić czarami, żeby galery natychmiast ruszyły...

W głosie jej drżał śmiech. Żartowała sobie z niego. To jasne. Jasne, ale nieprzyjemne.

— Gdzież ona wróżka?

— Przed wami.

Obejrzał się zaniepokojony. Sybilla płakała ze śmiechu. Śmiech i płacz przychodziły jej łatwo i łączyły się często.

— Przed wami, mówię, nie za wami. Jeszcze nie wiecie? To ja. Samiście przecie wczoraj powiedzieli. Mogę przedzierzgnąć się w gada. Mogę wszystko uczynić, co zechcę... Mogę was opleść jak wąż i zadusić...

Cofnął się, na dobre przerażony.

Jeśli istotnie Meluzyna przyszła z kraju za nim? Sybilla wstała ze swego siedziska i wiotka, strojna chwiała się w biodrach, kołysząc przy tym głową istotnie jak wąż.

— Nie wierzycie, przekonam was: uczynię, że galery za tydzień ruszą i będziecie mogli z nimi odpłynąć... jeżeli będziecie chcieli.

Patrzyła nań tak kusząco i głodnie, że spuścił głowę, niepewny i zmieszany do cna.

— Muszę już iść — dorzuciła — przyjdźcie tu jutro o tej samej porze. Będziemy mogli porozmawiać dłużej.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### TAJEMNE BRACTWO.

Gdyby obie królewny i towarzyszący im rycerze zdołali przełamać lęk wywołany burzą niesamowitych głosów wybuchających znienacka w ciszy, gdyby zamiast zbiec z Góry Zgorszenia rozejrzeli się uważnie, w koło siebie, byliby z łatwością odnaleźli wąskie, stosunkowo wygodne przejście, biegnące wężykowatym meandrem wśród zwalisk. Tą ścieżką idąc, doszliby bez trudu w samo serce ruin i przekonali się, że nie pozostał tam dosłownie kamień na kamieniu. Ani jedna ściana nie ocalała w całości. Zawzięte były ręce Tankredowych rycerzy dokonywających zniszczenia.

Stwierdziwszy to, odważni badacze albo odeszliby uspokojeni a zarazem zawiedzeni, albo szukając przenikliwiej, przyglądając się staranniej, dostrzegliby mały ciemniejący otwór, stanowiący zejście do podziemi świątyni, obszerniejszych, ważniejszych od samego gmachu. Nie wiedzieć, czy towarzysze zapalczywego Tankreda nie zauważyli wcale tego zejścia, czy też sądzili, że przywalenie go gruzami wystarczy, by nigdy nie doszli doń ludzie? W zejściu widniały schody, prowadzące do niskiej, obszernej sali, pośrodku

której znajdowała się cysterna. Musiała być bardzo głęboka, bo kamień rzucony leciał długo, nim trącił martwe, czarne lustro wody. Mając łuczywo można było wtedy nachylić się i w zawrotnej głębokości dojrzeć odbicie nikłego światełka drgające w zbudzonej powierzchni. W jednym końcu sali urządzona była wcale wygodna stajnia, z zapasem paszy, przegrodami i wodą w stągwiach. Stajnia była teraz pusta, zagospodarowanie jej jednak dowodziło, iż bywała odwiedzana, a dosłyszane przez Renalda z Sydonu i Wita Luzyniana rżenie nie było złudzeniem. U niskiego stropu sali wisiał dziwaczny przedmiot, ni to wiatrak, ni to młyn, z rękojeścią, która szarpnięta, puszczała w ruch pierwotny mechanizm zębatego koła. Na pierwszy rzut oka trudno było dociec, jakie przyrząd ów miał przeznaczenie.

Po zewnętrznej stronie cysterny, stanowiącej rodzaj kutego w skale cylindra, biegły wąskie, kręte schody, które rozszerzały się co pewien czas w ganki. Z ganków wystrzelały długie promieniście ułożone korytarze, wiodące do podziemnych izb, komór, sal. Było ich wiele, zawiłych, splątanych, coraz niższymi piętrami schodzących w dół wokoło osi cysterny. Zarówno ściany chodników jak komór pokryte były płaskorzeźbami i malowidłem. W wiecznym mroku barwy nie utraciły świeżości, ukazując przy świetle pochodni niespełzłe szafran, indygo i karmin. Niektóre komory były ciasne, niskie, przeznaczone zapewne na gro-

bowce, inne — wysokie, przestronne, wsparte na cudnie rzeźbionych kolumnach. W tych salach znajdowały się ławy i stoły kamienne oraz niskie, krągłe ołtarze z rynienką dla ścieku krwi ofiar. I gdyby znaleźli się tu nie prostoduszni rycerze, lecz doskonały znawca Wschodu, badacz zamarłych dziejów i wiar, uczony Wilhelm, arcybiskup Tyru, poznałby od pierwszego wejrzenia, że podziemia te nie pochodzą z czasów Salomonowych, ale Herodowych, a stanowiły sanktuarium bogini księżyca, zwanej zależnie od kraju Uranią, Isztar, Izis, Astarte, wyobrażającej cielesność, przyrodę, ziemską skorupę człowieka, doczesność, płodną, lecz ślepą żywotność natury, rozpasanie zmysłów, łączących uścisk ze śmiercią. Poznałby to po ornamentacji ścian, gdzie wśród przyborów astronomicznych, trójkąta, poziomu i pionu, sfinksów oznaczających Wiedzę, Wolę, Milczenie, Zuchwałość, wśród byków i lwów powtarzały się nieskończenie procesje niewiast ofiarnych. Z wysokim kunsztem rzeźbione i malowane postacie miały wszystkie jednakie rysy, jednakie odzienie. Głowy odrzucone nieco do tyłu, piersi drobne i wysokie, oczy egipską modą przedłużone aż do skroni. Okryte były długą do kostek szatą rozciętą od szyi do dołu. Pod tym rozcięciem od bioder spływała cienka zapaska. Gdzieś na końcu olbrzymiego fryzu widniał ołtarz. W miarę jak się zbliżały ku niemu, rzeźbione postacie odrzucały zapaskę i przeginały się mdlejąco w tył, jak gdyby oddając na pastwę niewidzianemu bóstwu

swój wstyd, swe życie i ciało. Ściana za ścianą sunęły te korowody, pożądliwe a bezwolne. Na niższych piętrach smutne ich postacie ustępowały miejsca sprośnym, wynaturzonym wyobrażeniom ciał ludzkich i zwierzęcych. Bezwstydnym mnóstwem narzucały się natrętnie oczom, wyzywały obrzydliwością. I zrozumiałym stawał się lęk, z jakim czciciel schyłkowej, egipsko greckiej wiary, Herod, ujrzał gwiazdę betlejemską, posłyszał, że *Panna Czysta* zrodziła Mesjasza. Zrozumiałym też stawał się gniew, z jakim wyznawcy Chrystusa zapragnęli zgładzić z powierzchni ziemi świątynię sprosności.

Trudno było określić, ile pięter posiadały te podziemia. Poziomy wznosiły się, to opuszczały, krzyżowały pomiędzy sobą. gdy najniższe stopnie schodów ginęły w wodzie drzemiącej czarną, nieruchomą taflą. W Judei tak niezmiernie ubogiej w wodę, gdzie każda studnia była znana i strzeżona, dziwne wrażenie robiła owa cysterna zapomniana, niepotrzebna nikomu. Wieczysta martwota i głusza wypełniały dolne piętra zaludnione tylko światem rzeźbionych postaci.

Dolne piętra. Na wyższych bowiem uważny badacz odkryłby z łatwością ślady częstej — może stałej? — obecności ludzkiej. Pył naniesiony stopami ze dworu, niedopalone pochodnie, nareszcie w największej ze sklepionych sal podziemnych, wygodne, miękko wyściełane ławy, stół zastawiony do uczty, zatlone świeczniki. Salę poprzedzał długi, wąski chodnik zakończony okrą-

głym przedsionkiem. Na ścianach powtarzały się ciągle te same szeregi bezmyślnych ofiarnych miłośnic, narzędzia astronomiczne i sfinksy nakazujące milczenie. Nad wejściem widniał, świeżo widocznie wyryty, odmienną farbą napuszczony napis:

*Igne natura renovatur integra.*

Kilkanaście razy w roku do sali tej, zawsze na przyjęcie ich przygotowanej, schodzili się gromadnie ludzie. Przybywali nocą, pojedyńczo lub po kilku naraz. Byli jednako odziani w luźne, szare płaszcze, z twarzami zasłoniętymi. W przedsionku witał ich zazwyczaj człowiek rosłego wzrostu, podobnie jak oni okryty opończą z kapturem naciągniętym na twarz. Na podobieństwo pokutników, w kapturze wycięte były otwory na usta i oczy. Za nim stał mały, pokraczny garbus dźwigający zapaloną pochodnię. Oczekujący pytał nadchodzących głosem o brzmieniu podobnym do głosu Gerarda de Ridefort:

— Czego chcecie?

— Kwiatu akacji.

— Co oznacza kwiat akacji?

— Że to, co na górze, jest jedno z tym, co na dole.

— Skąd wiesz?

— Pouczyła mnie o tym święta głoska Gamma.

— Kto był twoim poprzednikiem?

— Jazon, kochanek Medei.

— Po co Jazon popłynął do Azji?

— Po złote runo.

— Czym było złote runo?

— Żółtą szatą wtajemniczonego, szatą Epopty.

Pytania i odpowiedzi padały szybko, dźwięcznie, bez wahania. Uspokojony gospodarz podziemi puszczał gości wąskim chodnikiem do wielkiej biesiadnej sali. Przybyli zajmowali miejsca. Liczba ich wahała się od dziesięciu do pięćdziesięciu, nie wszyscy bowiem mogli się stawić na każde zebranie. Niektórzy zdążali tu z bardzo daleka, z odległych i obcych krain. Często nie znali się wcale wzajemnie, spotykali tylko tutaj, nie wiedzieli, jakiego są miana i narodowości. Gdy zaszła potrzeba, poznawali się w świecie po znaku trójkąta i pionu, które wybrali z symboli pokrywających ściany świątyni, iż były najłatwiejsze do skreślenia i niczyjej uwagi nie zwracające. Stanowili zespół karny i zwarty, łączność swą stawiając wyżej ponad różnice mowy i wiary. Byli tajnym, nikomu jeszcze niewiadomym bractwem, zaledwie przez niektórych uważniejszych przeczuwanym. Spoiły ich: wspólny androgynizm duchowy, płynąca z niego niechęć do czysto męskich religij żydowskiej, chrześcijańskiej i muzułmańskiej; tęsknota za samoponiżeniem, wstręt do duchowego wysiłku, do narzucanego przez powyżej wymienione wiary ustawicznego dążenia ku doskonałości. Bunt przeciw wszystkiemu, co było twórczym, zbawiennym przymusem, co prowadziło człowieka wzwyż, wbrew jego

chęci. Bunt przeciw ograniczaniu swej woli i zachcianek ciała. Ponad wszystko jednak nienawidzili Chrystusa. Nienawidzili za to, że będąc człowiekiem był Bogiem i kazał ludziom do boskości dążyć. Że zbawił ich, nie pytając. Oni nie chcieli boskości, wybierając unicestwienie w cielesnej niekrępowanej rozkoszy. Śmierdzący cap, uosobienie chuci, milszym im był niźli Baranek ofiarny.

Nie cierpiąc surowego męskiego pierwiastku w religii, byli nieprzyjaciółmi wszystkiego, co zeń wyrosło: ustroju, ładu, prawodawstwa, obyczaju. Świadomie lub nieświadomie pragnęli je zniszczyć, rozsadzić. Pysznili się sami przed sobą, iż są mścicielami zapomnianych wiar i że ludzkość szczęśliwszą była, pozostając we władaniu materii, niż biczowana przez ducha. Dlatego każdemu z nich obcą i wrogą stawała się własna ojczyzna, każdy pragnął zadeptać dzielące ludzi granice, by zaprowadzić powszechne braterstwo, ale braterstwo nie w duchu, lecz w ciele. Zwali się Bractwem Świątyni Salomona. Że pochodzili z różnych narodowości, zwyczaje ich i ceremonie nosiły charakter niejednolity, zbiorowy. Najsilniej na statutach bractwa zaciążyli chrześcijanie oraz Izmaelici. Ci ostatni, poddani Starca z Gór, straszliwego pana orlego gniazda Alamut, przynieśli niezbędny odtąd haszysz, odwar konopi, sprowadzający na człowieka czarowne zwidy i zjawy. Przynieśli ślepą karność nie wa-

hającą się przed zadaniem sobie śmierci na skinienie przełożonego. Chrześcijanie dorzucili szerszą inteligencję, zmysł organizacyjny, pełniejszą świadomość popełnianego bluźnierstwa, co dodawało posmaku obrzędom.

Od jakich dwudziestu lat (bo tyle czasu trwało już bractwo) przyjął się zwyczaj, że wielki mistrz templariuszów bywał zarazem przewodniczącym bractwa. Nie znani nikomu, a często nie znający się między sobą członkowie umieli wpłynąć na tok każdorazowych wyborów w zakonie zręcznym słowem lub pieniędzmi w taki sposób, że wybór padał zawsze na wskazanego człowieka. Połączenie w jednej osobie godności wielkiego mistrza i przewodniczącego bractwa dawało wielkie korzyści zarówno jednemu jak drugiemu stowarzyszeniu.

Niezależnie od tego, nieustającą przyjemność sprawiało poczucie, że bractwo, biorące za swój cel walkę z Chrystusem, zagnieździło się, wzrosło tu właśnie, w pobliżu Jego Grobu, w ziemi pełnej Jego śladów. Ślady te zatrzeć, pokryć cieniem niepamięci było ich najbliższym dążeniem. Potem miało nastąpić przedostanie się do Europy, zapuszczenie tam korzeni, uderzenie na chrześcijaństwo w Rzymie, we Francji, gdzie było najstarsze i najbardziej ugruntowane. Dla wszystkich tych celów pomoc zakonu była nieodzowna.

Narady jeszcze się nie rozpoczęły. Pokraczny karzeł, stróż podziemia, mówił coś do Gerarda de

Ridefort. Wielki mistrz pochylił się, by jego bełkot zrozumieć.

— Ludzie tu byli, dwa dni temu nazad...

— Ludzie?! Jacy?! — zaniepokoił się wielki mistrz.

— Obie królewny, szlachetny rycerz Renald z Sydonu i jeszcze jakiś rycerz, którego nie znam...

— Czego chcieli? Daleko zaszli?

— Ino weszli na dziedziniec, ale puściłem w ruch wiatrak — i uciekli.

Wielki mistrz spochmurniał.

— Uciekli, ale mogą powrócić i szukać przyczyny hałasu... Renald z Sydonu nie baba...

Zamyślił się. Po chwili rzekł:

— Jutro zasypiesz wejście gruzem i pójdziesz do domu, nie przychodząc, aż ci dam rozkaz. Sam namówię rycerza z Sydonu, żeby przyjechał tu ze mną i przeszukał zwaliska.

Uspokojony rozsiadł się wygodnie, dając znak zaczęcia obrad. Przedmiotem ich było świeże zwycięstwo króla pod Montgisard. Członkowie bractwa byli zeń wielce niezadowoleni. Nieoczekiwanie pomyślny wynik bitwy wzmacniał zachwianą już władzę królewską, krzyżując tym samym ich plany.

— Stało się to w czasie mej nieobecności — wyjaśniał wielki mistrz. — Kto by przypuścił, że w spsowanym zdechlaku znajdzie się tyle energii?

Nie obawiajcie się jednak. Drugi raz podobna rzecz już się nie powtórzy.

— Nie powinna się powtórzyć — przytwierdzili chórem zebrani.

Za czym z troską przewidywali kłopoty, jakie im sprawi Ibelin. Będzie usiłował być dobrym, rozumnym królem. To niedobrze. Sprzątnąć go, jak się sprzątnęło de Montferrata, nie można. Wzbudziłoby to podejrzenia. Jeden wypadek jest możliwy. Dwa nie. Wszystko w życiu powinno się toczyć pozornie naturalną, przyrodzoną koleją rzeczy. Ściegi muszą być ukryte. Każdy członek bractwa winien o tej zasadzie pamiętać, jak również, że najmniejszy bodaj krok przybliża do celu, nie wolno zatem lekceważyć żadnego szczegółu.

Gdy ukończono narady, zaczęła się uczta, a z nią druga, przyjemniejsza część zebrania. Gerard de Ridefort wychylił duszkiem półgarncowy kielich wina i przymknął oczy czekając. Król Baldwin niesłusznie posądzał go o spryt. Był to w rzeczywistości tępy, ograniczony człowiek. Opinię rozumnego zawdzięczał bractwu, nie sobie. Z „braćmi" łączyły go nie tyle dalekie niszczycielskie cele, ile występna, niepohamowana zmysłowość. I teraz nie myśląc o niczym oczekiwał chwili, w której wejdą nareszcie kobiety. Jest ich dużo więzionych w podziemiu, tyle, wielu członków. Porywane zręcznie spośród biednych urodziwych dziewcząt, pozostają tu na zawsze. Gdy staną się niezdatne z powodu wycieńczenia,

braku powietrza i nadużycia ich ciała, zwłoki skryje grób-sarkofag kamienny z wyobrażeniem byka, a miejsce ich zajmą nowe. Oto już idą długim bezwolnym szeregiem. Odurzone haszyszem, o twarzach cierpiących miłośnic, z oczami przedłużonymi do skroni, podobne kobietom na rzeźbie, odziane w tę samą szatę rozciętą od szyi do dołu. Suną jak fryz, który ożył...

---

## ROZDZIAŁ XIV.

### MELUZYNA... MELUZYNA...

Wyjątkowa to była rzecz odwiedziny królowej Agnieszki u syna. Szła przez komnaty zmieszana, żegnając się raz po raz i prosząc świętych Pańskich o pomoc. U wejścia do sypialni królewskiej zatrzymała się. Ach, jakiż tu fetor! Biedaczysko! Biedaczysko!

Leżał na łożu, niewidoczny za cienką zasłoną spływającą od baldachimu. Nie chciał być widziany przez nikogo. Oczy jego były już zamknięte na świat, domyślał się jednak, jak strasznie musi mieć twarz zmienioną. Nie mógł jej dotknąć ogniłymi, pozbawionymi czucia dłońmi i nieraz w bezsenne, przeraźliwie długie noce snuł potworne obrazy, których nigdy nie miał sprawdzić. Nie przyznałby się przed nikim, jak bardzo go to dręczyło. Czy jest już podobnym do owego ujrzanego niegdyś upiora bez twarzy człowieczej, z gnijącą jamą zamiast ust? Nikt mu nie powie. Litościwie okłamią bracia lazaryści. Pozbawiony wzroku i dotyku, zachował jednak doskonały słuch i zupełną, trzeźwą przytomność.

— Niech Bóg wspomaga Grób święty! — powitał wchodzącą. — Witajcie, pani matko! Jak się miewa mały?

Westchnęła ciężko, siadając na podsuniętym jej przez brata Łukasza krześle.

— Nieszczególnie się miewa — wyznała. — Mimo takiej opieki! Śmiało mogę powiedzieć, że gdyby nie moja troskliwość, jużby niebożątko nie żyło. Urodziło się to słabe... Nie dziwota, bo co ta biedna jego matka przeżyła! Ale teraz już się wzmacnia — dodała śpiesznie — jest nawet prawie zdrów, tylko jeszcze wciąż chudziutki.

— Jego zdrowie jest rzeczą niezmiernie ważną — odparł z zatroskaniem — może mu tutejsze powietrze nie służy? Wiem, że teraz macie wiele zajęcia z przygotowaniami do ślubu, ale zaraz po weselu Sybilli chciałbym, abyście wyjechali z nim, pani matko, nad morze. Tam dzieciom zdrowiej...

...Po weselu Sybilli!... Agnieszka poruszyła się niespokojnie. Otóż właśnie! Jak to powiedzieć! Jak to powiedzieć? W niepewności wybrała drogę najłatwiejszą: wybuchnęła płaczem.

Baldwin poruszył głową zaniepokojony. Co znowu? Czemu płacze? Czy coś zaszło, czego nie dosłyszał? Ach, ta ciemność, w której jest się pogrążonym!

— Dlaczego płaczecie? — zapytał gniewnie i rozkazująco.

— Bo Sybilla... moja gołąbeczka... moja najdroższa gołąbka...

— Czy także chora? — przeraził się.

— O nie, zdrowa jak rybka, dzięki Bogu, ale...

Zachłysnęła się płaczem i dokończyła:

— Ale nie może wyjść za Ibelina.

Zapadło milczenie. Agnieszka przestała płakać, z zapartym oddechem czekając, co syn uczyni. Ulżyło jej, że już najważniejsze powiedziała. Uf! On leżał jak ogłuszony, w końcu rzekł bezdźwięcznie:

— Nie rozumiem. Dlaczego nie może?

— Bo miłuje innego.

I śpiesznie, nimby zdążył odpowiedzieć, jęła mówić:

— Rycerza miłuje, rycerza o wiele przedniejszego od Ibelina z Ramli. Młody, piękny, zakochany!... Miłują się jak dwoje aniołów. A prawy to rycerz, a dzielny...

— Dość próżnych słów — przerwał szorstko. — Sybilla poślubi Ibelina, nikogo innego. Jak się zwie tamten?

— Luzynian. Wit. Młodszy brat Amalryka.

.... Luzynian... (Ten, który mnie podparł... — przemkło mu przez głowę. — Podparł, by teraz powalić...)

— Przyślijcie mi ją tutaj, pani matko.

— Kogo? — zapytała z niepokojem.

— Kogóż by? Ją, Sybillę...

— Po co? Po co? Ona tak nie lubi tu przychodzić... Wiecie, jaka jest wrażliwa... Od dziecka to było takie delikatne... Powtórzę jej wszystko, co każecie... Ona zaś nie powie wam nic innego, niż to, co powiedziałam... Miłują się i...

— Dość próżnych słów — powtórzył rozkazująco. — Niech przyjdzie natychmiast, albo poślę po nią straż.

Agnieszka wyszła z oburzonym szelestem szat. Baldwin leżał nieruchomo, daremnie starając się opanować rozpierzchłe myśli. Wiadomość spadła nań jak młot. Co począć? Jakimi słowami zakląć szaloną kobietę, by nie rujnowała przyszłości królestwa?

Sybilla nadeszła. Wyczuł natychmiast jej wrogą, zbuntowaną obecność. Spokoju! — nawoływał sam siebie wewnętrznie — spokoju!

Stanęła z dala od łoża.

— Czy nie można by tutaj wykadzić? — zapytała w przestrzeń poruszając z obrzydzeniem cienkimi nozdrzami.

— Wiem, że cuchnę — odparł. — Każdy z nas po śmierci będzie cuchnął podobnie. Ja rozkładam się już za życia, oto jedyna różnica.

Milczała wzgardliwie. On podjął głosem możliwie wyraźnym i opanowanym:

— Powiedziała mi tylko co pani matka niebywałą rzecz: że w miejsce Ibelina chcesz poślubić jakiegoś innego rycerza, którego sama wybrałaś. Nie wierzę, abyś o tym myślała poważnie. Chyba rozumiesz, że to jest zgoła niemożliwe. Na rany Chrystusa! Niemożliwe! Nie należysz do siebie. Twoja ręka stanowi o królestwie. Ibelin został wybrany przeze mnie i przez radę baronów. Jest człowiekiem uznanym przez nas za odpowiednie-

go. Nie otrzymasz zezwolenia na małżeństwo z nikim innym. Darmo o tym myśleć i mówić. Za dwie niedziele poślubisz go...

Oczy jej się zaiskrzyły.

— Nie poślubię! — krzyknęła. — Nie należę do siebie, powiadasz? A do kogo, jeśli nie do siebie? Kto mnie zmusi? Kto ma prawo nad moim życiem? Nikt! Słyszysz, nikt! Ani ty, ani rada baronów! Możecie mnie więzić, zabić, ale mnie do tego małżeństwa nie zmusicie! W więzach mnie chyba powleczesz? Nie znoszę Ibelina. Nie mogę na niego patrzeć. Dawniej lubiłam go, przyznaję, teraz nie cierpię. Nie ma zębów, jest nudny, strzyka śliną. Mam do niego wstręt. A tamten jest piękny... piękny... Żebyś go mógł zobaczyć! Wygląda jak św. Jerzy!... I dzielny... Będzie stokroć lepszym królem od Ibelina. Każdy go musi uwielbiać... A co najważniejsze: ja go kocham! kocham! Miłuję go więcej, niż miłowałam Wilhelma. Poszłabym za nim w ogień. Nie zmusisz mnie, by go rzucić. Skąd ty możesz wiedzieć, co to znaczy kochać?! Czy ty się na tym rozumiesz? Powiadasz tak sobie lekko: wyjdziesz za Ibelina. Łatwo ci mówić! Nie byłeś nigdy żywym człowiekiem. Nie wiesz, co to za siła. Powiedzieć zdrowemu człowiekowi: rzuć, kogo miłujesz, poślubisz innego, choć ci wstrętny, bo go wybrała Rada... A jużci! A jużci!

Milczał zatrwożony jej wybuchem. Miłość, której nigdy nie zaznał — choroba wytrawiła w nim zmysły, nim się obudziły — jawiła się ja-

ko groźna, bezmyślna siła mogąca zniszczyć państwo i zaprzepaścić Grób święty.

— Posłuchaj — zaczął z wysiłkiem — gdybyś wiedziała, że twoje postanowienie będzie zgubą dla królestwa, czy upierałabyś się równie przy nim?

— Królestwo tylko na tej zamianie skorzysta — zawołała z przekonaniem. — Co za porównanie między Witem (on ma Wit na imię) a Ibelinem! Ach, jak jemu będzie cudnie w koronie! Gdybyś mógł zobaczyć, sam byś się przekonał!

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie — przerwał.

— Odpowiem ci, skoro chcesz. Odpowiem uczciwie. Nawet gdyby to miało pociągnąć szkodę dla królestwa, ja się nie cofnę, nie cofnę, słyszysz!? Bo ja mam prawo do życia i nie dam go sobie odebrać!

Nie odpowiadał dłuższą chwilę. Nareszcie rzekł:

— Bracie Janie, poślijcie po rycerza Amalryka Luzyniana.

Brat Jan pobiegł co żywo, klekocąc sandałami. Sybilla zmęczona padła na krzesło. Przymknęła oczy. Przyciskając do twarzy chusteczkę nasyconą wonnościami starała się nie czuć, nie myśleć, przywołać pod powieki obraz ukochanego. To jej doda sił do dalszej walki. Nie ustąpić! Nie ustąpić! Świece trzeszczały leciutko. Trzej bracia ewangeliści stali koło łoża, nieruchomi, milczący świadkowie toczącego się dramatu.

Amalryk nadszedł niebawem, zdumiony i zaszczycony wezwaniem. Skłonił się nisko przed Sybillą i spojrzał z ciekawością w stronę łoża.

— Rycerz de Lusignan? — zapytał król.

— Jestem, miłościwy panie.

— Rycerzu de Lusignan, czy wiadomo wam było, że moja siostra Sybilla jerozolimska, wdowa Montferrat, ma z życzenia mojego i Rady poślubić rycerza Ibelina z Ramli?

— Tak jest, miłościwy panie — odparł Amalryk coraz więcej zadziwiony.

— Jakże się zatem dzieje, że ona poznała i zamiłowała waszego brata? Zali odwracanie serca cudzej narzeczonej jest zgodne z pojęciem rycerza?

— Mój brat nie zna wcale królewny Sybilli! — wykrzyknął Amalryk.

— Nie zna, a przed chwilą właśnie powiedziała mi, że go chce poślubić.

— Na cześć rycerską przysięgam, iż nie słyszałem, by się kiedykolwiek widzieli!

W głosie Amalryka było tyle szczerości, że Baldwin uwierzył natychmiast. Sybilla podniosła się z krzesła.

— Rycerz Amalryk ma słuszność — stwierdziła tryumfująco. — Brat jego nie zna królewny. Miłuje mnie nie wiedząc, kim jestem. Gdyby wiedział, nie zbliżyłby się do mnie.

— Odejdzie zatem, posłyszawszy prawdę.

— O nie, teraz on już jest mój i nie rzuci mnie. Nic nas nie rozłączy. Wybij to sobie z głowy. I nie martw się, bo Wit będzie doskonałym królem. Najlepszym królem. Zobaczysz! Zobaczysz!

— Możecie odejść oboje. Rycerzu Amalryku, niech brat wasz tu przyjdzie.

— Ja zostanę!

— Odejdziesz. Idźcie już.

Wyszli z komnaty. Amalryk zataczał się ze zdumienia, oszołomiony niespodziewaną wiadomością: Wit i Sybilla znali się, kochali... Od dawna wprawdzie spostrzegał, że gołowąs ugania za jakąś podwiką. Przestał mówić o wyjeździe, a gdy brat o tym wspominał, odwracał szybko rozmowę na inne tory. Spakowane tłomoki leżały na dziedzińcu domu przysypane pyłem. Chłopak był ustawicznie podniecony, niepodobny do samego siebie. Amalryk przypuszczał, że usidliła go któraś z czarnookich, zmysłowych i bujnych Ormianek, tymczasem to była królewna... królewna...

Los urzeczywistniał zuchwałe marzenia, które on, Amalryk, dawno już poniechał, wyrzucił z pamięci i uwagi. Los...

Poczuł szarpnięcie, to Sybilla ciągnęła go za rękaw niecierpliwie. W zamyśleniu nie zauważył tego zgoła i zmieszany jął się pośpiesznie tłumaczyć.

— Nie mamy czasu na głupstwa — przerwała. — Sądzę, rycerzu, że w tej sprawie staniecie po mojej i brata waszego stronie?

— Oczywiście, wasza dostojność, o ile — dodał przezornie — nie będzie to w sprzeczności z honorem rycerskim.

— Żadnej sprzeczności nie będzie. Więc jesteście z nami. Nuże, myślcie prędzej, jak uchronić Wita...

— Od czego uchronić?

— Nie rozumiecie? O Boże! Przecież Baldwin każe go uwięzić albo wywieźć, żeby nas rozłączyć... Trzeba go strzec, trzeba go pilnować...

Pokiwał głową z uznaniem. Miała słuszność. Zakochana kobieta staje się przenikliwszą od najostrożniejszego mężczyzny. Król, a szczególnie Rajmund z Tripoli, gotowi usunąć Wita z jego wolą czy bez woli. Cudowne zrządzenie losu może prysnąć równie nagle, jak się poczęło...

— Nie puśćmy go do króla! — zawołała.

— To niemożliwe — odparł — pohańbiłby się w oczach wszystkich. Zresztą w pałacu go nie zabiją, ani nie zatrzymają... To pewne... Dopiero później...

— Chodźmy do matki! Do matki po radę!

Poszli śpiesznie. Agnieszka oczekiwała z niepokojem powrotu córki. Jak zwykle byli u niej patriarcha Herakliusz i wielki mistrz de Ridefort. Nie zdolna ukryć cokolwiek, zdążyła już im opowiedzieć o sercowych zmartwieniach Sybilli, toteż gdy ta wpadła z płonącymi policzkami i rozburzonym włosem do komnaty, zastała same współczujące i pełne zrozumienia twarze.

— Pani matko, radźcie, co począć! — wołała na poły z płaczem. — Baldwin nie chce się zgodzić. Nie chce. Kazał przyprowadzić Wita do siebie... Uwięzi go na pewno... Ratujcie!...

Amalryk przerwał rozważnie:

— Nie sądzę, by miłościwy pan targnął się na wolność pasowanego rycerza, któren niczym nie przewinił. Obawiam się jednak, że każe mu wyjechać, co brat mój posłusznie uczyni.

— To wszystko jedno. Jeśli mi go zabiorą, ja umrę! Umrę! O Boże mój, Boże!

Ukryła twarz na obfitej piersi matki i obie rozpłakały się rzewnie. Za ścianą dziecko krzyczało monotonnym, żałosnym głosem cierpiącego stworzenia. Patriarcha Herakliusz wzdychał nad nowym nieoczekiwanym kłopotem. Nienawidził powikłań życiowych. Tak piękne nabożeństwo, tak uroczyste przygotowywał już na ślub Sybilli! Znów trzeba będzie odłożyć. Amalryk milczał obracając w głowie przeróżne projekta, z których żaden nie okazywał się wykonalny. Niespodzianie, surowy zazwyczaj wielki mistrz okrasił twarz uśmiechem i rzekł:

— Któż by się nie ulitował nad tą parą młodych tak czule się miłujących?! Nie płaczcie, królewno. Waszego miłego ja wezmę w obronę.

Skinął na Amalryka i obaj wyszli z pałacu.

Dłuższą już chwilę Wit stał pośrodku sypialni, a król milczał. Młody rycerz, który był tu po raz pierwszy, rozglądał się z ciekawością. Piękne,

bogate sale, tylko ten zaduch! Cuch gnijącego ścierwa. Na łożu za zasłoną leży trup i zatruwa powietrze w koło...

Spoczywający nieruchomo trup myśli... Oto stoi o parę kroków ten, którego pokochała Sybilla. Powiada ona, że gdybym go mógł ujrzeć, uznałbym jej wybór za dobry... Ma być piękny. Każdy zdrowy człowiek jest chyba piękny już przez to samo, że nie gnije... Skóra zdrowego człowieka jest gładka, twarda, ma jędrny, przyjemny zapach... Ludzie zdrowi mogą się kochać. Są pełni sił i radości. „Piękny, piękny" powtarzała Sybilla. Cóż by uczynił ten piękny rycerz, gdybym mu kazał podejść i dotknął go dłonią?... Czy posłuchałby?... Kto wie? Może by posłuchał... Stałby się potem trędowatym jak ja. Sybilla wyrzekłaby się go natychmiast... Brzydziłaby się nim, jak się brzydzi mną... Jakież proste rozwiązanie!... Nie, bracia lazaryści nie dopuściliby go, choćbym kazał... Zresztą ja sam... przecież ja sam...

Długo trwające milczenie stało się w końcu zbyt ciężkie. Trup poruszył się i przemówił:

— Po bitwie pod Montgisard, gdy zdejmowano mnie z konia, podbiegliście, rycerzu, chcąc mi pomóc, zapominając o mojej chorobie. Cny to był postępek, chociaż nieopatrzny. Toteż posłyszawszy, że stawaliście mężnie w boju, poleciłem księciu Tripoli, by was pasował rycerzem. O ile wiem, byliście u nas wszystkiego kilka niedziel. Otrzymaliście pas, na co inni czekają latami...

— Będę wam za to zawsze wdzięczny, miłościwy panie — zapewnił chłopiec żarliwie.

— Dostawszy pas mieliście pono wracać do kraju?

— Tak jest, miłościwy panie, jeno galery zostały zadzierżone.

— Ninie ten zakaz już zdjęty. Cóż was jeszcze trzyma?

A gdy młody rycerz milczał czerwony i zmieszany, dodał:

— Pokochaliście tutejszą białogłowę? Jak ona się zowie?

Wit nie odpowiedział. Na kości św. Mamerta! Nie narazi przecież czci niewiasty, która mu zaufała! Niech król pyta, wiele chce. Nic się nie dowie.

— Niewiasta, którą miłujecie, była tutaj przed chwilą. Powiedziała, że chce was poślubić. Znam ją dobrze, nadto dobrze. Możecie więc mówić szczerze. Czekam.

— Krewniaczka rycerza Renalda z Sydonu — wybąkał Wit niechętnie.

— Gdzieście ją poznali?

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Jak się zowie?

— Nie wiem.

— Miłujecie ją, nie znając nawet imienia?!

— Kazała mi... kazała nazywać się Meluzyną...

— Co to znaczy?

— To jest miano jednej wróżki, która...

— Co poza tym wiecie o tej niewieście?...

— Przyjechała przed pół rokiem... Zły brat chce ją wydać za niekochanego człeka...

— Aha! Obiecaliście zapewne obronić ją przed tym?

— ...Tak... miłościwy panie.

— Otóż tym bratem jestem ja, a ową wróżką moja siostra, królewna Sybilla...

— Na niewinną Mękę Pana!!...

Poprzednie zdumienie Amalryka nie było większe niż obecne jego brata. Meluzyna, kusząca, czarowna uwodzicielka, dla której zapomniał Łucji, wyjazdu, domu, Meluzyna o płonących wargach, wężowych ruchach, zuchwałym spojrzeniu — to królewna! Królewna, z którą chciał go wyswatać Amalryk, królewna, zaręczona z Ibelinem... Sybilla!...

— Nie wiedziałem! — wyjąkał z rozpaczą.

— Wiem o tym. Skłamała wam. Teraz wiecie. Wiecie też, że mąż mojej siostry ma zostać królem i rządzić tym państwem, w niełatwych iście warunkach... Odpowiedzcie mi w swym sumieniu: zali czujecie się do tego, by nim zostać?

— Nie! Nie! — zawołał Wit z przerażeniem. — Nie potrafiłbym! Nie chcę!

— Ja też tak sądzę. Niewdzięczne to zadanie, wymagające długoletniego przygotowania i znajomości ludzi... Cóż wam zatem wypada uczynić?

Wit milczał zwiesiwszy głowę. Rozumiał, co król miał na myśli. Powinien wyjechać. Natych-

miast, nie mieszkając wyjechać. Wymazać z pamięci ostatnie trzy tygodnie i wracać do domu. Ale jakże to teraz trudno, trudno, trudno...

...Meluzyna jest Sybillą. Ibelin jej narzeczonym. Ibelin z Ramli wziął go, Wita, pod swoją opiekę, gdy jechali pod Aleppo. Pouczał o rzemiośle rycerskim na równi z Maciejem de Guerce... Ibelin prawy, zacny rycerz... Trzeba jechać...

— Powrócę do kraju — rzekł z wysiłkiem.

— Dziękuję wam. Jesteście dobrym rycerzem. Dziś jeszcze jedźcie do Jaffy. Dam wam ludzi, konie, wozy pod rzeczy. Galera odpłynie zaraz, gdy tam przybędziecie.

— Czy mogę pożegnać się z... nią? — zapytał Wit wahająco.

— Nie! Zatrzyma was, nie puści. Jedźcie zaraz. O nią bądźcie spokojni. Nic jej nie grozi. Pocierpi parę dni i zapomni.

— Nie mogę wyjechać bez pożegnania... — bronił się Wit, skrzywiony jak małe dziecko.

— Nie wypuszczę was stąd, aż mi dacie słowo, że jej nie zobaczycie i wyjedziecie dziś jeszcze. Jadąc całą noc staniecie w Jaffie na rano. Odpływajcie z portu natychmiast. Zresztą ja wydam ludziom rozkazy.

— A jeśli, jeśli... ona?...

— Boicie się, że umrze z rozpaczy? Nie ma obawy, znam moją siostrę. Więc cóż?

— Odjadę dzisiaj, nie widząc się z nikim.

— Niech Bóg wam to wynagrodzi!

Król zmęczony zamilkł, a Wit stał nadal, niezdolny uporać się z własnymi myślami. Chwilami zdawało mu się, że cierpi nieskończenie, cierpi do bólu, do krzyku, że nie podoła, nie będzie w stanie dotrzymać przyrzeczenia... To znów przemykało przez głowę wrażenie, jak gdyby go budzono przemocą z dręczącego snu. Uczucie bliskiej ulgi przebijało skroś sennych zwidów. Na razie kocha tylko Sybillę-Meluzynę, myśli tylko o niej, należy cały do niej; kto wie jednak, gdy okręt odpłynie, czy nie zdoła się uwolnić, odnaleźć w pamięci Łucję, tak do niedawna drogą narzeczoną. Byle odpłynąć, odpłynąć...

— Czy rycerz de Lusignan jest jeszcze tutaj? — zapytał król nagle.

— Jestem, miłościwy panie.

— Odsyłam was do domu, a może brak wam grosiwa?... Powiedzcie szczerze. Oddajecie mi taką przysługę, że z gotowością wspomogę...

— Nie potrzebuję niczego! — oburzył się szczerze Wit. — Nie przyjąłbym przecież za to, że...

— Nie chciałem was urazić. Dziękuję raz jeszcze. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Potykając się jak kołowaty, Wit wyszedł z pałacu. Nie uszedł kilku kroków, gdy krzyknął, szarpnięty znienacka z tyłu za ramiona. Obalono go na ziemię, przyrzucono płachtą. Darmo wyrywał się i rzucał jak dzik, darmo usiłował sięgnąć miecza. Kilku nieznanych napastników związało spowitego, skrępowało, uniosło z ziemi, wzięło

na ramiona. Na wpół zduszony rzucał się jak ryba, lecz bez najmniejszego skutku. Napastnicy nieśli go śpiesznie dokądś... Dokąd? Przyszło mu na myśl, że może król nie dowierzając jego słowu kazał go porwać i wywieźć. Na myśl o podobnej zniewadze krew w nim zakipiała. Potem posłyszał łoskot otwieranych drzwi, ocierał się o ściany. Na koniec położono go na ziemi, rozwiązano, zabrano miecz. Nim zdążył jednym skokiem porwać się z podłogi, odrzucić płachtę z krzykiem: Do pioruna! nie było już nikogo koło niego. Znajdował się sam w przestronnej, wysokiej komnacie prawie ciemnej, bo rozświetlonej jednym tylko olejnym kagankiem. Rzucił się do drzwi. Były zamczyste, od zewnątrz zamknięte. Walił w nie pięściami. nogami, krzyczał, nasłuchiwał. Nic, cisza. Oglądnął okna. Wysoko umieszczone, posiadały silne kraty. Aż jęknął stwierdziwszy swą bezsilność. Nie może tu przecież pozostawać! Musi jechać, jechać! Dał słowo, że wyjedzie! Kto go więzi? Nie król, bo król chciał jego wyjazdu. Więc kto? Dlaczego? Dał słowo. Król go poczyta za kłamcę, za zdrajcę... Wypuśćcie mnie zaraz! Wypuśćcie!

Krzyczał, aż ochrypł. Stukał do drzwi, aż mu ręce spuchły i zdrętwiały. Zmęczony usiadł bezradnie. Poczucie, że wszystko, co się wkoło niego od pewnego czasu dzieje, jest przykrym, dręczącym snem, powróciło natarczywie. Ach, niechże go kto zbudzi, niech on odpłynie od brzegu, odpłynie... Zadrzemał, sam nie wiedząc kiedy, dość

czujnie jednak, by porwać się na równe nogi na skrzyp uchylanych drzwi. Nareszcie! Ktoś wszedł. Wionęła smuga zapachu. Za nią szept:

— To ja, miły... Meluzyna...

Już był przy niej.

— Wiem wszystko. Wypuść mnie! Wypuść mnie zaraz!

Uśmiechnięta, z oczami błyszczącymi patrzała na niego bez słowa. Rzucił się do drzwi. Były jak poprzednio zawarte.

— Jakże cię wypuszczę? — rzekła w końcu — kiedy jestem też uwięziona. Zamknięto nas oboje...

— Dlaczego?! Dałem rycerskie słowo, że odjadę, że cię nie ujrzę... Ja oszaleję, ja się mieczem pchnę...

— Nie masz go na szczęście — zauważyła wesoło.

Chciała go ująć za rękę. Cofnął się i usiadł kryjąc twarz w dłoniach.

— Oszukałaś mnie. Nie powiedziałaś mi prawdy.

— W czym cię oszukałam? Że przemilczałam, iż jestem królewną? To dla mnie nie ma żadnego znaczenia. A wróżką jestem rzeczywiście. Nie wierzysz? Jestem Meluzyną. Nie sądź, byś kiedykolwiek zdołał się uwolnić ode mnie... Jesteś mój, mój... mój... Nie rób przerażonej miny... Czyż jestem straszną? Czy się mnie boisz?... Kochany...

Milczał. W uszach mu szumiało. Miał wyjechać, wyzwolić się... Jakiś okręt odpływał bez niego. Na nim odpływała Łucja, cała przeszłość,

kraj tak bardzo ukochany... On został w niewoli u wróżki...

Wróżka śmiała się srebrzyście z jego przygnębienia.

— Nie śmiej się — jęknął. — Król... Moje słowo...

— Cóż jesteś winien, że słowa nie możesz dotrzymać?... Uwięziono cię... Uwięziono nas oboje... Pozostaniemy tu razem, Bóg wie jak długo...

— Gdzież my jesteśmy?... Kto śmiał?...

— Gdybyś był dłużej w Jerozolimie, domyśliłbyś się już dawno, widząc ten napis. — Wskazała ręką na drzwi. Nad kamiennym obramowaniem widniały słowa: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam.* — Wprawdzie jest właśnie na odwrót, ale to nic. To siedziba przezacnych rycerzy Templum. Oni postanowili nam pomóc. Trzeba o tym w przyszłości pamiętać... Król może będzie nas chciał dobywać zbrojnie. Niech dobywa. Nimby tu jego ludzie weszli, dawno będziemy po ślubie...

— Nie chcę ślubu! — krzyknął z rozpaczą. — Nie mogę!

Przysunęła się tuż blisko.

— Nie chcesz?... Powtórz mi, że nie chcesz...

---

# ROZDZIAŁ XV.

## Z M A R T W Y C H W S T A N Ę...

Uczony Wilhelm, arcybiskup Tyru, siedział pochylony nad dwudziestą czwartą księgą dziejów królestwa jerozolimskiego. Była to najważniejsza praca jego życia, zapoczątkowana przed kilkunastu laty na życzenie Baldwina III. Od soboru w Clermont w 1095 r., gdy tłumy porwane wymową Piotra Eremity oraz papieża Urbana II ruszyły na Wschód jak wezbrana fala, nie pominięto tu ani jednego roku. Pragnąc najdokładniej opisać owe dawne i zawiłe dzieje, uczony mąż wczytywał się we wszystkie istniejące kroniki współczesne, z ich sprzecznych często słów usiłując wydobyć sól prawdy i rzeczywisty obraz wypadków. W swej sumienności nie ograniczał się do źródeł latyńskich, sięgając również do greckich, syryjskich, a nawet arabskich. Niejednokrotnie więcej niż słowo pisane pomocną mu była ustna tradycja, wiernie przez poszczególne rody rycerskie przechowywana. Wszystko to spisywał skrzętnie. Na koniec doszedł do czasów, które już sam osobiście przeżył, na które swoimi oczami patrzył, które mógł według własnego pojęcia naświetlać. Czasem, gdy spojrzał na te piętrzące się księgi, ogarniał go dziw, że tyle czasu żył, tyle widział, do-

znał. A co jeszcze zobaczy? Westchnął ciężko, bo czasy przyszłe nie zarysowywały się przed nim radośnie, i znużony odłożył na chwilę pióro.

Piasek lśnił w piaseczniczce. Muchy brzęczały. Powietrze było duszne, męczące. Dawniej wystarczało mu zawsze czasu, by każde zdarzenie dokładnie rozważyć, z dwu stron rozpatrzyć, swój sąd umiarkowany, sprawiedliwy (o ile sąd ludzki sprawiedliwym być może) zapisać. Dawniej tak było. Od pewnego czasu nie nadążał. Sam nie wiedział, czy dlatego, że bardzo postarzał i praca nie szła mu skoro, czy też, że wypadki nieoczekiwane pędziły za sobą jak tabun spłoszonych koni. Ot, choćby te wszystkie zatargi spowodowane zerwaniem małżeństwa królewny Sybilli z Ibelinem z Ramli! Arcybiskup miał dotąd żywo w oczach pamiętne zebranie rady zwołane z tego powodu i nie mógł o nim wspominać bez zgrozy.

Zebrali się wszyscy, wszyscy. Przewodniczył Rajmund, książę Tripoli. On, arcybiskup, chodził nieustannie tam i nazad do złożonego niemocą króla, powiadamiając go o wszystkim, co mówiła rada, i w zamian przynosząc od niego odpowiedzi i rozkazy. Ibelin z Ramli, bardzo poterany i frasobliwy, siedział obok brata swego, Ibelina Baliana. Jużci dla obu przykra była ta historia. Gdyby nie szaleństwo królewny, Ibelin byłby już królem. „Za wcześnie cieszyłeś się, bratku" — mruczeli niektórzy. Du Gray powtarzał: „A nie mówiłem, nie mówiłem, że będzie jak z Konstancją?"

Amalryk Luzynian był osowiały, niespokojny, jak się to wszystko obróci. Patrzono na niego koso, posądzając o ciche współdziałanie z zakonem. Jocelin de Courtenay mrużąc zapite oczy pokpiwał zeń bezlitośnie. Najgorzej czuł się Renald z Sydonu. Za jego sprawą (o czym dotychczas nie wiedziano) Sybilla poznała się z Witem, a stąd poszła cała bieda. Sam odjeżdżającego Luzyniana chodził prosić... Na św. Drzewo! I któż mógł przewidzieć! Bodaj piekło pochłonęło Górę Zgorszenia, zanim tam pojechał! Wygadany kpiarz stracił zwykłą swadę i milcząc myślał, czy nie lepiej samemu opowiedzieć, jak było, niż czekać, aż inni to na wierzch wywloką? Na razie milczał.

Rajmund z Tripoli w zastępstwie króla przedstawiał radzie niegodziwość templariuszów, którzy wbrew wszelkiemu prawu i królewskiej woli porwali młodszego rycerza Luzyniana, gdy ten zbierał się odjeżdżać do kraju, i więzili go dotychczas.

Wielki mistrz nie przejmował się tym zarzutem bynajmniej.

— Nie porywałem nikogo — twierdził — dałem schronienie prześladowanemu, gdyż to jest obowiązkiem każdego dobrego zakonnika. Rycerzowi de Lusignan wrócę wolność w chwili, gdy niebezpieczeństwo przestanie mu grozić, tj. gdy przystaniecie na jego małżeństwo z królewną...

— Przenigdy nie przystaniemy, a Luzynianowi nic nie groziło, kromia wyjazdu do kraju.

— Zali oderwanie od ukochanej istoty nie równa się wygnaniu, a wygnanie nie jest srogą karą dla każdego człeka? — zapytał wielki mistrz patetycznie. — Ja opowiadam się za tym małżeństwem. Uczucie tych dwojga mnie wzrusza.

Grube śmiechy wybuchły w odpowiedzi na nieoczekiwanie objawioną przez wielkiego mistrza skłonność do wzruszeń. Nikt jej istnienia dotychczas nie podejrzewał.

Gdy się uspokoili, zapytał napastliwie:

— W czym gorszy Luzynian od Ibelina?

Zahuczało znowu. W czym?! Młodziak! Gołowąs! Szczeniak! Osiem niedziel zaledwie, jak pas dostał! Nikt go nie zna! Nic nie umie! Przecież dopiero pod Aleppo uczono go składać się kopią! Król! Król! to miałby być król?! Śmiechu warte!

— Dlatego go popieracie! — krzyknął de Mouzon do wielkiego mistrza — że przy nim wam samym byłoby łacniej rządzić!

— Potrafimy rządzić przy każdym królu — odparł wielki mistrz wyniośle.

Lecz wszyscy byli przeciw niemu. Wszyscy, prócz Renalda de Chatillon. Pan Karaku Moabickiego opowiedział się za Luzynianem, pragnąc dokuczyć Rajmundowi, który jego napad na karawanę wracającą z Mekki nazwał łotrostwem.

Powiedziawszy krótko swoje zdanie, nie zwracał uwagi na dalszy przebieg narad, z ożywieniem opowiadając siedzącemu obok niego panu du Gray o najnowszych swoich zamierzeniach:

— Statków ze sześć rozbiorę na części. Rozebrane załaduję na wielbłądy i wio, przez pustynię, na Morze Czerwone! Na brzegu rychło złożymy galery i sułtana od tyłu zalecim... To będzie potrzeba, co? Wścieknie się ten Belzebub ze złości i dziwu... Jak mi Bóg miły, pójdę aż pod Mekkę... Jużem to sobie przednio obmyślił. Ani się muzułmany opatrzą, gdy spadniem jak z nieba.

— Z Saladynem pokój zaprzysiężony co ino — hamował go pan du Gray.

— Dobry rycerz nie zna pokoju z poganami.

Umilkli, bo stary konetabl, Onufry de Thoron, wstał dając znak, że chce mówić. Zwlókł się z łoża, by przyjść na radę, ciężko już chorym będąc. Nieposzlakowanej prawości starzec — o którym historyk arabski Ibn-al-Atyr pisał, iż jego imię jest synonimem honoru i męstwa — otoczony był takim szacunkiem, że w sali uczyniło się cicho, jakby makiem siał.

— Nie rozumiem dzisiejszych czasów — biadał staruszek — zda mi się, jakby nas wszystkich dur opętał albo blekotu nam miasto wina dano. Zali kto dawniej pytał się dziewki, kogo chce poślubić? Ojciec wybierał jej męża, a jeśli ojca nie było — brat. Nad czym my radzim? Templariusze uwięziły Luzyniana? A niech go sobie trzymają do skończenia świata! Na co nam Luzynian potrzebny? Postanowiliśmy za wolą królewską, że królewna Sybilla poślubi Ibelina. Niechże go pojmie zaraz i koniec. O co te narady?

Nieomal równie sędziwy de la Haye poparł gorąco wywody konetabla:

— Nigdy drzewiej czegoś podobnego nie było. Nie powinno być i teraz. Bo białogłowy nie mają ćwiczenia w poświęcaniu siebie dla społeczności i zawdy to, co ich dotyczy, to dla każdej najważniejsze. A zaczęło się to zło czasu pierwszej wyprawy krzyżowej, gdy nasi dziadowie szli dobywać Jeruzalem. Pomnę, nieraz mi ojciec opowiadał. Ojciec jeszcze to pamiętał. Co z kraju wyszło ciche, skromne, bojące, to w drodze rozpaskudziło się, że sądy trza było nad nimi zwoływać! A że na owych sądach sędziowie byli bardzo miłosierni, więc tak poszło! I doszło! Wszyscy widzimy... W starym kraju tak nie jest. Tam białogłowy po dawnemu przy kądzieli siedzą, zamieszania po świecie nie czyniąc!

— Prawie mówią! Prawie mówią! — zahuczano zewsząd. — Wołajcie królewnę! Powiemy jej, że musi wyjść, za kogośmy jej wybrali!

Ibelin z Ramli porwał się blady jak trup.

— Nie pozwalam! — krzyczał. — Nie chcę! Nie pójdę do ołtarza z przymuszoną!

— Ady, cichajcie. Nikt się was nie pyta. Nie przyczyniajcie nowej turbacji!

— Z wolą czy bez woli, patriarcha niech jutro ślub daje!

— Nie! Nie! — wrzeszczał Ibelin.

Ale nikt nań nie zważał. Wszyscy huczeli:

— Po królewnę! Po królewnę!

Wysłano giermka, który powrócił po chwili, oznajmiając, że jej dostojność skoro nadejdzie. Uciszono się zatem, czekając. Wielki mistrz przymrużał oczy złośliwie. Ibelin powtarzał uparcie:

— Nie chcę, by ją przymuszano!

Drzwi się otwarły szeroko. Weszła Sybilla cudnie przystrojona, nie sama. Trzymając za rękę prowadziła, a właściwie ciągnęła za sobą Wita Luzyniana, więźnia templariuszów. O ile królewna miała chód pewny, ruchy władcze, głowę wyzywająco podniesioną, o tyle młody rycerz wyglądał jak zając, który jeno patrzy, gdzieby czmychnąć. Czerwony, stropiony, pozwalał się wieść, spuszczając oczy, by uniknąć spojrzeń. Poczucie śmieszności obezwładniało go. Wstyd zalewał czoło. Oto patrzy nań książę Rajmund, który mu udzielił pasowania; oto Ibelin, który go do miecza przyuczał; stary konetabl de Thoron... Co oni o nim myślą? Jakie mają pojęcie? A przecież on jest uczciwym człowiekiem! Zawsze chciał postępować uczciwie... Ach, dlaczego go tu z kraju sprowadzono!

Sybilla wiodła go zuchwale ku podwyższeniu, na którym stał Rajmund. Przeciskali się pomiędzy siedzącymi.

— Trzymaj się, do diabła! Głowa do góry! — syknął Amalryk z wściekłością do brata, gdy ten się otarł o niego. Wit potoczył bezradnym wzrokiem w koło. Stanęli oboje przy podwyższeniu. Sybilla nie wypuszczała jego ręki, jakby w obawie, że zbiegnie. Tkwił przy niej z miną winowaj-

cy, czując się celem wszystkich spojrzeń. Przyglądano mu się ciekawie, gdyż mało kto go znał. Przedtem nie zwracali na młodziaka uwagi. Urodny, owszem. Gładki jak dziewka, ale nie król... nie król...

— Staliście się, rycerzu, przyczyną zamieszania całego kraju — rzekł surowo Rajmund.

— Na cześć rycerską, to nie moja wina! — zakrzyknął Wit tak szczerze, że wszyscy gruchnęli śmiechem, Amalryk zaś zsiniał ze złości.

— Bodajbyś przynajmniej wziął odpowiedzialność na siebie — mruknął z pasją. Wkoło wołano:

— Baba! Baba! Niedolatek! Niewiasta go zniewoliła!

— Milczeć! — zawołała groźnie Sybilla. — Przyszły król przed wami stoi!

— Przyszły król! Przyszły król! Cha! Cha!

— Milczeć! — poparł ją Ibelin. — Nie wolno obrażać rycerza!

— Patrzcie! Patrzcie, skąd obrońca!

— Przenigdy na to małżeństwo nie zwolim!

— Przenigdy? Ejże?! — Sybilla powiodła roziskrzonym wzrokiem po sali.

Była piękna i groźna. Wyzywała wszystkich. Czuła się silniejszą od nich. Wbrew im wszystkim przeprowadzi wolę swego ciała.

Twarz jej pobladła. Policzki płonęły. Drobne nozdrza rozdymały się gniewnie. Z daleka ze swego miejsca Ibelin wpatrywał się w nią z nabożnym zachwytem.

— Ejże! — powtórzyła. — Słuchajcie! Dwie niedziele rycerz Luzynian był więziony u templariuszów. Cały ten czas byłam zamknięta z nim razem. Jeżeli król chce, by jego siostra urodziła bękarta, niech się sprzeciwia małżeństwu!

— Ha! — rzekł, a raczej jęknął zdławionym głosem Ibelin. Zakrył twarz dłońmi i tak pozostał.

W sali po tym niesłychanym wyznaniu zaległo głuche milczenie. Pochylony naprzód, Rajmund patrzył na siostrzenicę ze zgorszeniem nie pozbawionym podziwu. Jocelin de Courtenay śmiał się głupkowato. Wit modlił się żarliwie o piorun, który by go spalił, a tym samym uwolnił z obecnego położenia.

Ciszę przerwał stary de Thoron.

— Hańba! Hańba! — krzyczał unosząc ręce do góry. — Oćwiczyć tę, tę... i wygnać! Oto, czego dożyliśmy!...

Daremnie starano się go uspokoić. Arcybiskup Wilhelm, przejęty, zatroskany, pobiegł do króla. Amalryk świdrował oczami brata, jakby ten wzrok miał być bodźcem. Wewnętrznie kipiał ze złości. Nigdy, nigdy Wit nie potrafi być królem. Nigdy baronowie nie zapomną, że stał przed nimi przytrzymywany przez kochankę, jakby sam był uwiedzionym, nie uwodzicielem!

— Usuńcie niecnotliwą!! — nie przestawał krzyczeć stary de Thoron. — Zginie państwo, skoro bezwstydna samowola dziewki wyższą się staje nad rozporządzenia Rady!

— A cóż wy innego czynicie?! — zawołała Sybilla bynajmniej nie stropiona. — Bardzo słuchacie Rady?!...

Arcybiskup powracał. Stanął przy Rajmundzie.

— Miłościwy pan oznajmia, że wobec gorszącego postępku Sybilli jerozolimskiej, wdowy de Montferrat, uchyla jej prawa do tronu, przenosząc je na Izabelę jerozolimską...

— Tak! Tak! Słusznie! Zgadzamy się!

Sybilla stanęła w ogniu. Tego się nie spodziewała. Parsknęła złym śmiechem, gotowa walczyć do ostatka.

— Izabela? Może ona ma poślubić Ibelina?! Obaczycie! Izabela zaręczyła się z Onufrym de Thoron i na nikogo innego nie przystanie! Nie chcecie mojego męża, będzie wam panował Onufry!

Zakotłowało się w sali. To jakiś obłęd! To obłęd! Stary de Thoron wdrapał się na ławę, by lepiej być słyszanym. Trzęsąc siwą głową krzyczał:

— Szlachetni rycerze! Mój wnuk nie nadaje się na króla! Byłby jeszcze gorszy niż ten!

— Za pozwoleniem! — wrzasnął Renald de Chatillon. — Onufry jest moim pasierbem! Ma wszystkie dane na króla! Ja się za nim opowiadam!

Wielki mistrz parsknął gniewnie. Ten zacietrzewiony głupiec rozbija ich przymierze. W sali się gotowało. Arcybiskup pobiegł znów do króla.

— Sybillo — rzekł przyciszonym głosem Rajmund — opamiętaj się! To, co się tu z twojej

przyczyny dzieje, to jasełka, igry rybałcie, nie rada! Tu o królestwo idzie! O królestwo!

— Nie cofnę się. Nie mogę już się cofnąć — odparła zacinając zęby.

— Nie jestem winien, nie jestem winien — powtarzał Wit, bliski płaczu.

Arcybiskup powrócił. Z twarzy widać było, że niesie ważne nowiny.

— Miłościwy pan — oznajmił — uchyla od tronu obie swoje siostry, prosząc radę, by zechciała uznać królem syna zmarłego Wilhelma de Montferrat i Sybilli jerozolimskiej, koronując go niezwłocznie, a regentem na czas jego małoletności mianując księcia Tripoli. Miłościwy pan usilnie o to prosi, polecając tę sprawę życzliwości tych wszystkich, którzy mu życzą spokojnego zgonu...

Głos uczonego załamał się przy tych słowach. Ale jego poselstwo trafiło na dobry grunt. Cała nieomal sala ryczała:

— Zgoda! Zgoda! Niech żyje Baldwin V! Niech żyje! Koronujmy go!

— Nie ma zgody! — krzyczeli wielki mistrz i pan de Chatillon, ale na nich nie zważano. Zresztą byli rozdzieleni. Jeden wołał: „Niech żyje Izabela!“ Drugi: „Niech żyje Sybilla!“

To poróżnienie pomogło przeprowadzić uchwałę omal jednomyślnie. I choć Rajmund miał wśród obecnych sporo niechętnych, nie czyniono mu trudności. Wszystko lepsze, niż rządy królików na-

rzuconych przez rozwydrzone dziewki: — Precz z Luzynianem! Niech żyje Baldwin V!

Sybilla tym razem była pokonana. Czerwona i blada na przemiany, wyszła z sali ciągnąc za sobą kochanka. Amalryk patrzył nienawistnie na brata i krzyczał najgłośniej:

— Niech żyje Baldwin V!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Przeglądając swe zapiski arcybiskup Tyru przypominał sobie całe owo pamiętne zebranie. W kilka dni później w Świątyni Grobu odprawiono zaślubiny królewny z Luzynianem, który otrzymał tytuł porucznika królewskiego, grabiego Askalonu i Jaffy. Uwolniony od grożącej mu korony, młody rycerz poweselał, nabrał odwagi i nawet pozyskał przyjaciół. Tylko Sybilla była niepocieszona po odniesionej porażce.

W dziesięć dni po ślubie Luzynianów odbyła się koronacja Baldwina V Dziecięcia. Baldwin IV Trędowaty, Baldwin V Dziecię. Dziwna to była koronacja. Książę Rajmund z Tripoli niósł na ramionach małego Pomazańca. Dziecko blade, wątłe, nigdy nie wynoszone z komnat, przerażone widokiem tłumu i przestrzeni, płakało głośno. Ten płacz dziecinny towarzyszył całej ceremonii. Jak gdyby chcąc to wynagrodzić, dopełniono obrządku niezwykle uroczyście i z wielką hojnością. Rozrzucano złote monety między tłum i ustawiono studnie z winem na placach. Lud się weselił i krzyczał ochoczo na cześć obu królów. Gdyż Baldwin

IV żył jeszcze i królestwo jerozolimskie miało chwilowo dwóch panujących.

— Obaj razem nie warci jednego zdrowego — wzdychał de la Haye.

Istotnie. Umierający i dziecko, wątła pajęczynka. Nici wiążące ich z życiem były jednako słabe. A co potem? Toteż regent Rajmund zachowywał w czasie koronacji twarz posępną. Pochylał się naprzód bardziej niż zwykle. Jeżeli dziecko, które mu kwili w ramionach, zemrze, tron wróci do Sybilli, chyba że zostaną obalone prawa dziedzictwa w ogóle, co jeszcze gorzej, bo wtedy może sięgnąć po koronę taki de Chatillon lub de Ridefort. Zaprawdę, niewesołe horoskopy!

Arcybiskup zamyślił się głęboko. Gdyby Sybilla wyszła za Ibelina, wszystko byłoby inaczej. Spokojna względnie przyszłość słałaby się przed królestwem. Oto, czego może dokonać drapieżne dążenie do osobistego szczęścia.

„Chcę żyć! Mam prawo do życia!" — wołała zbuntowana królewna. Prawo do życia?... A któż je posiada? Czy istnieje ono rzeczywiście? Czy życie nie jest wyłącznie ciężką służbą, od której nie wolno uchylać się nikomu? Człowiek rodzi się dla służby, żyje dla służby i umiera w służbie. Człowiek nie może nie służyć. Wolność jego polega jedynie na wyborze pana. Może służyć Bogu, może czartu, a może sam sobie. Najgorsza pono ta ostatnia służba.

. . . . . . . . . . . . . . .

Rozpamiętujący te wszystkie zdarzenia arcybiskup drgnął. Stukano do drzwi. Wstał i sam otworzył. Na progu stał brat Jan z twarzą zmienioną.

— Wasza dostojność, miłościwy pan pilno wołają...

— Co się stało? — zaniepokoił się uczony.

— Gorzej... Zdaje się, że już... — brat Jan zachłysnął się płaczem i nie czekając zawrócił.

Arcybiskup pośpieszył co żywo za nim. W komnacie królewskiej zastał już patriarchę i starego de la Haye. Za chwilę nadszedł Rajmund. Powietrze wypełniał nieznośny zaduch, dotkliwy mimo palonego obficie kadzidła. Na łożu leżał kształt, który dawno przestał być kształtem człowieczym. Rozkładające się ciało. Ale z bezzębnych wygniłych ust dobywał się jeszcze oddech, za wyżartymi oczami taiła się jeszcze czujna i przytomna myśl ogarniająca ciągle całe państwo.

— *Deus meus, in Te confido...* — modlili się głośno bracia lazaryści.

— Kto tu jest? — zapytał ledwie dosłyszalnie chory.

— Ja jestem, moje najdroższe dziecko...

— I ja jestem, Rajmund...

Nie odpowiedział nic. Nie wiedzieli, czy posłyszał. Rajmund siadł ciężko, targając frasobliwie wąsy. Regencja, którą go przed paru miesią-

cami obdarzono, wróżyła skończyć się rychło, bo dzieciak był podobno bardzo kiepski. Świeżo du Gray przyniósł mu wiadomości z dworu Agnieszki, pewne, zaufane. Matka się o dziecko nie troszczy wcale, jak nie troszczyła się zresztą od początku; zdane jest wyłącznie na opiekę babki. Wiadomo, jakie może być chowanie Agnieszki! Brud, opychanie słodyczami od rana do wieczora. Żadnego ładu. Uwielbia swego małego króla, ale go nie wychowa na pewno. Mały choruje na żołądek, ciągle laksuje, jest żółty, przezroczysty, nóżki się pod nim gną.

— Wasza dostojność — dodawał du Gray — zabierzcie go do Tripoli, gdzie i powietrze zdrowsze, a swojej małżonce w opiekę dajcie, bo tu długo niebożątko nie pociągnie...

— Gdybym wcześniej wiedział — odpowiadał Rajmund — może bym to zrobił. Moja Echiwia swoich czterech synów zdrowo wychowała. Żaden trądu nie dostał, ani nie laksował. Ale ninie tego uczynić nie mogę. Bo jeśli dziecko drogi nie wytrzyma i zemrze, powiedzą wszyscy, że to moja wina. Powiedzą, żem go struł, by tron dla siebie zagarnąć... Niechta! Niechta!

Żarła go jednak gorycz i ze stroskaną twarzą patrzył na konanie siostrzeńca. Hej, to byłby mąż, to byłby król, żeby nie trąd! Rycerska, twarda dusza! Rozpadł się nieborak. Podobnie jak on rozpadało się królestwo jerozolimskie, choć także mogło być rycerskie, wielkie i mocne... Żarło je,

podgryzało, toczyło jakieś nieznane zło, na które gdzie znaleźć lek?

— Wuju? — szepnął chory.

— Jestem przy tobie, Baldwinie.

— Brat Jan poda wam pierścień. Królewski pierścień. Bierzcie spokojnie. Ja go nie nosiłem... Oddacie kiedyś małemu... Powiadajcie mi teraz o małym. Zdrów? Bo ktoś mówił, że słabuje.

Rajmund zawahał się chwilę.

— Kto tak mówił — odparł stanowczo — łgał. Mały zdrów jak ćwik. Mocny. Wygląda na cztery lata, nie na dwa...

— Będziecie przy nim, aż urośnie w męża?

— Będę przy nim.

Umierający zamilkł znowu. Patrzyli weń nie wiedząc, czy żyje jeszcze, czy nie. Modlili się długo, żarliwie. Nagle trupia dłoń z ogniłymi kikutami palcy drgnęła. Z jamy ust dobył się bełkot. Arcybiskup Tyru nachylił się nisko, posłyszał:

— ...Chryste... Chryste... Byłem trupem... Gniłem żywy... Za to teraz zmartwychwstanę... Zmartwychwstanę...

---

## ROZDZIAŁ XVI.

### SZCZĘŚLIWA MATKO...

Człowiek rad wierzy w to, czego pragnie. Tedy i pani Benigna tak mocno a święcie uwierzyła w powodzenie najmłodszego syna, że list Amalryka donoszący o dokonanej koronacji Wita napełnił ją szczęściem, ale nie zadziwił. Czekała na tę wiadomość od dwu lat. Nie spodziewała się innej.

List ów przyszedł znowu, jak niegdyś, jesienną listopadową porą. Był to zwykły czas odbierania przesyłek ze Wschodu. Galery kupieckie, wyprawiające się do Ziemi Św. wiosną, wracały do macierzystych portów z końcem lata albo początkiem jesieni. Rozsyłane przez armatorów listy nie mogły wcześniej niż w listopadzie znaleźć się w rękach przeznaczonych.

Przymrozki zimowe nie kwapiły się latoś i wokół kasztelu Luzynianów chlapało grząskie, trudne do przebrnięcia błoto. Pan zamku Hugo Brunatny (który zresztą dawno stał się Hugonem Białym) ogłuchł doszczętnie w ciągu ostatniego roku i osłabł na nogi; nie ruszał się przeto ze swego poręczowego krzesła w sieni przed kominem. Najstarszy syn, Hugo, bawił po dawnemu na dworze angielskim i nie myślał o powrocie.

W domu pozostawał tylko niezdarzony Bertrand. Matka przestała mówić z nim o klasztorze, bo jakżeby sobie dała sama radę? We dwoje, stara kobieta i garbus, prowadzili gospodarstwo, oszczędzając na czym się dało, skąpiąc, docinając sobie wzajemnie.

Jak zwykle o tej porze, ranki były późne, ospałe, zmierzchy wczesne. Poranny i wieczorny udój odbywały się przy łuczywie, czyli w zupełnym prawie mroku. Na szczęście od dłuższego czasu węże nie pokazywały się wcale w oborze. Z wielkich drzew okalających zamek zwieszała się bura, postrzępiona mgła. W powietrzu był zapach zgniłych liści, trufli i wody. Rzeka widziała się czarna, jakby toczyła atrament. Wrony opadały chmarą wrzaskliwą pod lasem. Kawki kołowały wokół wieży Meluzyny. W zamku nieskończenie długie wieczory, rozjaśnione skąpo łuczywem (bo nawet prątki piskorzowe uważała pani Benigna za zbytek), wlokły się jednostajnie, nie urozmaicone przeżadną rozrywką. Skąpstwo Luzynianów było tak powszechnie znane, że nie zachodzili tu nigdy rybałci, kuglarze, wędrowni bajarze, a bodaj pielgrzymi. Nic nie przerywało głuchej pustki samotnych wieczorów. Jednostajnej ich nudy nawet kapelan nie mógł wytrzymać i wymykał się chyłkiem do znajdującej się we wsi gospody, gdzie przy sutym ogniu, buchającym na kominie, grał z plebsem w kości i słuchał wsiowych nowin. Pani Benigna zrazu gorszyła sie wielce takim pospolitowaniem się księ-

dza kapelana, lecz powtarzanych przezeń wieści słuchała chciwie. Na koniec czekała na nie i w duchu rada była tym wycieczkom. Sama pytała:

— I cóż słychać nowego na świecie, ojcze Gaudenty?

Ów „świat", dla którego nawet odległe o parę mil Poitiers zdawało się dalekie i niedosiężne, nie mógł jużcić dostarczać nowin wstrząsających. Jakiekolwiek jednak były, stanowiły strawę dla myśli, cieszyły, pozwalały snuć od nowa niewyczerpane marzenia: ...Starą Pawłową wygnały dzieci na żebry (mnie nie wygna mój syn... król!) ...U Maciejów młócą zboże, nieźle sypie (jak też sypie w Jerozolimie na królewskich łanach?) ...Błażejowie doczekali się wielkiej pociechy: syna bakałarz do siebie na naukę wziął, bo chłopak sposobny, matka aż skacze z uciechy (czym szczęście tej matki w porównaniu z moim? Nie do bakałarza mój poszedł, lecz na królowanie!) ...U Kulawego Piotra gotują się do wesela córki (hej! mojemu Witowi szykują już też pewnikiem królewnę).

Bertrand włóczył się po domu wiecznie skwaszony, zrzędzący nawet na matkę. Na wszystko, co go otaczało, zaczynał patrzeć okiem właściciela. Kto wie, czy ostatecznie nie zostanie tu na kasztelu dziedzicem, jeżeli braciom podoba się za morzem. Może by oprzeć się wysłaniu do klasztoru (o ile matka do tej myśli powróci), ożenić się, tak, właśnie, na przekór wszystkim ożenić się i pozostać? Snuli te myśli, matka

swoje, on swoje, siedząc naprzeciw siebie, w mroku nie widząc swoich twarzy. Pan ojciec Hugo Brunatny chrapał. W kominach wiatr huczał, gwizdał i tętniał.

W taki to wieczór przyniesiono list od Amalryka. Pani Benigna mało nie zasłabła z niecierpliwości, bo kapelana jak zwykle nie było i nie miał kto pisma przeczytać. Nareszcie ojciec Gaudenty nadbiegł zadyszany, czerwony od wypitego wina i zmęczenia. Usiadł przy stole przysuwając sobie zapaloną z racji tej uroczystości świecę. Odsapnął. Drzemiącego w swym fotelu starego pana nie budzono, gdyż i tak nic by nie posłyszał.

„*...Niech Bóg wspomaga Grób święty!* — zaczął kapelan uroczyście.

*...Najmiłościwszy panie ojcze dobrodzieju, najmiłościwsza pani matko dobrodziejko i ty drogi bracie, Bertrandzie! W pierwszych słowach mego listu polecam was opiece Boskiej a donoszę, że obaj z bratem Witem w dobrym zdrowiu i pieczy Opatrzności pozostajemy. Nie pisałem długo, bo wielkie tu były roztargania, także niepokoje, z łaską Bożą szczęśliwie zakończone. Onegdaj bowiem w Świątyni Grobu — Wita, któren pół roku temu królewnę Sybillę poślubił, królem wraz z nią koronowano...*

— Święty Mamercie!!! — wykrzyknął ojciec Gaudenty odkładając list. Spojrzał z osłupieniem na panią Benignę. Jak to, nie jest zdumiona? Nie jest zaskoczona? Zasłoniła twarz dłońmi. Łzy

lecą jej przez palce. O, Matko Boża... Stało się... Stało... Spełniło się, na co czekała... Nie zawiodło przeczucie, nie zawiodła pewność... O, błogosławiona surowości, z jaką mu wtedy rozkazała jechać!...

— Wit został królem? — powtarzał kapelan oszołomiony. — Ależ to jakiś cud chyba? Skąd tak nagle?

— Nie cud żaden i nie nagle! — krzyknęła pani Benigna. — Wiedziałam, że to się stanie, skoro tylko Amalryk po niego przysłał... O, święci Patroni!

Padła na kolana. Złożyła ręce. Ale nie mogła się modlić i poderwała znów z klęczek.

— Twój brat jest królem! — wrzasnęła do Bertranda, aż podskoczył.

— Przecież słyszałem — odmruknął. — Nie jestem głuchy jak ojciec.

— Ciesz się!

— Cieszę się szalenie — odparł przesadnie.

— Możesz zostać teraz biskupem, kardynałem, bo ja wiem, może papieżem?

— Dziękuję pokornie za łaskę — odparł schryple. Dławiły go zawiść, gorycz. Królem! Ten głuptas istotnie został królem! Amalryk nie pisałby takiej rzeczy na wiatr. To się naużywa dopiero! Porównać życie tamtego, pełne blasku, rozrywek, rozkoszy, z jego, Bertranda, bytowaniem w tym głuchym, posępnym kasztelu?... A przecież są braćmi. Oto sprawiedliwość, sprawiedliwość...

— Wit został królem! — darła się pani Benigna w samo ucho męża. Stary pan przebudzony łypnął okiem półprzytomnie.

— Hę, co takiego?

— Wit, Wit, został królem!

— Króle?... Szkodne juchy... Weźcie psy...

— Nie króle, ale królem! Wit królem!

— Wit przyjedzie? A to dobrze.

Uspokojony zadrzemał znowu.

— Może by dać wina czeladzi? — podsunął ojciec Gaudenty.

Bertrand skrzywił się niechętnie.

— Po co? Może jeszcze w dzwony bić?

— Co tu masz do gadania! — fuknęła matka. — Ksiądz kapelan ma słuszność. Wina zaraz każę dać i słoniny do chleba też...

Pobiegła do czeladniej.

— Ludzie! Ludzie! Panicz, nasz panicz, nasz Wit... jest w Jerozolimie królem! Z królewną się ożenił! W koronie chodzi!...

Otworzyli szeroko, niemrawie gęby, nic nie rozumiejąc.

— Wina po garncu dostaniecie! I słoniny! A jutro wolny dzień jak w święto!

Teraz dopiero uwierzyli, że coś niezwykłego zaszło, i ruszyli ku niej hurmem podejmować pod nogi, dziękując i paniczowi wszystkiego dobrego życząc.

Słuchała z roztargnieniem i znów pobiegła do sieni. Przecież kapelan nie odczytał jeszcze ca-

łego listu! Usiadła z powrotem przy stole wpatrzona w płomyk świecy. Twarda jej twarz, rozświetlona uśmiechem, złagodniała, zmiękła.

Ojciec Gaudenty skwapliwie podjął czytanie:

*„...Jest tedy Wit królem, jak to wam, pani matko, obiecałem. Wielki stąd splendor na cały nasz ród, ale i zazdrości po świecie niemało. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Wit szanował moje rady, na które chyba narzekać nie może. Większą powolnością oszczędziłby sobie i mnie wielu kłopotów...*

— A po cóż miałby słuchać Amalrykowych rad?! — oburzyła się pani Benigna. — Nie potrzebuje, Bogu dzięki, słuchać się nikogo...

*...Położenie tu nie jest łatwe i lżej pono królem zostać, niż się na królowaniu utrzymać. Wielkiej do tego trzeba głowy i doświadczenia, a u Wita szwankuje i jedno i drugie. Powiem otwarcie, że nie wiem, czy większego durnia święta ziemia urodziła...*

— Co takiego?! — skoczyła matka.

— O, słusznie pisze... — ucieszył się Bertrand.

Pani Benigna oburzona uderzyła pięścią w stół.

— Cicho bądź! Amalryk taki sam zazdrośnik jak ty! Przez zawiść pisze, przez zazdrość, że nie jego obrano. To jasne! Jak śmie!... „Dureń!?" Gdzie to stoi napisane, ojcze Gaudenty?

— Tutaj — pokazał skwapliwie kapelan. Sylabizowała z trudem litery: *imbécile*... Wodziła

po nich palcem, jakby pragnąc bluźniercze słowo wydrapać, wymazać. I to brat ośmiela się podobną rzecz pisać na brata, króla... Zazdrość!... zazdrość!... Wit jest taki piękny, taki mądry, taki czarujący, że obaj bracia chętnie by go w łyżce wody utopili... Wit miałby się słuchać Amalryka?! Co za uroszczenia! Gdyby Amalryk był mędrszy od Wita, królewna wyszłaby za niego, to jasne.

Kapelan wycierał hałaśliwie nos.

— Sam się dziwię — zauważył — że Amalryk w ten sposób pisze o królu...

— Prawda?! Przecież, gdyby był durniem, nie wybraliby go! — krzyknęła radośnie. — Mój najdroższy, najśliczniejszy, moje dziecko ukochane! Ja się na nim pierwsza poznałam... Ja od małego wiedziałam... Jaki ten Amalryk zawistny... Obaj z Bertrandem jednacy... Mniejsza o nich... Nabożeństwo dziękczynne trzeba będzie odprawić, ojcze Gaudenty?

— Już myślałem — odparł — by w niedzielę zrobić uroczystą wotywę, na co by się cała wieś zeszła. I kazanie powiedziałbym o tym, jak cnota na wyżyny, na tron królewski prowadzi... Ale się nie da.

— Dlaczego?— zalterowała się pani Benigna.

— Bo ornat taki podarty, że wstyd go obcym pokazywać.

— Nie można naprawić?

— Do niedzieli? Pewnie, żeby można. W jeden dzień można. Jeno jedwabiu trzeba kupić i podłatać.

— Dam ojcu cztery denary — szepnęła z wysiłkiem.

Rozłożył ręce bezradnie.

— Nie starczy.

— Dam sześć... osiem... Dam dziesięć — postanowiła bohatersko. — Dziesięć denarów, od króla.

— Bóg zapłać, cna pani. Użyczcie mi też konia do Poitiers. Tam kupię sajetu, a przy tym do biskupa zajdę i opowiem.

Mądry był ojciec Gaudenty i wiedział, jak zażyć człowieka. Pani Benigna dała konia, a po dłuższych certacjach dorzuciła jeszcze denarka na nici. Rozeszli się późną nocą. Szczęśliwa matka nie mogła zasnąć. Przewracała się na łożu, wstawała, wyglądała przez okno, bo psy czegoś ujadały, kładła się znowu i leżała bezsennie, czujnymi oczami patrząc w ciemną przestrzeń. ...Koronowali go w Świątyni Grobu... Jakże to pięknie musiało wyglądać! Tak, jak sobie marzyła niegdyś... Och, móc zobaczyć tego najdroższego! Dwa lata, jak go nie widziała...

— A gdybym tam pojechała? — przemknęło jej przez głowę.

Zrazu odepchnęła tę myśl jako szaloną i niemożliwą, pomału, gdy myśl ustąpić nie chciała, jęła się jej przyglądać uważniej. Niemożliwe? Czy naprawdę niemożliwe? Mało to kobiet pątniczek jeździ do Ziemi Świętej? Czemużby ona nie miała pojechać, królewska matka? Czy jej się to nie należy? Czy od kilkudziesięciu lat miała dla siebie

jakąś rozrywkę, przyjemność? Pieniądze na drogę ma, pieniądze, które od dawna ciułała dla Wita. Teraz już mu niepotrzebne matczyne ubogie grosze. Cały kraj i wszystko, co w nim, do niego należy. I nie weźmie na pewno matce za złe, że wyda tę kwotę na podróż do niego. Bertrand będzie się krzywił, ale to trudno. Może wszystkich pieniędzy nie będzie potrzeba, może mu coś zostawi? Trzeba ze skrzyń wydobyć stare, wyprawne przyodziewki. Odtrzepie się to, wyochędoży i wystarczą. Tylko trzewiki należy kupić, bo w drewnianych chodakach nie uchodzi na synowski dwór jechać, a tamte aksamitne całkiem się rozlazły...

Gdy późny świt zabielił się nad drzewami, miała już w głowie całkowity plan podróży drobiazgowo obmyślony. Weźmie ze sobą ojca Gaudentego. Zawsze to raźniej mieć duchowną osobę przy sobie. Przy tym kapelan, człek bywały, wszędzie da sobie radę, gdy ona nigdy dalej niż w Poitiers nie była. Pojadą razem. Na gospodarstwie pozostanie Bertrand... Teraz, zimą, pora do podróży nieodpowiednia, ale niech się jeno wiosna zrobi, pojedzie matka do syna, pojedzie...

. . . . . . . . . . . . . .

Sybilla wstała od gotowalni i z zadowoleniem spojrzała w zwierciadło. Obie jej ulubione dwórki, Kachna de la Haye i Monika d'Avesnes, patrzyły na nią ze szczerym, nieukrywanym zachwytem. Istotnie, w tym okresie swego życia Sybilla, siostra i matka zmarłych niedawno dwu Baldwinów,

wyglądała nadzwyczaj pięknie. Zmysły jej były syte, ambicja zaspokojona. Cokolwiek przytyła, nietyle, by stracić na lekkości, lecz wystarczająco, by dodać majestatu postawie. Królowa w każdym calu — pomyślała sama o sobie z zadowoleniem i poprawiwszy na głowie lekką, wąską, przecudnie kowaną koronę, ruszyła ku sali obrad, gdzie król na nią czekał. Obie dwórki szły po bokach swej pani. Czterech paziów poprzedzało ją, dwóch szło z tyłu niosąc ogon płaszcza. W ten sposób orszak sunął przez liczne komnaty, w ciągu ostatniego roku bogato odnowione i przystrojone. Tylko komnata nieboszczyka króla pozostawała zamknięta na głucho i nikt do niej nie zachodził.

Ani jedno posiedzenie rady baronów nie obyło się bez Sybilli. Lubiła czasem udawać, że ją to nuży. Musi się jednak poświęcać, bo ten poczciwy Wit kroku bez niej nie uczyni.

Weszła uroczyście do sali i z niezadowoleniem spostrzegła, że króla jeszcze nie ma. Gdzie się podział? Obaj giermkowie, jeden trzymający miecz, drugi berło, stali koło tronu. Czyli, że był, ale gdzieś poszedł. Wieczny kłopot z tym człowiekiem!

Prócz króla i obu mistrzów zakonów, również nieobecnych, całe rycerstwo było już zebrane. Spomiędzy dawniej tu zasiadających ubyli: stary de Thoron, de la Haye, dziad ulubionej dwórki Sybilli, Kachny, arcybiskup Wilhelm, biskup Aubert.

Ich miejsce zajęli nowi. Nie było również krótkotrwałego regenta, Rajmunda z Tripoli.

Ten opuścił Jerozolimę zaraz po pogrzebie maleńkiego Baldwina Dziecięcia. Przed odjazdem miał krótką, ale dosadną rozmowę z Sybillą.

— Osiągasz, czego pragnęłaś — mówił. — Bodajeście oboje nie zaprzepaścili królestwa! Strzeż się wielkiego mistrza!

— To nasz przyjaciel — odparła niechętnie.

— Przyjaciel, póki wami kieruje, jak chce. Niech no byście spróbowali swą wolę okazać, dopiero wyjrzałby wróg...

Machnął ręką i dokończył:

— Jeno, że twój mąż nigdy swojej woli nie okaże... Niech Bóg trzyma was w swojej opiece... Gdyby było źle, wezwijcie mnie. Przybędę zawsze. Ciężko mi odjeżdżać, Sybillo, bardzo ciężko. Twój mąż z masła, nie ze stali, ty masz wprawdzie wolę, masz energię, ale nie widzisz dalej niż koniec swojego nosa...

Obraziła się. Odjechał. Nastąpiła koronacja. Do ostatniej chwili panowie baroni sprzeciwiali się ukoronowaniu Luzyniana. Postanowiono, że patriarcha tylko królewnę namaści. Ale gdy włożono koronę na głowę Sybilli, ona schwyciła ją i włożyła przemocą opierającemu się gwałtownie mężowi. Patriarcha namówiony przez Agnieszkę nie przeszkadzał. Wielki mistrz krzyknął: — Święta korona Baldwina I spoczęła na jego głowie! Stało się! Fiat voluntas Tua!

I Luzynian został królem.

Od tego czasu upłynął już rok. Szybko zleciał, wśród nieustających zabaw i przyjęć. Od czasów królowej Melizandy nie było na dworze jerozolimskim tylu uciech i turniejów.

Król ciągle nie nadchodził. Zza drzwi zamkniętych wiodących z zewnątrz pałacu dolatywały podniesione męskie głosy. Sybilla zniecierpliwiona skinęła na Renalda z Sydonu. Podbiegł szybko, wesoły i beztroski jak dawniej.

— Gdzie jest miłościwy pan?

— Tam za drzwiami — objaśnił uprzejmie. — Wielki mistrz Templum i wielki mistrz szpitalników pokłócili się o to, który pierwszy wejdzie na salę. Miłościwy pan poszedł ich godzić...

Zmarszczyła gniewnie brwi.

— Ależ to do niego nie należy! Niechby kogo posłał!

— Zapewne, miłościwy pan jest jednak zawsze tak uprzejmy...

Uśmiechał się dobrodusznie i drwiąco zarazem. Mógł sobie pozwolić na większą śmiałość niż ktokolwiek inny, gdyż Sybilla nie mogła się bez niego obyć.

— Uzbrójcie się w cierpliwość, miłościwa pani — ciągnął — gdyż sporu rychło nie skończą. Gdy de Ridefort i Roger de Moulins puścili w ruch języki, nie zatrzymają ich łatwo. Obawiam się, że nawet interwencja miłościwego pana nie pomoże. Muszą się wygadać. Mój Boże, jak błogo żyliśmy ostatnie lata, gdy poprzedni wielki mistrz szpitalników był chory i nie targował się z nikim o wej-

ście do sali! De Moulins powetuje sobie te czasy stracone. Ach, i jakimże świat byłby rajem, gdyby litościwy Stwórca zesłał pomór na wielkich mistrzów!

Sybilla ziewnęła.

— Opowiedzcie mi coś zabawnego, ciekawego...

— Jakąś najświeższą plotkę? Oto jest. O patriarszynie...

— O kim? — zapytała.

— O patriarszynie, nałożnicy naszego świątobliwego Herakliusza...

— Ach tak! Jak ona się nazywa? Paskalina? Nieprawdaż?

— Paskalina Riweti z Napluzy... Otóż patriarcha idzie wczoraj przez plac bazyliki. Jakiś wędrowny gędziarz woła: „He, ojczulku dostojny! Rzuć mi dukata, powiem ci dobrą nowinę!" — „Cóż to za nowina?" — pyta patriarcha. — „Nowina jak złoto, ważna dla całego chrześcijaństwa, ale rzuć dukata". — „Powiedz najpierw, dopiero rzucę". — „Nie, płać z góry!" Targują się, tłum ciekawy gromadzi się w koło. Nareszcie patriarcha daje dukata. Żartowniś woła: „Wróciłem dzisiaj z Napluzy! Twoja żona, Paskalina, powiła córkę, ale do ciebie, ojczulku, wcale nie podobna!..."

Sybilla śmiała się głośno.

— Dopiero patriarcha musiał mieć minę!

— Ja sądzę. Co prawda — Renald nieoczekiwanie spoważniał — patriarcha niedobrze czyni, takie zgorszenie siejąc. Strach posłuchać, co powiadają o nim pielgrzymi przychodzący do Grobu

świętego. Bieda bez arcybiskupa Wilhelma! Póki on żył, Herakliusz jeszcze się hamował i co czynił, to kryjomie.

— Tak się czegoś zmarło arcybiskupowi...

— Ano. Jeszcze rześki był stary. Podróż do Rzymu odbył i nic na zdrowiu nie osłabł, a potem nagle...

— Powiadają, że go struto?

— Tak powszechnie mniemają, ale poszlak żadnych nie było.

— Czy to prawda, że jeździł do Rzymu prosić, by złożono z urzędu Herakliusza?

— Prawda. Wiem z całą pewnością od Plebanusa, któren z nim był. Podobno padł Ojcu św. do nóg i szlochał. Mówił: „Jeden Herakliusz odzyskał Drzewo św., drugi Herakliusz je straci! Obaczycie!" I Ojciec św. dał mu pismo składające patriarchę z urzędu.

— Co się stało z tym pismem?

— Znikło. Nie znaleziono go nigdzie. A Plebanus może przysięgać, że było.

— Aha — rzekła Sybilla ze zrozumieniem. — To chyba łatwo domyślić się, kto...

— Oj, nie łatwo, nie łatwo... Innego mogła być myśl, innego ręce... W ogóle wiele się koło nas dzieje rzeczy niewyjaśnionych, dziwacznych, tajemniczych, których nigdy ani wyśledzić, ani uchwycić nie można... Człowiek czasem gotów wierzyć w duchów, w diabły, jak prostaczkowie wierzą... Ot, na przykład, pamiętacie może, miłościwa pani, naszą nieopatrzną a doniosłą w skutki

wyprawę na Górę Zgorszenia? W parę dni potem zgadało się coś z wielkim mistrzem o tych zwaliskach i mówiłem mu, com słyszał. Bardzo się tym zaciekawił i pojechaliśmy razem, wziąwszy kilku jego ludzi, bo to śmiałki, co się i diabła nie boją. Przeszukaliśmy całą górę. Nigdzie nic nie znaleźliśmy kromia pustki i potrzaskanych kamieni... A przecież mógłbym przysiąc, że słyszałem rżenie konia, no, a potem owe huki i łopoty...

— Pamiętam je do dziś...

— Kto wie, może stary biskup Aubert miał słuszność? Jak wiecie, miłościwa pani, ostatni rok żył już w prawdziwym obłędzie. Wszystkim ustawnie dowodził, że wkoło nas włóczy się jakaś zdrada, że diabeł chodzi i sieje kąkol wśród wiernych...

— Widział diabła? To ciekawe!

— Nie wiem, czy widział, ale ciągle pono wołał: „Otwórzcie oczy! Opamiętajcie się! Czuję go! słyszę!"

— Więc go czuł? A jaki zapach ma diabeł? Czy siarki?

Parsknęli śmiechem oboje. Ale Renald znów spoważniał.

— Żarty na bok, czy nie sądzicie, miłościwa pani, że należałoby więcej liczyć się z Rzymem, niż to czynimy ostatnio, a przy tym powściągnąć nieco patriarchę? Niechby go miłościwy pan zawezwał i ostro zgorszenia zakazał...

Otworzyła oczy szeroko.

— Dopierożby się matka pogniewała! Nie wiecie, że Herakliusza szczególnie nawidzi?

— Jużcić wiem. Wszyscy o tym wiedzą. Przecie swego czasu tylko dzięki poparciu królowej Agnieszki Herakliusz patriarchą został... Ale skoro tak się poniżył...?

— Nie — odparła stanowczo. — Nie możemy urażać matki. Przy tym Rzym za wiele od tych biednych księży wymaga... Dlaczego nie mogą mieć jakiejś drobnej ludzkiej przyjemności?...

— Patriarcha Amalryk de Nesle, którego jeszcze wszyscy pamiętamy, wyrzekał się tych „drobnych przyjemności", a za to miał władzę i wpływ równe królewskim. Trzeba wybierać. Co kto woli. Czy...

Urwali, bo w tejże chwili drzwi wchodowe otworzyły się raptownie. Wszedł, a raczej wepchnął się przez nie impetycznie Gerard de Ridefort; za nim, czerwony ze złości jak indyk, wielki mistrz szpitalników Roger de Moulins. Za nimi dopiero Wit Luzynian, król, w koronie, płaszczu. Dwaj paziowie, którzy winni go byli poprzedzać, szli z tyłu poszturchując się wzajemnie z uciechy.

Sybilla zwróciła się z gniewnym szeptem do męża:

— Ciągle trzeba cię uczyć, jak się król zachowuje! Czy to twoja rzecz przysłuchiwać się ich kłótniom pod drzwiami?!

— Myślałem, że ich ujednam.

— I pozwalasz, żeby wchodzili przed tobą! Niesłychane!

— Mniejsza o to. Chwała Bogu, że już nareszcie weszli. Posłowie od godziny czekają.

Poprawił się na tronie, otarł pot z czoła i polecił rycerzowi Renaldowi z Sydonu, by wprowadził poselstwo sułtana.

Posłem był poważny, długobrody emir Ibn-al-Imad. Towarzyszyło mu kilku szeików. Wszyscy wspaniale odziani. Stanąwszy pośrodku sali skłonili się królowi głęboko.

— Miłościwy pan prosi, abyście raczyli podejść bliżej — rzekł Renald pełniący obowiązki tłumacza.

Usiedli na przygotowanych stołkach naprzeciwko tronu. Wit uniósł się nieco i zapytał o zdrowie swego przyjaciela Saladyna.

— Zdrowie Władcy Wiernych jest dobre — odparł emir. Mówił zwolna, by dać czas Renaldowi na przetłumaczenie każdego słowa. — Ale dusza Władcy Wiernych grąży się w smutku tak wielkim, że aniołowie się frasują.

— Jaka jest przyczyna smutku wielkiego sułtana? — zapytał Wit z mimowolnym westchnieniem, wiedział bowiem, co nastąpi.

— Przyczynę ty możesz łacno usunąć, wielki królu. Władca Wiernych w tobie położył nadzieję. Wyprawiając mnie niegodnego z dostojnym poselstwem swoim, rzekł: „Oto trzeci król Franków, do którego kieruję przyjacielskie słowa. Pierwszy z nich, Murri (tak muzułmanie zwali Amalryka), był szlachetnym, prawym przeciwnikiem. Trędo-

waty chłopiec był lwem. Pokonał mnie, Sal-ed-Dina. Nie wątpię, że trzeci nie ustępuje im w cnocie".

— Rad będę zadowolnić życzenie sułtana — zapewnił Wit.

— Wielki królu Franków! Wśród twoich rycerzy znajduje się wilk drapieżny. On przyczyną nieustających zatargów między królestwem Władcy Wiernych a twoim. Wiesz, że mówię o rycerzu z zamku al-Akrad, zwanym przez nas Kamieniem Pustyni. Ostatnio zdradziecko wdarł się na Morze Czerwone, zamienił w pustynię wszystkie osady nadbrzeżne i podszedł zuchwale pod Mekkę! Królu Franków! Święta Kaaba zagrożona była dłonią świętokradców! Choć napastnika odparto, lęk został. Wyznawcy boją się spełniać święty obowiązek pielgrzymki. Cóż dziwnego? Któż może czuć się bezpieczny w domostwie swoim? Któż może pasać swe stada spokojnie? Nie masz miejsca, gdzie w czasie zaprzysiężonego przez ciebie, królu, pokoju wierny wyznawca Proroka mógłby żyć i pracować bez obawy! Płacząc nad losem swoich poddanych, Władca Wiernych modlił się trzy dni i noce i prosił Proroka, aby go oświecił. I oto, czym natchnął go Prorok...

— Boleję nad owym wypadem pana de Chatillon, bez mojej wiadomości powziętym — zauważył Wit.

— Władca Wiernych nie wątpił, że król Franków o tym napadzie nie wiedział! Oto, czym Prorok natchnął Władcę Wiernych: Niech król Franków, aby okazać szczerą życzliwość, da panu de

Chatillon inny kasztel w posiadanie, w Kamieniu Pustyni osadzając uczciwego rycerza, który przysięgi szanować potrafi...

— Sułtan dyktuje, kto ma zasiadać w jakim kasztelu?! — wykrzyknął zuchwale de Ridefort.

— Sułtan p r o s i króla, jak przyjaciel przyjaciela. Jeżeli nie uwzględnisz, królu, jego słusznej prośby, przestanie wierzyć w twoją ku niemu życzliwość. Władca Wiernych ma ojcowskie serce. Nie może znieść widoku krzywdy swych poddanych, wydanych bez obrony na łup żarłocznego wilka. Nie otrzymawszy od ciebie pomocy, bezpieczeństwo zapewni sam, ale... orężem.

— Sułtan grozi zerwaniem rozejmu? — zapytał Wit z niepokojem.

— Na Allacha! Rozejm już został zerwany, nie przez Władcę Wiernych! Powiedziałem warunki, na których Władca Wiernych zgodzi się zapomnieć o ponownym wiarołomstwie rycerza z al-Akrad.

— Rycerz de Chatillon nie zgodzi się opuścić Karaku! — zawołał Wit.

Emir Ibn-al-Imad uśmiechnął się pobłażliwie.

— Nie wiadomo nam, by nawet usłyszał słowo nagany! Jeżeli, królu, wydasz mu rozkaz, a on go nie posłucha, ogłosisz go buntownikiem. I Władca Wiernych będzie mógł z nim walczyć nie naruszając pokoju zawartego z tobą. Oto wszystko, co miałem rzec.

Zamilkł i usiadł. Wit spojrzał pytająco na żonę. Zmarszczyła brwi przecząco. Nie zgadzać się! Ponad głowami posłów spojrzał w twarze

baronów. Wielki mistrz wyzywająco trząsł ręką: „Nie zgadzać się! Nie zgadzać się!"

Król zafrasowany spuścił głowę.

— Emirze Ibn-al-Imad — rzekł po chwili — odpowiedź otrzymacie jutro.

Emir skłonił się jak poprzednio głęboko.

— Oby odpowiedź ta była życzliwą! Władca Wiernych nieskory jest do chwytania za miecz, ale gdy go tym razem chwyci, nie spocznie, aż zwycięży!

Posłowie wyszli. Renald z Sydonu odprowadził ich. W sali wybuchł gwar.

— Grożą! Poganin śmie grozić! — darł się wniebogłosy wielki mistrz.

— Nie możemy wszczynać wojny! — wołał rozpaczliwie Ibelin Balian. — Nie jesteśmy przygotowani!

— Dobry rycerz jest zawsze przygotowany! Jakim prawem niewierny rozrządza, kto ma siedzieć na jakim kasztelu?

Roger de Moulins poparł Baliana, wierny zasadzie, by się zawsze sprzeciwiać templariuszowi.

— Słusznie żąda — stwierdził — skoro pokoju na tej granicy utrzymać nie możem!

— Obmierzła to rzecz, pokój!

Nieoczekiwanie król zabrał głos.

— Saladyn ma słuszność — rzekł wcale stanowczo. — Pan de Chatillon źle postąpił.

— Nie zgadzam się ze zdaniem miłościwego pana! — krzyknął de Ridefort. — Rycerz de Chatillon podniósł sławę oręża Franków! Ze słów

emira widać, jakim strachem napełnił pogan! Nie nagana mu się należy, ale pochwała!

— Zaprzysiężony pokój zerwał! — upierał się król.

— Sprowadzi wojnę! — powtarzał Ibelin Balian.

— Wojna nam nie straszna! Pobijemy go jak pod Montgisard!

Wit Luzynian zastanawiał się głęboko. Toż to — myślał — zupełnie, jakbym umówił się z sąsiadem, że mu psów nie puszczę do kniei, a potem spokojnie patrzę, jak psy biegają i zwierzynę płoszą. On krzyczy: „A wołajże na nie do nogi!", a ja: „Huź go ha! huź go ha!"... Tak samo to jest.

I utwierdzony tym prostym rozumowaniem, powtórzył dobitnie:

— Takowe napady bez wypowiedzenia wojny są nierycerskim i haniebnym postępkiem. To powiem panu de Chatillon na każdym miejscu i wszem wobec!

Sybilla, która z roztargnieniem przysłuchiwała się dotąd naradom, obróciła się nagle ku niemu.

— Czyś oszalał!? Jedziemy do niego za dwa tygodnie na wesele Izabeli i obrażałbyś przedtem gospodarza!?

— Nie pojadę na to wesele — oznajmił Wit z niezwykłą u niego stanowczością.

Osłupiała. Zmierzyła zuchwalca oburzonym wzrokiem.

— Po co mówisz takie głupstwa, kiedy sam wiesz, że pojedziesz? Nie pojechać! Ależ ja się

na to od paru miesięcy cieszę! Szaty już mam przygotowane! Wszystkich grajków i śpiewaków z Jerozolimy już ściągnięto... Cały miesiąc będziem tańczyć... Nie jechać?... Ach!... Rzeczywiście! Pojedziemy. Posły niech sobie wracają, z czym przyjechały.

Ale Wit był zbuntowany tego dnia.

— Powtarzam, com rzekł, że rycerz de Chatillon postąpił niecnotliwie, i na wesele jego pasierba nie pojadę. Saladyna musimy ujednać.

— Może go jeszcze przepraszać?! — buchnął śmiechem wielki mistrz templariuszów.

— On ma słuszność.

— Poganin nigdy nie ma słuszności!

— Ten poganin jest równie dobrym rycerzem jak my! Ja, król, nie zgadzam się!

Wielki mistrz porwał się z miejsca.

— Król?! — syknął zduszonym głosem. — Króliku! Co się tu puszysz!? Z mojej łaski wszedłeś na tron i palcem kiwnę, a jutro śladu po tobie nie będzie!

Ucichli wszyscy na taką zuchwałość. Luzynian stał chwilę jak ogłuszony.

— Już dziś się zrzekam! — wrzasnął i chwycił koronę, by nią grzmotnąć o ziemię, ale Sybilla złapała go w porę za rękę. O, nie! Do tego nie dopuści. Kochała po swojemu tego pięknego prostaczka i nie myślała pozwolić mu odejść. De Ridefort również już żałował porywczości. Luzynian był dla niego ze wszech miar dogodny. Jego

odejście mogło wysunąć na widownię Rajmunda z Tripoli.

— Wybaczcie, miłościwy panie, niebaczne i szalone słowa podyktowane prędkością. Pokutę ostrą sobie naznaczę, krzyżem całą dzisiejszą noc przeleżę i chłostać się każę za to, żem pana mojego obraził. Wybaczcie.

— No, widzisz, siadajże — ciągnęła go Sybilla.

Wit wahająco spoglądał po sali. Baroni uśmiechali się spuszczając oczy. Ale mu mistrz powiedział! „Króliku!..." Przednia uciecha. Słusznie nazwał niedołęgę.

Odejdę — myślał Wit, lecz w tejże chwili drzwi się otworzyły, stary de Guerce wpadł jak pocisk.

— Miłościwy panie! — krzyknął — nasza pani przyjechała!

— Kto? — zapytał Wit nie rozumiejąc.

— Nasza starsza pani! Szlachetna pani Benigna!

— Matka!... — zawołał król i niepomny niczego wybiegł z sali za giermkiem. Sybilla zacisnęła wargi ze złością. Wśród zebranych wybuchły głośne już przyśmiechy.

Wielki mistrz templariuszów zabrał głos:

— Miłościwy pan raczył opuścić zebranie rady dla familijnych powodów. Prawdziwą radość sprawia nam stwierdzenie, że miłościwy pan jest dobrym synem. Musimy jednak zakończyć zebranie. Miłościwa pani zechce nam przewodniczyć.

Skłoniła głowę z wdziękiem pełnym godności.

— Jaką odpowiedź mamy dać posłom Saladyna?

— Ach, powiedzcie im, co chcecie, byle w weselu Izabeli przeszkody nie było...

. . . . . . . . . . . . . .

Pani Benigna stała pośrodku komnaty teraz dopiero strwożona. Jakże tu pięknie, bogato, wspaniale! Jak ubogo ona na tym tle wygląda! Czy dobrze uczyniła, że przyjechała? Może należało wprzód napisać, zapytać o pozwolenie? Przybiegła tu wprost, jak matka do syna, a może do króla tak się nie godzi? Czuła się tym bardziej zalęknioną, że ojca Gaudentego przy niej nie było. Natychmiast po przybyciu do grodu podążył do Bazyliki, bo tak sobie ślubował. Ją skierowano do pałacu zajmowanego przez Amalryka. Królewskie mieszkanie! Nie śmiała stąpnąć, by nie poplamić posadzki. Takich posadzek nie widziała nigdy w życiu. Amalryka nie było. Król posłał go do Askalonu. Ale był stary de Guerce, który ją tu przyprowadził. Nie miała czasu o nic starego wypytać i teraz stała, drżąc z radości, obawy, niepokoju. Może syn nie zechce znać ubogiej matki? Może się jej będzie wstydził? Och, chybaby jej serce pękło z żalu...

Przyciskała tymczasem oburącz to dygocące serce i czekała. A za drzwiami słychać kroki. Szybkie, śpieszne. Oto on. Oto Wit. I tak odziany, jak go sobie wymarzyła. W purpurze, w koronie... O, jakiż piękny! Najcudowniejszy archanioł! Wpa-

da jak wicher, zrzuca koronę, zdziera płaszcz, ciska jedno i drugie na ławę. Porywa matkę w objęcia.

— ...Matko... matko... matko...

Płaczą oboje. Syn klęka. Obejmuje stare, drżące kolana. Matko droga... Ta sama.. Taka sama... Zgrubiałe, spracowane ręce, siwe kosmyki włosów wymykające się spod staromodnego, śmiesznego czepca, pomarszczona twarz... Matka...

Cała szczęśliwa przeszłość, cała ojczyzna weszły z nią razem. Poprowadził ją ku niskiej sofie, usiedli nie wypuszczając się z objęć.

— Zawsze tak chodzisz... na codzień... nieprawdaż? — zapytała nieśmiało, wskazując porzucony płaszcz i koronę.

— Nie! Na szczęście, nie. Ale dziś przyjmowaliśmy posłów sułtana... Właśnie jest posiedzenie rady baronów. Powinienem tam wrócić. Ech, nie wrócę! Takim szczęśliwy, że was widzę, pani matko! Pierwsza to moja ucieszna chwila, odkąd jestem tutaj!

Nie zrozumiała. Całe jego życie jest chyba jedną uciechą?

Drzwi się znowu otworzyły. Poprzedzana przez paziów, przez dwórki, weszła Sybilla. Spojrzała zimno na męża.

— Oto moja żona — rzekł Wit powstając.

Pani Benigna złożyła ręce.

— To królowa... Twoja żona?... Jakaż cudna!

Szczery zachwyt starej kobiety ułagodził nieco Sybillę. Raczyła uśmiechnąć się kącikiem warg

i podszedłszy udała, że pochyla się do ramienia mężowej matki.

— O, moja piękna! — zawołała pani Benigna ze wzruszeniem. — Uściskałabym was, ale nie śmiem. Niech Bóg was błogosławi, śliczna pani, coście wybrali mojego Wita! Nie wiem, jak mi wolno mówić do was!... Nie chciałabym urazić...

— Należy mówić do mnie: miłościwa pani synowo — wycedziła Sybilla dość uprzejmie.

— Miłościwa pani synowo! Tak! Tak! Darujcie, że przyjechałam, ale stęskniłam się tak bardzo za moim małym... To mój najulubieńszy... Od dziecka... Ja pierwsza się na nim poznałam...

— Radzi was witamy, pani świekro. Bądźcie naszym gościem przez cały czas swego tu pobytu. Moje dwórki wam wskażą komnaty. Kasiu, zaopiekujesz się matką miłościwego pana... Ninie wybaczcie, że zabiorę męża na chwilę. Mam mu coś do powiedzenia.

Wyszli oboje. Pani Benigna patrzyła za nimi zachwyconym, szczęśliwym wzrokiem.

— Co ty wyrabiasz!? — zaczęła ostro Sybilla. — Wybiegasz z rady przed końcem zebrania!

— Masz słuszność. Nie powinienem był tego robić. Masz zupełną słuszność. Tak się ucieszyłem, iż matka przyjechała, że zapomniałem o wszystkim.

— Matka mogła poczekać. Aleź ona ubrana! Dajże jej co prędzej pieniędzy, niech się jakoś po ludzku przyodzieje. Wstyd, by ją tak oglądano... Radę zakończyliśmy bez ciebie. Ja cię zastąpiłam.

— Coście uradzili? — spytał zaniepokojony.

— Jedyne, co było możliwe. Że życzenia sułtana nie możesz spełnić.

Wit ścisnął głowę rękami.

— To nieuczciwie, a przy tym to oznacza wojnę.

— Nie bój się. Nie będzie wojny — zapewniła z przekonaniem. — Wszyscy mówią, że sułtan tylko tak straszy. Za dobrze dostał w skórę pod Montgisard, by się znowu narażać. Na pewno!

— Daj Boże — westchnął.

— Inna rzecz mnie drażni — zauważyła zniżając głos. — To odezwanie się wielkiego mistrza! Jak on śmiał mówić do ciebie: „Króliku!" I ty nic na to! Ja ścierpieć nie mogę!

— A cóż poradzę? Mogę jedynie odejść.

Tupnęła gniewnie nogą.

— Nie odejdziesz nigdzie. Przestań o tym myśleć. Musimy walczyć. Nie pozwolę, by wielki mistrz uważał ciebie za swego pachołka. Może zwrócimy się do Izmaelitów?...

— Po co?

— Ty nigdy nic nie rozumiesz! Nie wiesz, jak to się robi?... Oni przysyłają swoich i...

Wspiąwszy się na palce jęła mu szeptać do ucha. Odskoczył jak oparzony.

— Nie! Nie! Za nic!

— Innego sposobu nie ma.

— Nie! Nie! Zrobiliście ze mnie niedołęgę, wiarołomcę, głupca, ale mordercy nie zrobicie, nie!...

Z pasją zatkała mu usta dłonią.

— Milcz! Milcz! Nie krzycz! Nikt nie potrzebował robić z ciebie głupca, boś się nim urodził!

Wzruszyła ramionami i odeszła szeleszcząc gniewnie pawłoką szaty. Wit wrócił do matki. Powitała go tym samym rozradowanym uśmiechem.

— Prześliczna jest twoja żona — rzekła z przejęciem — i taka musi być łagodna! Miłujecie się bardzo oboje, nieprawdaż?

— Prawcie mi o domu, pani matko — prosił nie odpowiadając na pytanie.

— A cóż ci mam prawić? U nas nic się nie zmienia. Wszystko zostało tak, jak gdyś wyjeżdżał. Ojciec ogłuchł ze szczętem. Bertrand zdziwaczał... Ot, jedyne zmiany. Zawsze po staremu... Tylko wąż do obory nie zachodzi i kiedyś, gdym płakała za tobą, bo mi się bardzo cniło, ojciec Gaudenty, żeby mnie rozweselić, powiedział, że i Meluzyna widno zatęskniła i za tobą poszła...

Odsunął się od niej na długość ramienia.

— U was też tak mówili? — spytał szczerze przerażony.

— Tak sobie ojciec Gaudenty żartował... On się spodziewa, że może od ciebie nowy kielich dostanie, srebrny, bo nasz cynowy okrutnie już pogięty.

— Dam mu złoty kielich i wszystko naczynie, jakie do kaplicy potrzebne. Ale prawcie dalej, pani matko, prawcie... Więc wszystko po dawnemu? Jaki Bertrand szczęśliwy, że tam siedzi?! Czy on wie, jaki szczęśliwy!? Spokojnie żyje. Jest panem u siebie... Rzeka płynie, jak płynęła...

Las szumi... A psy? Bardzo postarzały? Nie mają z kim chodzić na łowy?... Chciałbym mieć bodaj psa stamtąd... Swojego psa... I drzewa stoją, jak stały? I ptaki świergocą po dawnemu?... Tutaj nie ma ptaków...

Nie wytrzymał. Wybuchnął płaczem. Porwała się przerażona, w samo serce dojęta.

— Co ci to, dziecko? Co ci to?

Opamiętał się. Biedna stara. Pokrzywdziła go srogo, wyprawiając niegdyś z domu, ale uczyniła to z miłości. O nim myślała. Chciała go widzieć najszczęśliwszym z ludzi. Po co odbierać jej spokój? Wszakże to już nic nie zmieni... Niech się cieszy... I powstrzymując łzy rzekł:

— To tylko z radości, że was widzę, pani matko, tylko z radości...

. . . . . . . . . . . . . . .

Pani Benigna odjeżdżała i ojciec Gaudenty wraz z Maciejem de Guerce pilnowali układania łubów na wozach idących z panią do Jaffy. Suto wyładowane wozy. Hojnie obaj synowie obdarzyli matkę. Wit z serdeczności, Amalryk z wyrachowania. Niech po całej poitevińskiej, ba akwitańskiej dziedzinie idzie wieść o potędze i bogactwie Luzynianów. Niech wszyscy wiedzą, jak możnym królem został jeden z nich. Toteż ojciec Gaudenty nie posiadał się z radości i nieustannie powtarzał: „Hosanna! Takich ornatów, takich przyborów nie posiada biskup w Poitiers! Sam biskup!" Pani Benigna spoglądała z oszołomieniem

na to bogactwo. Ciężko jej było na sercu. I żal wyjeżdżać i jakiś lęk nieokreślony. Tak tu dziwnie. Niby tak samo, jak sobie wyobrażała, a ze wszystkim inaczej. Obudziły się w niej wątpliwości.

— Jak myślisz? — pytała poufnie Amalryka — on sobie daje radę z tym królestwem?

— Dobrze, że choć przed odjazdem zadaliście, pani matko, pierwsze rozsądne pytanie! Dotąd, com chciał o tym mówić, to wy: „Zazdrośnik! Gadasz przez zazdrość!..." Ja zazdrośnik? Ja go sprowadziłem. Ja pierwszy o tym dla niego pomyślałem. Ale miałem go za mędrszego... Wcale sobie nie daje rady. Nie umie rządzić. Za psa go nie mają. Macie oczy, toście chyba sami spostrzegli. Każdy mu kołki na łbie ciosa. I żona, i wielcy mistrzowie, i baroni... A on nic... Nie zajedzie w ten sposób daleko...

— O mój Boże! — jęknęła. — On jest anioł, a ludzie tacy podli...

„Anioł" nadjeżdżał właśnie konno. Choć uroczyste dworskie pożegnanie już nastąpiło, chciał jeszcze uściskać matkę. Zeskoczył z konia i przypadł do niej tak gorąco, jakby z jej odjazdem rwały się ostatnie nici łączące go z krajem.

Tuliła go zatroskana.

— Amalryk powiada mi właśnie — zaczęła z zakłopotaniem — że ci ciężko... Ludzie cię podobno nie szanują...

Uśmiechnął się smutno.

— Boga nie szanują, a mieliby poważać mnie, biednego chłopca?...

Zapragnął odwrócić rozmowę i spojrzał po wozach.

— Nie potrzeba wam jeszcze czego, pani matko? Z przyodziewku? Albo z naczyń? Albo z kobierców?...

Uderzył się dłonią w czoło.

— Dla Boga! — zawołał. — A gdzież jest moje zdobyczne dobro spod Montgisard, com je pakował, żeby wieźć do kraju?

Nie wiedział nikt. Owszem, pamiętano, że długi czas walały się po domu owe łuby oszyte i powiązane jak do podróży. Ktoś je wreszcie uprzątnął. Kto? Gdzie? Nie wiadomo.

— Szkoda — westchnął Wit ze szczerym żalem — szkoda. Macie tu wprawdzie, pani matko, bogatsze rzeczy, ale tamte były moje własne, zdobyczne, nie z żoninej łaski... Dla was je przeznaczałem, dla was i dla...

Urwał. Dotychczas nie zdobył się na to, by zapytać o Łucję. Matka również unikała tego przedmiotu. Zresztą po co pytać? Nie zmieni to niczego. Biedna matka! Mówiłaby do Łucji: „moje dziecko“, zamiast „miłościwa pani synowo“... Stanęły mu w oczach owe cudne bańki szklane, które tak starannie pakował, myśląc o uciesze swojej dziewczyny. Wyrzucili je gdzieś, potłukli... Darmo szukać, sklejać. Utajona w nich tęcza nie wróci...

## ROZDZIAŁ XVII.

### FINIS HIEROSOLYMAE.

Sal-ed-Din, syn Ajuba, nie lubił istotnie wyciągać miecza bez ostatecznej potrzeby. Powściągliwość ta w stosunku do królestwa jerozolimskiego nie pochodziła, jak przypuszczali baronowie, z obawy wywołanej wpomnieniem porażki spod Montgisard, lecz zgoła z innych pobudek. Wielki zdobywca i zjednoczyciel był nie tylko wojownikiem, ale także i mędrcem. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest największym, najpotężniejszym władcą Wschodu, którego imię ukocha legenda. Legenda postawi go obok Salomona i Harun-al-Raszyda. Salomon, Harun-al-Raszyd, Sal-ed-Din... Wspaniałość, duma, moc. Trójca władców czarujących wyobraźnię Wschodu. Ale czując tę potęgę, Saladyn się nią nie upajał. Od innych wielkich zdobywców wyróżniało go, że pamiętał, iż kiedyś umrze. Nosił w sobie tę pewność, którą ludzie zazwyczaj chętnie wyrzucają poza nawias świadomości. Nie wątpił, że koniec właściwy każdemu śmiertelnemu człowiekowi nie ominie i jego, wielkiego syna Ajuba. Aczkolwiek życie jego było wyjątkowe, śmierć spotka go całkiem zwyczajnie...

A wtedy, co się stanie z jego dziełem? Obszar sięgający od Tygrysu i Eufratu po Nil, obejmujący państwa Mossulu, Aleppa, Damaszku, Bagdadu, Kairu, czy utrzyma się w jedności, jaką zaprowadziły jego mądre, względne rządy? Na pewno nie. Synowie, bratańcy, siostrzeńcy rzucą się na spuściznę jak kruki. Żaden nie zechce ustąpić. Zresztą żaden nie posiada zalet potrzebnych mężowi, by mógł narzucić innym swą wolę i prawo.

I bezradny wobec przewidywanej przyszłości, Saladyn nieraz rozmyślał, zali warto było włożyć tyle trudu, ofiar, genialnych myśli w podbijanie, łączenie rozbitych państewek, skoro utworzona z nich całość rozpadnie się nieuchronnie na dziesiątne części, gdy tylko śmierć zgasi jego oczy?

Podobne rozważania nie usposabiały, rzecz prosta, do nowych wojen zaborczych i Władca Wiernych zwlekał z uderzeniem na Franków.

Nie ukrywał nigdy ani przed sobą, ani przed innymi, że nie czuje nienawiści do wiary niewiernych. Raczej przeciwnie: życzliwą ciekawość. Wszakże wychował go i kształcił emir al Bara, syn chrześcijanki, co całe życie tęsknił do chrześcijan, wychwalał chrześcijan i na koniec podle, zdradziecko, z chrześcijańskiej ręki zginął. On to wpoił w syna Ajuba przekonanie, że wiara giaurów posiada cnotę, jaką żadna inna wiara nie może się szczycić: bliski związek z Bogiem, możność czerpania pełną garścią ze skarbnicy Bożej łaski. „Dzięki temu — dowodził emir al Bara — chrześcijanie są lepsi, potężniejsi od zwyczajnych

ludzi. Bo oni mogą, gdy chcą, obcować ze swoim Bogiem!"

Saladyn rozmyślał nieraz nad poglądami swego wychowawcy. Czasem był gotów uznać ich słuszność, czasem odrzucał je z gniewem. Bitwa pod Montgisard była olśniewającym, walnym przytwierdzeniem, podobnież ludzie jak Baldwin IV, arcybiskup Wilhelm, stary Onufry de Thoron. Ale to były wyjątki. Rzadkie, nieliczne wyjątki. Ogół Franków mógł tylko obrzydzić wyznawaną przez nich wiarę. Ogół Franków był kłótliwy, małostkowy, chciwy, okrutny i próżny. Nie znalazłbyś w nich nic, co by udowadniało, że obcują z Bogiem i że dotknięciem tym są uświęceni.

I sułtan wahający się między uczuciami, wszczepionymi przez starego wychowawcę, a tym, co mówiła rzeczywistość, ociągał się z wypowiedzeniem ostatecznej walki Frankom. Wolałby wprzódy poznać lepiej ich wiarę, rozstrzygnąć swe wątpliwości. Niepokój mędrca, tęskniącego za najlepszą formą posiadania Boga, górował nad rozdrażnieniem władcy. Spokojny poczuciem swej przewagi liczebnej i mocy, obojętny na ciągłe napady i bezmyślne zaczepki baronów, trwał w niedalekim od granic Damaszku niby wielki, płowy lew, rozmyślający, czy skoczyć na zdobycz lub pozwolić jej żyć jeszcze.

Z ciekawością słuchał wszelkich wiadomości tyczących jerozolimskiego dworu. Znosili je chętnie Ormianie utrzymujący przyjazne stosunki po

tej i tamtej stronie granicy. Wiadomości przynoszone przez nich nie były budujące. Król i królowa słyną z urody. Jest to jedyna dobra rzecz, jaką można o nich powiedzieć. Królowa myśli jedynie o rozrywkach i zabawach. Król nie ma swojej woli ani swego zdania. Jest powolnym narzędziem w ręku wielkiego mistrza templariuszów. Wielki mistrz wybił się teraz na naczelne stanowisko w państwie.

— Biada w takim razie królestwu — mawiał słysząc to Saladyn, który znał ze słyszenia Gerarda de Ridefort.

Powtarzano również gorszące rzeczy o życiu duchownych dostojników jerozolimskich. Starzy, czcigodni biskupi wymarli, podobnie jak starzy rycerze; to, co wchodziło w szranki życia na ich miejsce, nie było do nich podobne. Pozbawieni powagi i poczucia odpowiedzialności, myśleli o jednym tylko: jak najweselej i najłatwiej spędzić życie.

— Na Allacha, to królestwo samo się rozleci! — stwierdzał sułtan bezradośnie. Byłby zapewne jeszcze długo pozostawał w roli spokojnego widza, gdyby nie nowy, szczególnie dotkliwy wybryk niepohamowanego rycerza de Chatillon. Pan Karaku wpadł znów zbrojnie w granice państwa sułtana i zagarnął bogatą karawanę dążącą do Mekki. Wśród pielgrzymów znajdowała się rodzona siostra Saladyna. Ciągniona wraz z innymi na powrozie, niewiasta umarła z przestrachu. Na wieść

o tym cały ród Ajubitów porwał się na nogi. Wystąpili do sułtana, żądając pomsty i kary. Saladyn wysłał jak niegdyś poselstwo do Jerozolimy, proszące króla o usunięcie pana Karaku z granic państwa. Poselstwo jak wówczas powróciło z niczym...

— Na Allacha! — rzekł wówczas sułtan — wieki nie nazwą mnie inaczej, niźli Saladyn Cierpliwy. Ale dość tego! Prysła cięciwa mojej łaskawości. Hasło tej wojny: śmierć Frankom!

— Śmierć Frankom! — podchwycili radosnym chórem Ajubici. — Śmierć Frankom! Niech kości ich rozniosą sępy! Niech zniknie ślad, że byli tu kiedykolwiek!

Wojna! Wojna! Ściągają ze wszystkich stron wyznawcy Proroka. Mamelucy z Egiptu, janczary z Bagdadu, murzyni z Górnego Nilu. Płyną jak rzeki do morza. Od stu lat blisko nie widziano tylu sił zebranych razem. Odżyły dawne wspomnienia. Wojna! Wojna! Święta wojna! Niech zginą niewierni!

W królestwie jerozolimskim zamęt i poruszenie. Długa łaskawość sułtana uśpiła czujność baronów. Nie znając jej przyczyn uwierzyli, iż wielki Saladyn obawia się ponieść klęskę. Wyzywali go przecież coraz natarczywiej, coraz śmielej, a on udawał, że tego nie spostrzega! Niepojęty dla nich spokój mógł być tylko wyrazem obawy. Oni nie tracili nigdy żadnej sposobności walki! Teraz dopiero przychodzi im na myśl, że może źle uczynili rozdrażniając bez potrzeby sułtana. Należało lepiej przyjąć jego posłów... Podobno u granicy stoi

więcej niźli dwieście tysięcy żołnierzy. Niech Bóg wspomaga Grób święty!

Zbiegają się zewsząd. Boemund z Antiochii przysłał najstarszego swego syna Rajmunda z rycerstwem. Szpitalnicy zapominając o zwykłym skąpstwie oddali na zaciągi skarb ekspiacyjny Henryka Plantageneta. Rajmund z Tripoli przybywa ze swym doskonałym wojskiem. Ogółem, ściągnąwszy załogi ze wszystkich zamków i grodów, siły chrześcijańskie wynoszą dwa i pół tysiąca rycerzy, oraz około dwudziestu tysięcy pieszych.

Gdybyż dowództwo nad nimi oddano byłemu regentowi! Ale o tym próżno marzyć. Obaj wielcy mistrzowie, zawsze skłóceni, w jednym tylko zgodni: w nienawiści do Rajmunda, już się o to postarali. Wmówili w królewską parę, że Rajmund zostawszy wodzem wygnałby ich oboje i ogłosił się królem. To wystarcza. Sybilla, wspierana przez matkę i patriarchę Herakliusza, przymusza męża, by sam wiódł wojsko, jak się należy królowi. Wit Luzynian wodzem! Darmo broni się nieborak, tłumaczy, że pojęcia nie ma o sztuce wojennej. Bić się potrafi. Dowodzić nie. Sybilla nie ustępuje. Król winien prowadzić. O swoją nieudolność niech się nie obawia. Wielki mistrz go nie opuści i dobrze doradzi...

...O, tak! Wielki mistrz mu doradzi...

Nadciągające ze wszystkich stron wojska mają punkt zborny w oazie Seforii. Najodpowiedniejsza

to dolina, bogata w źródła, paszę i cień. Niecałe dwa dni drogi dzielą Seforię od Tyberiady, przeciw której ciągnie podobno Saladyn.

Na wyraźne życzenie króla (zdarza się czasem, że król wypowie jakieś życzenie) patriarcha towarzyszy wojsku z Drzewem Krzyża św. Niechętnie to czyni, pod przymusem, powtarzając ustawicznie, że wielkim grzechem jest lekkomyślne narażanie najświętszych relikwii.

Rok 1187, pierwsze dni lipca. Lipiec jest upalny w Ziemi Świętej. Pora to, gdy zda się, że żar żywy leci z nieba, w powietrzu wiszą suche chmury pyłu. Z Tyberiady nadbiega goniec wysłany przez żonę Rajmunda Echiwię. Saladyn już podszedł i otoczył miasto. Wojska jego są tak liczne, że zajmują oba brzegi jeziora. Nie mieszczą się, część pozostała w górach. Tak wielkich wojsk nikt jeszcze nie widział. Księżna Tripoli i Galilei zamyka się z synami i rycerstwem w twierdzy, której postanawia bronić.

— Moja dzielna stara! — wykrzykuje z uznaniem Rajmund.

W namiocie królewskim siadają dla złożenia rady. Wielcy mistrzowie, wyjątkowo jednomyślni, i król sądzą, że należy iść na odsiecz Tyberiadzie.

Rajmund targa długie wąsy.

— Jużcić — powiada — gdybym się prywatą kierował, krzyczałbym głośno to samo. W Tyberiadzie broni się moja rodzina. Nie radziłbym jednak ruszać się z Seforii. Tu jest woda i pasza. Na

całej drodze stąd do Tyberiady nie masz ani jednej studni...

— Napoimy konie w Jeziorze Tyberiadzkim! — woła butnie wielki mistrz.

— Obyśmy do niego doszli! Słyszeliście, że Saladyn otoczył jezioro. Ma siły dziesięćkroć liczniejsze od nas. Niełacno będzie je przebić. Możemy zginąć z pragnienia w tej upalnej porze, albo niesławnie wracać do Seforii...

— Więc cóż radzicie? — przerywa król.

— Czekać tutaj. Niech sobie Saladyn dobywa Tyberiady. Nie przyniesie mu to nijakiej korzyści. Nie zostanie tam długo. Albo poniesie się na nas, wtedy przyjmiemy bitwę, jego trzymając w znoju pustynnym bez wody, sami oparci o źródła, albo gdyby pociągnął w inną stronę, rzucimy się na jego tyły, stając do bitwy tam, gdzie nam będzie dogodnie.

Zdrowy rozsądek Luzyniana opowiada się za Rajmundem. Cóż, kiedy obaj mistrzowie wybuchają gwałtownym sprzeciwem. Od słuchania ich sporu biednemu królowi głowa kołowacieje. Nie wie już, kto ma słuszność. Ach, że też tu nie ma brata! Może by mu poradził. Ale Amalryka zatrzymała przy sobie Sybilla. Wraz z nią pilnuje Jerozolimy. Chciała też zatrzymać Renalda z Sydonu, lecz nie przystał. Była wielce oburzona.

— Nie zapomnę wam tego, gdy powrócicie — groziła.

— Obawiam się, miłościwa pani, że najbliższe nasze spotkanie będzie już na innym świecie, a tam

spadną nam większe kłopoty na głowę — odparł wesoło jak zwykle i pociągnął z wojskiem. Na razie nie było go w obozie. Pojechał do St. Jean d'Acre.

— Opuszczać dogodne miejsce, by iść szukać Saladyna mającego dziesięć razy więcej ludzi od nas, to zguba! — dowodził Rajmund.

De Ridefort uśmiecha się szyderczo.

— Ciągle nam mówicie o tych siłach, jakby chcąc nastraszyć. My się nie boimy. Że ich wielu? Wielka rzecz! Co znaczy ilość drzewa dla ognia, który ma to drzewo strawić?

— Gadki dobre dla białogłów! Nas strawi słońce w pustyni.

— Tak odradzacie pochód na Tyberiadę, jakbyście woleli, by się dostała Saladynowi?...

Rajmund zsiniał pod obelgą.

— Ej, odpowiecie mi za to! Po bitwie, jeśli ostaniemy żywi... Miłościwy panie! Wiem, że próżno strzępię gębę, bo słowa moje nie znajdą u was posłuchu, ale na rany Chrystusa, zaklinam, nie dajcie się zbałamucić, nie opuszczajcie Seforii!! Toż gdybym myślał o sobie, jak mi zarzucają, biegłbym na ratunek Tyberiady! Moja to własność, moja rodzina tam oblężona. Jutro, pojutrze najdalej Saladyn ich weźmie. Albo zginą w walce, albo ich zdołam potem wykupić... Niech Bóg rozrządza, jak chce. Wolę stracić Tyberiadę i rodzinę, niż widzieć całą ojczyznę straconą! Miłościwy panie! Stąd do Tyberiady nie ma ani jednej studni, ani jednej cy-

sterny! Konie nie wytrzymają w tym żarze dłużej niż jedną dobę bez pojenia. Cóż się stanie, jeśli nam wypadnie stać? Jeżeli Saladyn nie przyjmie bitwy od razu? Będzie zwlekał, ale do jeziora nie dopuści? Zginiemy wszyscy, przepadnie królestwo!

Wit namyślał się głęboko.

— Prawie mówicie — rzekł w końcu całkiem stanowczo i wstał na znak, że narada ukończona.

Obaj mistrzowie wyszli. De Ridefort zgrzytał zębami ze złości. Rajmund poszedł do swego obozu. Był frasobliwy i stroskany. Chwała Bogu, że tamten szaleńczy pomysł upadł, ale co pocznie biedna Echiwia? Kazała powiedzieć, że się broni. Nieużyteczne męstwo białogłowskie! Kasztel słaby, mało warowny, załoga niewielka... Muzułmany zdobędą od razu. — Byle mi jej, ani chłopców nie skrzywdzili — myślał z niepokojem. Miłował swoją żonę, choć była starsza od niego i nieurodziwa. Poślubił ją wdową po St. Omerze z czterema synami. Swoich dzieci nie miał i pasierbów kochał jak rodzonych. Mieli dziedziczyć po nim Tripoli wraz z ojcową Galileą.

...Byle mi ich oszczędzili... Okup dam, jaki tylko zechcą... Jeżeli Saladyn albo Turanszah dowiedzą się, że to moja żona — nie dozwolą jej skrzywdzić na pewno. W tym sęk, że mogą się nie dowiedzieć. Tymczasem tłuszcza wedrze się do zamku i gotowe nieszczęście...

Siedział bez ruchu, rozważając z troską te sprawy. Znał Saladyna, znał szczególnie dobrze

Turanszaha. Przyjaźnili się za czasów jego, Rajmundowej, niewoli. Księciu Tripoli przyszło na myśl, że mógłby do niego napisać.

...Jak rycerz do rycerza, prosząc o opiekę nad żoną i synami...

Myśl była z pewnością dobra. Nie wahając się, napisał po arabsku (znał ten język nie gorzej od Renalda z Sydonu):

*„Turanszahowi, synowi Ajuba, cześć i rycerskie pozdrowienie!*

*Mężowie walczą między sobą, lecz nie wciągają w walkę niewiast. Kobiety nie są objęte prawami wojny. W cytadeli Tyberiadzkiej znajduje się księżna Tripoli i Galilei, moja małżonka. Z nią dwóch jej młodszych synów. Ufam, iż odeprze was szczęśliwie od zamku. Gdyby jednak losy wojny okazały się dla niej niepomyślne, proszę cię, synu Ajuba, abyś otoczył ją swoją opieką.“*

Przeczytał z zadowoleniem, uznał, że dobrze zredagował, przyłożył swą pieczęć i przywołał giermka, imieniem Mikołaj.

— Weź ze sobą worek wody, siadaj natychmiast na wielbłąda i wal do Tyberiady. Nie bój się Saracenów, potrząsaj tylko z daleka tym listem. Wołaj, niech cię prowadzą do Turanszaha. Zapamiętasz? To brat sułtana a mój znajomy. Nie zapomnij. Turanszah. Oddasz mu pismo i wrócisz. My tutaj będziemy. Ale gdyby pytali, gdzie jest wojsko, nie powiadaj. Mów, że ci dałem

list w Jerozolimie, a gdzie król stoi z wojskiem, nie wiesz... Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, wasza dostojność.

— No, to jedź z Bogiem.

Chłopak odszedł drapiąc się w głowę. Nie w smak mu była wyprawa, choć nie śmiał tego przy księciu okazać. Do pogan jechać w poselstwie? O reta! Co będzie, jeżeli list go nie obroni?...

Bez najmniejszego zapału ruszył w stronę wielbłądników wyszukać odpowiedniego wierzchowca i wory skórzane na wodę. Idąc klął, tym bardziej, że ich na zwykłym miejscu nie znalazł. W poszukiwaniu świeżej trawy przenieśli się w drugi koniec oazy. Ubolewając nad swym losem ruszył na ich poszukiwanie. W mroku potykał się o sznury namiotów. W obozie templariuszów służba siedziała jeszcze przy ogniu. Przysiadł się do nich na chwilę poskarżyć na uciążliwe zlecenie pana i wypytać o zwyczaje saraceńskie. Zabiją go, czy też nie?

. . . . . . . . . . . . . . . .

Noc bladła w przeczuciu świtu, gdy do namiotu śpiącego mocno króla wtargnął wielki mistrz.

— Miłościwy panie! Zdrada!

— Gdzie?! — krzyknął Wit, trąc zaspane oczy.

— Tam, gdziem ją dawno przypuszczał! Złapałem co ino pachołka księcia Tripoli, gdy się wybierał z listem do Saladyna, czy też jego brata!

— List? Do Saladyna? Po co?

— Oto jest! Arabskie zdradzieckie pisanie! Donosi w nim o postanowieniu czekania tutaj. Zdrada oczywista!

Wit spojrzał nieprzytomnie na niezrozumiałe arabskie litery i sam widok ich przejął go grozą.

— Gdzie Renald z Sydonu? On nam przeczyta...

— Renalda nie ma — zapewnił wielki mistrz. Wiedział, że Renald już wrócił, nie pragnął jednak bynajmniej, by list został odczytany. Wiedział od chłopca, że Rajmund zabronił wyjawiać, gdzie wojsko królewskie stoi, domyślał się zatem, że i w liście nie ma zdrady. Lecz ten poczciwiec we wszystko uwierzy.

— Co robić? Co robić? — jęczał bezradnie Wit. Zbierało mu się na płacz. Jacy wszyscy wokół są podli! Książę Tripoli tak przekonywająco mówił, tak zdawałoby się szczerze, a ot, patrzcie! pisze listy po arabsku!

— Nocą, ukradkiem wysyłał, by nikt się nie dowiedział... — powtarzał wielki mistrz.

— Co robić? — biadał król.

— Prosta rzecz: Natychmiast trąbić do drogi. Ruszać pod Tyberiadę, przeciwnie niż zdrajca zalecał!

— Każcie więc trąbić — zgadza się Wit z rozpaczą. Nic już nie wie. Nic nie rozumie. Żebyż tu był Renald z Sydonu, albo Amalryk, albo Ibelin z Ramli. Temu można było wierzyć! Ale Ibelina z Ramli dawno nie ma. Jeszcze przed śmiercią Trędowatego wyniósł się na stałe do Francji.

W obozie sądny dzień. Trąby trąbią. Surmy huczą. Bębny dudnią. W głuszy bielejącej nocy grzmi pobudka:

— Na koń! Na koń! Na pogany!

Przebudzony wrzawą Rajmund porywa się z posłania. Co to znaczy? Co się stało? Biegnie do namiotu króla. Wit patrzy na niego spode łba.

— Wielki mistrz przyniósł mi ten wasz list... — powiada z zakłopotaniem, pokazując go Rajmundowi.

— Mój list do Turanszaha! Więc posłaniec nie pojechał!? Dlaczego?

— Po co pisaliście do Turanszaha? — pyta ponuro Wit.

— Żeby przy dobywaniu zamku oszczędzali moją żonę i pasierbów... Zresztą posłuchajcie, miłościwy panie.

Czyta treść, tłumacząc każde słowo. Wit jest znowu bliski płaczu. Komu wierzyć? Kto ma słuszność? To, co mówi książę Tripoli, wygląda prawdopodobnie, ale znowu wielki mistrz...

— Zrobili tu ze mnie zdrajcę, ze mnie, dobrego rycerza! — gorączkuje się Rajmund. — Zdrada jest gdzie indziej! Zdrajcą jest ten szatan, co was do zguby prowadzi! Na miłosierdzie boskie, nie idźcie pod Tyberiadę! Zostańcie tutaj, jak zostało uradzone!

— Dałem już rozkaz.

— Lepiej odwołać rozkaz niż zgubić siebie i państwo.

Wit myśli. Waha się. Może by posłuchał, ale mu wstyd. Już otrąbione. Będą się z niego natrząsać, że nie potrafi nawet powiedzieć, czy wychodzą, czy zostają. Poza tym boi się wielkiego mistrza. Po prostu, boi się. Z nieprzezwyciężonym uporem, właściwym ludziom słabym i chwiejnym, powiada:

— Dałem już rozkaz, nie cofnę.

— Idziecie na stracenie!

— To się okaże. Czy odmawiacie iść z nami?

— Dobry rycerz nie cofa się przed śmiercią, choćby niepotrzebną — odpowiada Rajmund i wychodzi. Już świt. W obozie ruch, krzątanina. Rajmund patrzy na te przygotowania z zimną, świadomą rozpaczą. Jasne jest dla niego, że idą dobrowolnie na zgubę. Jednego nie rozumie: jaki cel ma wielki mistrz? Przecież zdaje sobie chyba sprawę z tego, co czyni?

A może by krzyknąć na ludzi, żeby nie szli? Obalić tego królika bez głowy, przegonić wielkiego mistrza, wziąć wszystko w garść, ocalić królestwo?

Bije się Rajmund z myślami. Wokoło ludzie biegają, krzyczą, nie zwracając na niego uwagi. Słyszy strzępy rozmów.

— ...Wody weźcie, Mateuszu, wody...

— W co wezmę? Mam worek jeden i to dziurawy.

— Poniektórzy mają parę worków, proście, może pożyczą...

— Pożyczą, a jużci! Kto ma, to dla siebie...

— Powiadają, że dwa dni będziemy bez wody, a tu gorąco zatracone...

— Słyszeliście, pono książę Tripoli zdradził? Wielki mistrz przejął jego list do sułtana...

— O reta! reta! Powiadacie?! Książę Tripoli? Taki pan! I do sułtana pisał?! Wielki mistrz też nie lepszy...

— Pewnie co nie... Wszyscy ci panowie jednacy... Szachrują, jak mogą, a ty giń, biedny człowieku...

— Wszędy zdrada, Jezusie Nazareński! Mówią, że na zgubę w pustynię idziemy...

— Jakby tak nie iść?

— A z kim ostać? Kto nas powiedzie? Nikomu nie można wierzyć, bracia mili, nikomu...

Rajmund oderwał się od drzewa, pod którym stał, i poszedł do swego obozu. Nie warto zwoływać ludzi. Nie warto zaczynać buntu. Niech się spełnia los, jak chce...

. . . . . . . . . . . . . . .

Sucha, kamienista ziemia dźwięczy martwo pod kopytem. Nigdzie śladu zieloności. Z rozpadlin sterczy uwiędłe, gorzkie badyle. Słońce pali żywym ogniem. Pancerze rozprażone grzeją nieznośnie ciało. Pył wżera się w usta, w oczy. Powietrze drży od gorąca. Wlecze się wolno długi, spieczony dzień. Konie spuszczają głowy. Zwidy łudzą wzrok jadących. W rudym od żaru powietrzu ukazuje się Tyberiada, bliska, że kamieniem rzucić. Białe pałace, zieleń trawy, szafirowa toń

jeziora... Migocze to, kusi, drga na większą udrękę idących.

Zmierzch zapada, gdy wojsko wspina się na wzgórze Hattin. Podłużne wzgórze, siodłate. Dość wielkie, by stanęła na nim prawie cała armia. Konie ledwo idą. Ludzie mają zaschłe wargi. Chciwie piją wodę z worków, poją konie, zostawiając sobie co nieco na rano.

— Nie zatrzymujmy się dłużej — prosi książę Rajmund. — W nocy łatwiej iść, bo chłód. Skorośmy już wyszli, idźmy co prędzej. Może zaskoczymy Saladyna niespodzianie. Może zdołamy przebić się do jeziora. Nie traćmy ani godziny!

Niechętnie słuchają tych słów. Każdy marzy tylko, by się uwalić na ziemi i zasnąć. Po całodziennym marszu iść znów całą noc! Niech książę Tripoli rusza sam, skoro chce. Pilno mu do Saladyna, do którego rad pisuje...

Noc jest ciemna, głucha, parna. W ciemności huczy coś, skrzypi, tętni. Może wiatr wzdyma fale na jeziorze?... Wczesnym rankiem kula słoneczna wytryska rzutem nad horyzont jak czerwony dysk. Wnet zaczyna palić żarem. Wojsko siada na koń. W drogę!

Którędy w drogę, Frankowie?! Nie ma już drogi przed wami. To nie wicher huczał nocą, to nie fale na jeziorze. Saladyn ze swym niezliczonym wojskiem ruszył w ciemni i otacza zewsząd wzgórze Hattin. Pułki za pułkami suną od strony Tyberiady, od strony wzgórza Turan, wzgórza al Szadżara, od Lubii, Meskany i Khan Madin. Fran-

kowie otoczeni są zewsząd! Nie mogą cofnąć się nazad do Seforii, a darmo marzyć o dosięgnięciu jeziora! Zamknięci w ciasnym pierścieniu, stójcie tu na siodłatym, przeklętym wzgórzu, niby wystawiona na słupie rozżarzonym ofiara, rzuceni na ołtarz całopalny, na pożarcie słońcu...

Jęk grozy, okrzyk rozpaczy biegnie przez szeregi. Łamie ręce król Luzynian. Milczy zagadkowo wielki mistrz, którego prawdziwych myśli nikt nie zna. Posępnie kiwa głową Rajmund. Co przepowiadał, sprawdziło się prędzej, niż przypuszczał.

Był czas, że woje latyńscy wychodzili zwycięsko z trudniejszego niż to położenia. Ginący z pragnienia lub głodu rozbijali potężne, syte, wielekroć liczniejsze armie... Był czas, że hufce zmarłych przychodziły im na pomoc... Były takie czasy, były... Nie powrócą!

Niemniej otoczone wojsko próbuje walczyć, próbuje się przebić. Nie pytając nikogo o pozwolenie, Rajmund obejmuje dowództwo. Otacza wzgórze murem pieszych. Kopie wbijają w ziemię, opierają tarcze, tworząc z tarczy i kopii silną palisadę. W tym murze zostawione niby bramy, przez które po czterykroć wypada rycerstwo. Cucąc ostrogami osłabłe z gorąca konie, rzucają się na nieprzyjaciela, wdzierają daleko w szeregi muzułmańskie. Lecz ilość wrogów jest tak wielka, że impet rycerzy słabnie, nim zdołają dotrzeć do połowy głębokości kolumny. Nowe fale nieprzyjacielskie napierają na nich, spychają, zmuszają do

powrotu na przeklęte wzgórze, mające stać się grobem Franków.

By go nie mogli opuścić, Saraceni podkładają ogień pod suche badyle, porastające równinę. Wieniec dymu i ognia otacza skutecznie Latyńców.

Wit Luzynian patrzy na to z przerażeniem. Łzy płyną z zaczerwienionych, zapalonych oczu. Przez te łzy zwiduje się nad dymem kasztel ojcowski, las, rzeka la Vonne... Nie czuje się królem, nie czuje się odpowiedzialnym, nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów klęski i tego, co ona oznacza. Czuje się po prostu biednym, poitevińskim chłopcem, wciągniętym wbrew woli w straszliwy krąg przygód.

Ktoś trąca go. To du Gray. Ochrypłym głosem woła:

— Gdzie Święte Drzewo? Dlaczego go nie niosą?!

Prawda! Gdzie Święte Drzewo? Wszyscy o Nim zapomnieli. Gdzie patriarcha? Patriarchy Herakliusza nie ma. Uciekł jeszcze wczoraj nocą z Seforii, gdy trąbiono do pochodu. Uciekł korzystając z ogólnego zamieszania. Pewno jest już bezpieczny w Napluzie przy boku swej Paskaliny. Ale wielki relikwiarz został. Został też braciszek Benedykt stróżujący Drzewa, wylękły i strwożony. Na rozkaz króla siada na koń umieszczając przed sobą relikwiarz. Święte Drzewo zabłyska wysoko nad tłumem.

...Krzyż! Znak o niezmiernej mocy. Wystarczy skreślić go dłonią, a pierzchną moce piekielne.

Zbliża niebo, oddala piekło, od początku świata jest przeczuciem lub wspomnieniem prawdziwego Krzyża...

Więc jeżeli taką siłę posiada znak, wyobrażenie, ile potęgi kryje samo Święte Drzewo, Drzewo, na którym zawisło Odkupienie ludzi?

Drzewo Krzyża Zbawiciela! Nie było nigdy drzewem jako inne dęby, cedry... Wybrane zostało od wieków, wybranym został grunt, gdzie miało rosnąć, błogosławiony był wiatr, co przyniósł z daleka drobne, nieznane nasionko i rzucił na glebę. Trafne było odczucie nakazujące ludziom czcić i bóstwić drzewa. Rosła płonka wyróżniona spośród innych drzew, czekając na chwilę, w której uwielbiona będzie roślinność przez bezpośrednie zetknięcie się z Bogiem. Z tego zetknięcia błogosławieństwo zeszło na zieleń liści, soczystość miazgi, chropowatość kory... Bo wprawdzie wszystko przyrodzenie Bóg pobłogosławił. Zwierzęta przy żłobku Narodzenia, kamienie przez złożenie w Grobie. Ale drzewo najbardziej było zaszczycone. Spłynęła po nim Krew Pana i śmiertelny pot. Przyjęło Jego ostatni dech. Objęli je dłońmi Jan, Matka i Magdalena. Zawarło w sobie bezpośrednio więcej siły Bożej, niż jakakolwiek inna rzecz na świecie...

O Święte Drzewo, cudownie w cysternie przechowane, przez pobożną Helenę odnalezione, znów utracone, przez cesarza Herakliusza odzyskane, je-

steś nadal zbiornikiem cudów, nieokiełznaną, wieczystą potęgą. Za Twoją sprawą góry by padały, doliny wstały, ziemia rozpękła na dwoje. Słaby — zwycięzcą, siłacz byłby powalony. Nie masz nic niepodobnego dla Twej mocy, święte Drzewo. Jeno tych cudów trzeba żądać, domagać się, wołać, czekać! Boga przypierać do muru Jego obietnic, krzyczeć zuchwale swą pewność i wiarę, niewolić łaskę, by się rozlała po ziemi!...

...Któż to uczyni w dniu czwartym lipca 1187 roku, na przeklętym wzgórzu mającym kształt siodła? Patriarcha uciekł do swej nałożnicy. Brat Benedykt boi się o swoje życie. Trwożliwie zasłania tarczą przed strzałami, umyka głową za oprawę relikwiarza. Król płacze. Otaczający go rycerze, mdlejący z pragnienia i żaru, na wpół uduszeni dymem, myślą tylko o tym, że nadchodzi koniec.

I jeden jedyny człowiek spogląda z dala na lśniący w słońcu relikwiarz z trwogą, oczekiwaniem i skrytą nadzieją: Sal-ed-Din, syn Ajuba. Wydaje mu się niemożliwe, by bitwa skończyła się tak szybko, a powodzenie było tak zupełne. Znane są tajemne siły sprzyjające Frankom! Nieraz już byli bliscy zagłady, a w ostatniej chwili zstępowała z nieba moc przeobrażająca w jednym momencie ich klęskę w zwycięstwo. Moc ta tkwi w Drzewie, na którym umarł Prorok chrześcijan, Jezus. Więc też sułtan z niepokojem spogląda na jaśniejący w oddali relikwiarz, i sam nie wie, czy lęka się objawienia tej mocy, czy pragnie?...

Syn al-Afdal przypada do niego z radością:

— Władco Wiernych! Koniec Frankom!

— Nie ciesz się zbytnio, mój synu. Zwycięstwo nie jest jeszcze pewne, dopóki ten, o gonfalon jaśnieje...

Saladyn nie zna dobrze języka Franków i mylnie określa Święte Drzewo. Gonfalon — to proporzec królewski, Godfrydowy proporzec z krzyżem na złocistym tle. Co prawda chorąży trzyma proporzec tuż przy Drzewie Krzyża i z dala zlewają się w jedno.

— Zwycięstwo nie jest pewne, dopóki ten gonfalon nie upadnie — powtarza z namysłem Saladyn. Al-Afdal kręci się niespokojnie.

— Frankowie znów usiłują się przebić! — woła i pędzi ku swoim. Rzeczywiście Rajmund z Tripoli z Renaldem z Sydonu, młodym Rajmundem z Antiochii, Ibelinem Balianem i kilkunastoma innymi rzuca się zdecydowanie w płomienie, przebywa je szczęśliwie, spada na nastawione spisy muzułmańskie. Roztrącają szeregi, wrąbują się w ciżbę, prą przed siebie z jedną myślą: zginąć albo się przebić. Nie wrócą do żywego piekła, jakim się stało wzgórze!

I w uniesieniu śmiertelnym rąbią, kłują, walą, miotają ciosy na prawo i lewo, rozpacz podwaja ich siły. Straszliwym zamachem odcięte głowy lecą niby kapuściane, ramiona jak odrąbywane konary. Posuwają się piędź za piędzią, Rajmund z góry dobrze wprzód wypatrzył, gdzie pierścień nieprzyjacielski najsłabszy, i tam się kieruje.

Stara chorągiew tuluzańska Rajmunda St. Gilles ponad nim.

Rozgorączkowany bitwą młody al-Afdal znów przybiega do ojca.

— Przerwali się, Władco Wiernych! To książę Tripoli... Przerwał się, zanim rzuciłem posiłki. Ale posłałem już za nimi pościg. Dojdzie rychło, bo konie tamtych mdleją.

— Odwołaj pościg, Afdalu. Cóż znaczy dla nas ta garstka rycerstwa?

Niezadowolony, al-Afdal odchodzi. Saladyn patrzy na bitwę dalej. Powinien się cieszyć. Dlaczego się nie cieszy? Frankowie są pokonani. Już nawet cud ich nie uratuje. Piesi, na wpół żywi z gorąca, padają bezwładną gromadą na ziemię. Niech się dzieje, co chce. Wszystko im już jedno. Muzułmanie zgarniają ich w pęta, lecz darmo kopią, kłują spisami, jeńcy nie mogą się podnieść. Więc któryś z wezyrów wpada na pomysł, by ich spryskać wodą. Woda! Zrywają się, zmartwychwstali. Woda?! Gdzie woda? Idą za wodą jak barany, nie trzeba nawet ich wiązać.

Ale rycerze gardzą niewolą i pokusą wody. Stoją na wzgórzu gromadą, topniejącą szybko jak śnieg wiosną, i jeszcze walczą, i jeszcze się bronią. Z dawnych cnót rycerskich została im jedna: męstwo i pogarda śmierci. Nie umieli utrzymać królestwa, nie potrafili uchronić Grobu św., ale nie zlękną się zgonu, nie będą prosić o łaskę. Zginą z orężem w dłoni.

Ubywa ich z każdą chwilą. Padają jeden za drugim. Krew spływa z góry, toruje sobie bieg, oplątuje stoki siecią tysiącznych czerwonych strumieni.

— Za chwilę już będzie koniec!! — krzyczy do ojca al-Afdal.

— Nie ciesz się, mój synu, dopóki...

— Gonfalon upadł!! — woła syn.

...Gonfalon upadł!...

— La Illah-el-Allah, Mahammed rasul Allah!... — Saladyn naciąga kraj turbanu na lice. Nie chce widzieć. Już teraz wie. Krzyż proroka Jezusa upadł na ziemię. Bóg nie wystąpił w obronie chrześcijan. Ich wiara nie jest lepsza od innej.

I znużonym głosem powiada:

— Kończcie zatem szybko, Afdalu.

. . . . . . . . . . . . . .

Choć dzień ma się ku końcowi, upał nie folguje. Wzgórze Hattin podniosło się, wypiętrzyło trupami, wyrównało siodłate wgłębienie. Wzgórze Hattin, czerwone od krwi, wygląda z dala, jakby je obrósł koral morski lub dziwne, jaskrawe kwiecie.

Na wzgórzu Hattin panuje cisza. Wszyscy rycerze polegli. Ocalało tych kilku, co się przerąbali z Rajmundem, oraz trzech wziętych do niewoli. Są to: król, Renald de Chatillon i wielki mistrz templariuszów. Na poły omdlałych, nie zdolnych podźwignąć miecza, wiodą przed oblicze sułtana. Saladyn opuścił już pole bitwy. Siedzi

pod cienistym namiotem. Dwóch niewolników porusza wielkie wachlarze. Opodal, na niskim stoliczku, taca z chłodzącymi sorbetami.

Na znak Władcy Wiernych jeden z emirów zdejmuje królowi hełm z głowy, ociera wilgotną chustą twarz. Wit Luzynian ma oczy nieprzytomne, oddech z trudem wydobywa się ze spieczonych warg. Nie rozumie, co się wokół dzieje. W myśli majaczy ciągle las, struga la Vonne...

Sal-ed-Din sięga po czarkę z sorbetem różanym, podaje ją bez słowa więźniowi. Trzęsącą dłonią Wit ujmuje dar, niesie do ust. Wit nie umie być królem ani wodzem. Nie jest bohaterem. Ale pozostaje tym, czym był zawsze: dobrym, bardzo dobrym chłopcem. Pamięta, że nie cierpi pragnienia sam jeden. Zaledwie umoczywszy wargi, podaje czarkę stojącemu obok panu de Chatillon.

...I wtedy zachodzi rzecz straszna... Saladyn spogląda za ruchem króla, poznaje pana Karaku. To on! Zjeżone kocie wąsy, zuchwale butna mina. To on! Łapczywie wysysa sorbet. Sułtan porywa się z miejsca. Spokojna dostojność pryska. Oczy miotają błyskawice. Woła:

— Jak śmiałeś dać mu jeść bez mojego zezwolenia! To zbój z al-Akrad! Przysiągłem, że zginie, i nie ocali nic tego wiarołomcy!

Nagłym, rysim ruchem wyrywa zza pasa Renalda jego własny sztylet, uderza nim w szyję. krew tryska. Pan de Chatillon chwieje się. Uradowany al-Afdal poprawia uderzenie ojca, przebijając rannego mieczem.

Sułtan naciąga sobie płaszcz na głowę, zasłania twarz.

— Zabiłem bezbronnego jeńca — jęczy — zabiłem człowieka, który jadł pod moim dachem. Zgrzeszyłem przeciw prawu Proroka... Lecz on musiał zginąć... przysiągłem mu śmierć...

Odrzuca płaszcz z głowy, krzyczy groźnie do Luzyniana:

— Dlaczegoś sam tego wcześniej nie uczynił? Nie stałbyś tutaj przede mną! — Ten (trąca nogą trupa) i ten (wskazuje na Gerarda de Ridefort) zgubili twoje królestwo!

Patrzy z pogardą na wielkiego mistrza, który wytrzymuje ten wzrok z wyniosłą obojętnością. Nie boi się. Przed chwilą zdążył zamienić z jednym z bratańców sułtana niedostrzeżone przez nikogo znaki...

. . . . . . . . . . . . . . .

Noc, jak poprzednia, ciemna, duszna, parna. Sal-ed-Din nie może spać. Zazwyczaj zwycięzcy śpią twardym, szczęśliwym snem. On nie. To dziwne. Ciągle się nie cieszy?! Państwo latyńskie, od stu lat blisko tkwiące jak nieznośny cierń w ciele islamu, przestało istnieć. Wojsko poległo, król w niewoli. Grody i zamki, próżne obrońców, czekają wejścia zdobywcy. Szczęśliwy, po stokroć szczęśliwy dzisiejszy dzień!

Jak uosobienie tej radości nadchodzi syn, al-Afdal. Promieniejący. Oczy łyskają drapieżnie.

— Ujrzałem światło w twym namiocie, Władco Wiernych, i wszedłem, by ci powiedzieć, że wszystko już załatwione. Niewolników porozdzielałem. Lepsi pójdą na targi, koślawych lub rannych ścinamy. Nie wiem, czy do rana z nimi skończymy, bo połowa była takich, co nie warto pędzić.

Sal-ed-Din wstrząsa się ze zgrozą.

— Nie mów mi o tym, Afdalu.

— Nasamprzód — ciągnie syn, nie zważając na to — ścięliśmy wszystkie sługi templariuszów. Podłe nasienie! Rycerzy nie mogliśmy, bo żaden żywy nie został... Czy to prawda, Władco Wiernych, że darowałeś życie wielkiemu mistrzowi?

— Prawda — wyznaje sułtan niechętnie.

Afdal czerwienieje z gniewu.

— Czemuś to uczynił, Władco Wiernych? Ten człowiek nie wart litości ani szacunku.

— Wiem o tym, Afdalu. To twój krewniak Abdullah przyszedł do mnie przed wieczorem, prosząc usilnie o życie wielkiego mistrza. Abdullahowi obiecałem niedawno, że spełnię, czego by pragnął. Zażądał tej głowy. Nie mogłem przeto odmówić.

— Cóż Abdullahowi do wielkiego mistrza? Przecież się wcale nie znali?

— Nie wiem, mój synu. Dość, że prosił, i musiałem przystać. Zresztą dzisiejsze zwycięstwo zawdzięczamy wielkiemu mistrzowi. Mówił mi król, że on to zmusił go do opuszczenia Seforii.

— Niech żyje zatem. Czy pozwolisz, Władco Wiernych, wyruszyć jutro na zajęcie Jerozolimy?

— Zezwalam, ale nie chcę przelewać ani kropli krwi więcej. Dość jej spłynęło. Mieszkańców Jerozolimy oraz innych grodów pozostawicie w spokoju. Winny gwałtu czy grabieży ma być srogo ukarany. Nie wolno ruszać kościołów...

Al-Afdal słuchał z rosnącym niezadowoleniem.

— Władco Wiernych — wyjąkał — czy wspaniałe twoje serce zapomniało o rzezi, jaką sprawili Frankowie zajmując Jerozolimę? Nie oszczędzali nikogo, niewiast czy dzieciątek. Krew płynęła ulicami...

— Wiem o tym dobrze, mój synu, ale nie myślę naśladować Franków. Powiedziałem już swą wolę. Nie chcę widzieć więcej krwi. Niech chcę też poniżać zwyciężonych. Królowa i szlachetne niewiasty z jej otoczenia są wolne, mogą się udać, gdzie pragną. Kupcom chrześcijańskim ogłoście, że w handlu nie doznają przeszkody. Pozwalam galerom ich swobodnie wpływać i wypływać z portów. Nie życzę sobie, by kraj ten, tak teraz kwitnący, stał się na nowo pustynią. Co najważniejsze zaś: Boga chwalić może każdy według swojej wiary. Taka jest moja wola, Afdalu.

Syn skłonił się głęboko, bez słowa. W duchu uważał, że Władca Wiernych bardzo się posunął i drży przed widokiem krwi jak stara baba.

Ojciec czytał w jego myślach.

...Sądzi, żem stary niedołęga, i że on będzie lepiej rządził... Kto wie, może ja się starzeję istot-

nie? Gdybym był młody, radowałbym się dzisiejszym zwycięstwem... Powinienem się radować...

Lecz darmo to sobie powtarzał, darmo usiłował odpędzić dręczący smutek. Smutek uporczywie trwał. Królestwo Franków upadło, przeżyło swój wiek. Emir al Bara mylił się. Wiara chrześcijan jest widocznie równie bezsilna i niedoskonała jak każda inna ludzka wiara. Krzyż upadł, Bóg go nie podniósł. Nie ma już co pragnąć poznać, nie ma czego szukać...

... Czyż to możliwe? Nie! nie! niemożliwe! Gdyby tak było, stokroć lepiej żyć jak bydlę, nie myśląc, nie dociekając... Modlić się kręcąc w kółko i wrzeszcząc jak derwisz, nie zastanawiać się nad bytem więcej, niż wielbłąd lub szakal, zrzec się godności ludzkiej, bo po co? — dla kogo? — i gnębić zwyczajnie słabszych, wzorem każdego zwierzęcia...

... Dostojność, mądrość, dobroć, poświęcenie, toż szczeble drabiny, co powinna wieść wysoko, aż do stóp Boga samego... Jeżeli jednak drabina nigdzie nie prowadzi, urywa się nagle i zawisa w próżni, szkoda trudu piąć się na nią, nie warto w górę spoglądać...

Noc ciemnieje. Gwiazdy tym bardziej się złocą. Sułtan snuje myśli dalej:

... Koran nie zawiera Prawdy. Zawiera tylko część Prawdy... (Co za szczęście, że nikt prócz nocy bluźnierczych myśli sułtana nie słyszy)... Jest co najwyżej przedsionkiem poznania. Bo

doskonałość, według nauki Koranu, osiąga się bez wysiłku. Wystarczy zwalczać niewiernych i pielgrzymować do Mekki, by osiągnąć pełnię cnoty. Na to przenigdy nie przystanie człek rozumny. Cóż warta cnota, która przychodzi bez trudu?

... Dlaczego Prorok nie wymaga więcej od swoich wyznawców?...

... Prorok Jezus podobno żąda bardzo wiele. Pragnie ofiary całkowitej, oddania się zupełnego... Jest chciwy dusz. Duszom tym każe przeinaczać się wedle Jego woli... Nie łatwo Go zadowolnić...

... Ale mimo to Prorok Mahomet zwyciężył Proroka Jezusa...

... Zwyciężył... zwyciężył... zwyciężył...

... Krzyż upadł...

Wzdycha ciężko sułtan z żalu, z duchowej rozterki, stęka jak lew z niezaspokojonego łaknienia. Wypatruje w ciemność oczy, jak gdyby czekając znaku... Lichszym się czując, nędzniejszym niż żebrak wędrowny, wielki zwycięski sułtan doprasza się Boga o znak.

— Wskaż, co mam czynić, Allachu!?...

... Dlaczego Bóg zdradził i opuścił chrześcijan?...

... A może... może... to zdradzili Boga chrześcijanie...?

KONIEC

# S P I S   T R E Ś C I








UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
3 0112 078606149